EDWARD SCHURÉ



# WIELCY WTAJEMNICZENI

*

Towarzystwo Bibliotek Zespołowych

# WIELCY WTAJEMNICZENI

EDWARD SCHURÉ

# WIELCY WTAJEMNICZENI

RAMA — KRYSZNA — HERMES
MOJŻESZ — ORFEUSZ — PITA-
GORAS — PLATON — CHRYSTUS

*

TOWARZYSTWO BIBLIOTEK ZESPOŁOWYCH
WARSZAWA — MCMXXXIX

TYTUŁ ORYGINAŁU „LES GRANDS INITIÉS“ — PRZEKŁAD R. CENTNERSZWEROWEJ — OKŁADKĘ WYKONAŁA HALINA LISZKÓWNA —

— WYDANIE TRZECIE






Drukarnia Józefa Zielony, Warszawa, Grzybowska 43

## PAMIĘCI MARGHERITY ALBANA MIGNATY

Gdyby nie ty, o wielka duszo ukochana, książka ta nie byłaby nigdy ujrzała światła dziennego. Ogrzewał ją potężny płomień twój, żywił twój ból, błogosławiła boska nadzieja. Intelekt twój dostrzegał wiekuiste Piękno i Prawdę wiekuistą ponad znikomymi rzeczywistościami; Wiara twoja była z tych, co góry przenoszą; w sercu twoim gorzała Miłość, która budzi i tworzy dusze; twój entuzjazm palił jak ogień promieniujący.

I nagle zgasłaś i znikłaś. Śmierć uniosła cię ciemnym skrzydłem swoim w Krainę Nieznaną...

Jakkolwiek jednak nie mogą cię już dosięgnąć oczy moje, żyjesz w pojęciu moim bardziej niż kiedykolwiek. Wyzwolona z więzów ziemskich, z siedliska twojego na łonie światła niebiańskiego, którym się napawasz, nie przestałaś czuwać nad dziełem moim. Wierny twój promień przyświecał aż do końca narodzinom jego, które musiały nastąpić.

Gdyby coś ze mnie przetrwać miało wśród braci naszych, na świecie tym, gdzie wszystko przemija, chciałbym, aby przetrwała książka ta, świadectwo wiary zdobytej i podzielonej. Jak pochodnię z Eleu-

zys, zdobną w czarny cyprys i narcyz gwiaździsty, poświęcam ją uskrzydlonej duszy Tej, która wiodła mnie w głębie Tajników. Niechaj nieci pochodnia ta ogień święty i niech zwiastuje światu Jutrznię wiekuistego światła.

# WSTĘP

## O DOKTRYNIE EZOTERYCZNEJ, CZYLI NAUCE DLA WTAJEMNICZONYCH

Pewien jestem, że przyjdzie dzień, w którym fizjolog, poeta i filozof jednym będą przemawiać językiem i będą się wszyscy wzajem rozumieli.

Claude Bernard.

Największym złem naszego czasu jest, że Nauka i Religia stają wobec siebie, jako dwie wrogie, niedające się wzajem pogodzić siły. To zło intelektualne tym jest zgubniejsze, że przychodzi z góry i wsiąka skrycie, acz niezawodnie, niby jad lotny, wdychany wraz z powietrzem. Zaś wszelkie zło intelektualne staje się z czasem chorobą duszy, a wskutek tego złem społecznym.

Dopóki chrystianizm utrwalał jedynie w sposób naiwny wiarę chrześcijańską w Europie na pół barbarzyńskiej, jak w wiekach średnich, był on najpotężniejszą dźwignią moralną: ukształtował duszę współczesnego człowieka. — Dopóki Nauka doświadczalna, otwarcie ustanowiona w XVI-ym st., walczyła jedynie o słuszne prawa rozumu oraz o nieograniczoną dla siebie wolność, była ona największą potęgą intelektualną: odnowiła oblicze

świata, wyzwoliła człowieka z pęt odwiecznych i dała umysłowi ludzkiemu podstawy niezniszczalne.

Odkąd wszakże Kościół, nie mogąc już udowodnić pierwotnego swojego dogmatu wobec zarzutów, stawianych mu przez naukę, zamknął się w nim, jak w domu bez okien, i przeciwstawił wiarę rozumowi, jako nakaz bezwzględny i nietykalny; odkąd Nauka, upojona odkryciami swoimi w świecie fizycznym i wyłączająca ze sfery swoich dociekań świat duchowy i intelektualny, stała się agnostyczną w metodzie swojej i materialistyczną, zarówno w podstawach swoich jak i celu ostatecznym; odkąd Filozofia, sprowadzona przez nie obie na manowce i pozbawiona siły, wyrzekła się niejako praw swoich i wpadła w sceptycyzm co do możności zbadania istoty rzeczy; — nieuniknionym się stało głębokie starcie w sferze duchowej zarówno ogółu społeczeństwa, jak i poszczególnych jednostek. Starcie to, zrazu potrzebne i pożyteczne, ustaliło bowiem prawa Rozumu i Nauki, spowodowało z czasem skostnienie i bezsiłę. Religia odpowiada potrzebom serca, i stąd jej czar wiekuisty; Nauka — potrzebom umysłu, i stąd jej siła niezwalczona. Od dawna jednak utraciły obie te potęgi zdolność wzajemnego rozumienia się. Religia bez dowodów i Nauka bez nadziei stają wobec siebie i wzajem wyzywają się do walki, nie mogąc się pokonać.

Stąd głęboka przeciwstawność, ukryta walka, nie tylko pomiędzy Państwem i Kościołem, lecz w łonie samej Nauki, w łonie wszystkich kościołów, a nawet w świadomości wszystkich jednostek myślących. Niezależnie bowiem od tego, kim jesteśmy,

do jakiej szkoły filozoficznej, estetycznej i społecznej należymy, nosimy w sobie te dwa wrogie, na pozór niedające się pogodzić światy, zrodzone z dwu niezwalczonych potrzeb człowieka: potrzeby poznania i potrzeby wiary. Ten stan rzeczy, trwający już od stu lat z górą, niewątpliwie niemało przyczynił się do rozwoju umysłowych władz człowieka przez pobudzanie ich wzajem przeciw sobie. Natchnął on poezję i muzykę, bogacąc je w akcenty nieznanego dotąd patosu i potęgi. Obecnie jednak to zbyt długo trwające i zbyt zaostrzone naprężenie wywołało skutek wprost przeciwny. Jak wyczerpanie występuje u chorego po gorączce, przeszło naprężenie owo w wycieńczenie i bezsiłę. Nauka zajmuje się wyłącznie światem fizycznym i materialnym; filozofia moralna utraciła władzę kierowniczą nad umysłami; Religia rządzi jeszcze do pewnego stopnia tłumami, minęło wszakże panowanie jej na wyżynach społecznych; wielka wciąż jeszcze swoim miłosierdziem, przestała już jaśnieć potęgą wiary. Przewodnikami duchowymi naszej epoki są niedowiarki, lub najzupełniej szczerzy i uczciwi sceptycy. Zwątpili oni wszelako w sztukę swoją i spoglądają na siebie wzajem z uśmiechem, jak augurowie rzymscy. Na arenie publicznej i w dyskusjach prywatnych przepowiadają katastrofy społeczne, nie znajdując środka na nie, lub też przezornie omawiając i łagodząc ponure swoje przepowiednie.

Pod takim przewodnictwem zatraciła literatura i sztuka poczucie boskości. Znaczna część młodzieży, odwykła od widnokręgów wiekuistych, skłoniła się ku temu, co nowi przywódcy duchowi zwą na-

turalizmem, poniżając tym samym piękną nazwę Natury. To bowiem, co zdobią oni jej mianem, jest jedynie obroną i usprawiedliwieniem niskich instynktów, kałuży występku lub też schlebianiem naszym pospolitościom społecznym, — słowem: systematycznym zaprzeczaniem duszy i intelektu. A biedna Psyche, po utracie skrzydeł swoich, jękiem i wzdychaniem protestuje w głębi jaźni tych samych właśnie ludzi, którzy ją znieważają i zapierają się jej.

Materializm, pozytywizm i sceptycyzm sprawiły, że ku końcowi XIX-go st. urobiło się fałszywe zupełnie pojęcie Prawdy i Postępu.

Uczeni nasi, posługujący się przy badaniu wszechświata Baconowską metodą doświadczalną ze zdumiewającą dokładnością i cudownymi wynikami, tworzą sobie czysto zewnętrzne i materialne pojęcie Prawdy. Sądzą oni, że zbliżać się można do niej coraz bardziej w miarę nagromadzania coraz większej liczby faktów. Ze swojego stanowiska naukowego mają słuszność. Źle jest natomiast, że nasi filozofowie i nasi moraliści zaczynają myśleć tak samo. Pod tym względem pewnem jest, że praprzyczyny i cele ostateczne pozostaną na zawsze nieprzeniknionymi dla umysłu ludzkiego. Przypuśćmy bowiem, że moglibyśmy wiedzieć dokładnie, co zachodzi — ujmując rzecz materialnie — na wszystkich planetach systemu słonecznego, co — mówiąc nawiasem — byłoby wspaniałą podstawą indukcji; przypuśćmy nawet, że moglibyśmy wiedzieć, jakiego rodzaju istoty zamieszkują satelitów Syriusza oraz kilku gwiazd drogi mlecznej. Oczywiście, cudownie byłoby poznać to wszystko. Czy

jednak ułatwiłoby to nam poznanie całokształtu gwiazdozbioru, nie mówiąc już o mgławicy Andromedy oraz o obłoku Magellana? — Oto dlaczego rozwój ludzkości jest w pojęciu epoki naszej nieustannym dążeniem ku prawdzie nieokreślonej, niedającej się określić i na zawsze niedostępnej.

Tak pojmowali filozofię pozytywistyczną: August Comte i Herbert Spencer, których pogląd utrzymał się do naszych czasów.

Dla teozofów i mędrców Wschodu i Grecji, Prawda była czymś zupełnie odmiennym. Wiedzieli oni oczywiście, że nie podobna ująć jej i ustalić bez ogólnego pojęcia o świecie fizycznym, zarazem jednak wiedzieli, że szukać jej należy przede wszystkim w nas samych, w pierwiastkach intelektualnych oraz w życiu naszym duchowym. Dla nich dusza była jedyną boską rzeczywistością, kluczem wszechświata. Skupiając całą wolę swoją w głębi własnej jaźni, rozwijając ukryte władze duszy, docierali oni do życiodajnego ogniska, zwanego przez nich Bogiem, którego światło pozwala rozumieć ludzi i byty. Dla nich — to, co my zwiemy Postępem, — to znaczy historia świata i ludzi, było jedynie ewolucją w czasie i przestrzeni owej ośrodkowej Praprzyczyny i owego Celu ostatecznego. — Sądzicie może, iż teozofowie ci byli ludźmi, oddanymi wyłącznie rozmyślaniu, bezsilnymi marzycielami, fakirami, siedzącymi na szczytach kolumn?— Jesteście w błędzie.

Świat nie znał większych ludzi czynu, w najbardziej płodnym, niedającym się obliczyć, znaczeniu tego wyrazu. Świecą oni jak gwiazdy pierwszej wielkości na firmamencie dusz. Nazywają się:

Kryszna, Budda, Zoroaster, Hermes, Mojżesz, Pytagoras, Jezus. Byli to potężni urabiacze umysłów, wielcy budziciele dusz, zbawczy organizatorzy społeczeństw. Oni to, żyjący wyłącznie dla idei swojej, za którą zawsze gotowi byli umrzeć, bowiem wiedzieli, że śmierć za Prawdę jest czynem skutecznym i najszczytniejszym, stworzyli nauki i religie, a co za tym idzie, pisma i sztuki, których istotą karmimy się i żyjemy dotąd jeszcze. Co zaś rodzi pozytywizm i sceptycyzm naszych dni? Pokolenie suche, pozbawione ideałów, światła i wiary, niewierzące ani w duszę, ani w Boga, ani w przyszłość ludzkości, ani w życie doczesne i przyszłe, niemające siły woli, wątpiące o sobie samych i o wolności ludzi.

„Po owocach ich poznacie ich" — powiada Chrystus. Te słowa Mistrza stosują się zarówno do doktryn jak i do ludzi. Sama przez się narzuca się tu myśl: albo prawda jest na zawsze niedosięgalną dla ludzi, albo też posiedli ją w znacznym stopniu wielcy mędrcy i pierwsi na ziemi prorocy. Szukać więc jej należy na dnie wszystkich wielkich religii i w księgach świętych wszystkich narodów. Należy jedynie umieć ją odnaleźć w nich i z nich wydobyć.

Patrząc na historię religii oczami, rozwartymi szeroko przez ową prawdę ośrodkową, którą dać może jedynie wtajemniczenie wewnętrzne, doznajemy uczucia zarazem zdumienia i zachwytu. To, co dostrzegamy wówczas, nie przypomina w niczym nauk, udzielanych nam przez Kościół, szukający objawienia wyłącznie w chrystianizmie i przyjmujący je jedynie w jego znaczeniu pierwotnym. Zarazem jednak mało przypomina ono to, czego nas

uczy wiedza czysto naturalistyczna, wykładana na naszych uniwersytetach. Przyznać wszakże należy, iż ta ostatnia ujmuje rzeczy ze stanowiska szerszego.

Stawia ona wszystkie religie na jednej linii i stosuje do wszystkich jednakową metodę badania. Jej erudycja jest głęboka, jej gorliwość godna podziwu, nie wzniosła się ona jednak jeszcze do stanowiska ezoteryzmu porównawczego, które rzuca nowe zupełnie światło na historię religii i ludzkości. Oto, co dostrzegamy z tej wyżyny:

Wszystkie wielkie religie mają historię zewnętrzną i historię wewnętrzną; pierwszą — widoczną, drugą — ukrytą. Przez historię zewnętrzną rozumiem dogmaty i mity, głoszone publicznie w świątyniach i szkołach, uznane przez kult i przyjęte w wierzeniach gminnych. Mianem historii wewnętrznej określam wiedzę głęboką, doktrynę tajemną, działalność wielkich wtajemniczonych, proroków czy reformatorów, którzy stworzyli, podtrzymywali i szerzyli same te religie. Pierwsza, historia oficjalna, ta, którą czytać można wszędzie, odbywa się w pełnym świetle dziennym, co nie czyni jej bynajmniej mniej ciemną, mniej zawiłą i nie pozbawia jej sprzeczności. Druga, którą nazywam tradycją ezoteryczną, czyli doktryną Tajników, trudna jest bardzo do rozwikłania. Albowiem ukrywa się ona w głębi świątyń, w bractwach tajemnych, a jej dramaty najbardziej wstrząsające rozgrywają się wyłącznie i jedynie w duszach wielkich proroków, którzy żadnemu pergaminowi ani żadnemu z uczniów nie powierzyli tajemnicy swo-

ich przełomów najgłębszych, ani boskich swoich uniesień. Należy ją odgadywać. Z chwilą jednak, gdy danem jest nam ujrzeć ją, ukazuje się nam ona w glorii promiennej, ustalona i zawsze sharmonizowana we wszystkich swoich punktach. Możnaby ją też nazwać historią religii wiekuistej, religii wszechświata. Odsłania się w niej ukryta treść rzeczy, siedlisko świadomości ludzkiej, której zmudną drogę zewnętrzną ujawnia historyk. Docieramy tutaj do punktu twórczego Religii i Filozofii, które łączą się na drugim końcu elipsy w całokształtcie nauki. Punkt ten odpowiada prawdom transcendentnym. Znajdujemy w nich przyczynę, źródło i rezultat ostateczny olbrzymiej pracy stuleci, Opatrzność w jej czynnikach ziemskich. Historia ta jest jedyną, którą zająłem się w tej książce.

Dla rasy aryjskiej zaród i jądro jej mieszczą się w Wedach. Jej pierwszą krystalizacją historyczną jest doktryna troistości Kryszny, której brahmanizm zawdzięcza swoją potęgę, a religia Indii swoją cechę niezatartą. Budda, który wedle chronologii brahmanów miał przyjść w 2400 lat po Krysznie, odsłania inną jedynie stronę doktryny tajemnej: wędrówkę dusz i wiarę w szereg bytów, związanych w jeden łańcuch prawem Karmy. Jakkolwiek buddyzm był wobec arystokratycznego i kapłańskiego brahmanizmu demokratycznym przewrotem społecznym i etycznym, jego podkład metafizyczny jest ten sam, tylko nie tak zupełny.

Niemniej też uderza odwieczność świętej doktryny w Egipcie, którego tradycje sięgają cywilizacji dużo wcześniejszej, niż ukazanie się rasy aryjskiej na widowni dziejów. Wolno było przypuszczać aż

do ostatnich czasów, że monizm troisty, wyłożony w księgach greckich Hermesa Trismegistosa, był kompilacją szkoły Aleksandryjskiej pod podwójnym wpływem judeo-chrystianizmu i neo-platonizmu. Wszyscy wierzący i niedowiarkowie, historycy i teologowie nie przestawali zgodnie powtarzać tego aż do naszych czasów. Otóż teoria ta upada dzisiaj wobec odkryć epigrafiki egipskiej.

Niezbitą autentyczność ksiąg Hermesa, jako dokumentów starożytnej mądrości Egiptu, stwierdzają w sposób rozstrzygający odczytane już hieroglify. Napisy na stelach [1]) w Tebach i Memfisie nie tylko potwierdzają chronologię Manethona, lecz wykazują, że kapłani Ammon-Râ wyznawali wyższą metafizykę, której uczono w innej postaci nad brzegami Gangesu [2]). Powtórzyć tutaj można za prorokiem hebrajskim, że „kamień mówi a mur wydaje okrzyk". Gdyż, podobna do „słońca północy", które jaśniało — jak mówią — w Tajnikach Izydy i Ozyrysa, idea Hermesa, starożytna doktryna słowa słonecznego, rozbłyskuje znów w grobach Królów i świeci na papyrusowych zwojach Księgi Zmarłych, przechowanych w mumiach, mających cztery tysiące lat.

W Grecji idea ezoteryczna jest zarazem bardziej widoczna i bardziej osłonięta niż gdziekolwiek; bardziej widoczna, bowiem prześwieca poprzez czarującą mitologię ludzką, ponieważ płynie, niby krew ambrozyjska, w żyłach tej cywilizacji i wytryska wszystkimi porami z jej bogów, jak balsam i jak rosa niebiańska. Z drugiej zaś strony myśl głęboka i naukowa, leżąca u podstawy wszystkich owych mitów, trudniejsza jest do przeniknięcia





właśnie z powodu ich uroku oraz ozdób, w jakie je przystroili poeci. Wzniosłe podstawy teozofii doryckiej i mądrości delfickiej wypisane są jednak złotymi zgłoskami zarówno we fragmentach orfik (poezji mistyczno-religijnych) jak w syntezie pytagorejskiej, w dialektycznym, nieco dowolnym uprzystępnieniu Platońskim. Klucza do ich zrozumienia dostarcza nam wreszcie szkoła Aleksandryjska. Ona pierwsza bowiem ogłosiła częściowo i opatrzyła wyjaśniającymi przypisami znaczenie tajników na tle rozprzężenia religii greckiej i wobec rozwijającego się chrystianizmu.

Tradycje nauki tajemnej izraelskiej, biorące początek zarówno w Egipcie, jak w Chaldei i Persji, zachowane nam zostały w dziwacznej i niejasnej postaci, a zarazem w całej swojej głębi i rozciągłości w Kabale, czyli tradycji ustnej, począwszy od księgi Sohar i Sepher Jezirah, przypisywanych Szymonowi Ben Jochai, i skończywszy na komentarzach Majmonidesa. Zawarta mistycznie w Księdze Rodzaju (Genesis) oraz w symbolice proroków, występuje też ona w sposób uderzający w świetnej pracy Fabra d'Olivet o Odtworzonym języku hebrajskim, dążącej do odbudowania, podług metody egipskiej, na zasadzie troistego znaczenia każdego wiersza i niemal każdego wyrazu pierwszych dziesięciu rozdziałów Księgi Rodzaju, — istotnej kosmogonii Mojżesza.

Ezoteryzm chrześcijański promienieje sam przez się w Ewangeliach, oświetlonych tradycjami esseńskimi i gnostycznymi. Wytryska on, niby ze źródła życiodajnego, ze słów Chrystusa, z jego przypowieści, z głębi tej duszy nieporównanej, prawdziwie

boskiej. Zarazem też daje nam Ewangelia Ś-go Jana klucz do zrozumienia intymnej i wyższej nauki Chrystusowej, do znaczenia i doniosłości jego zapowiedzi. Odnajdujemy tutaj ową doktrynę Trójjedności i Słowa Bożego, głoszoną już przed tysiącami lat w świątyniach Egiptu, lecz uszlachetnioną, uosobioną w postaci króla wtajemniczonych, w postaci największego z Synów Bożych.

Zastosowanie do historii religii metody, którą nazwałem ezoteryzmem porównawczym, prowadzi nas zatem do wielce doniosłego wyniku, dającego się streścić w kilku wyrazach: odwieczność, ciągłość i zasadnicza jedność doktryny ezoterycznej. Jest to fakt w najwyższym stopniu godny uwagi. Każe on bowiem przypuszczać, że mędrcy i prorocy najrozmaitszych epok doszli do tych samych wyników co do istoty rzeczy, jakkolwiek odmiennych co do formy, w sprawie prawd podstawowych i ostatecznych. Osiągali zaś je zawsze tą samą drogą wtajemniczenia wewnętrznego i rozmyślania. Dodajmy, że mędrcy ci i prorocy byli największymi dobroczyńcami ludzkości, zbawcami, których moc odkupicielska wyrwała ludzkość z odmętów bardziej przyziemnej, niższej natury oraz negacji.

Czyż nie należy uznać wobec tego, że istnieje — jak się wyraża Leibnitz — rodzaj filozofii wiekuistej, p e r e n n i s q u o d a m p h i l o s o p h i a, która stanowi pierwotny łącznik pomiędzy nauką i religią oraz ostateczne ich pojednanie?

Teozofia starożytna, wyznawana w Indiach, w Egipcie i w Grecji, stanowiła istotną encyklopedię, dzieloną powszechnie na cztery kategorie: 1. T e o g o n i a czyli nauka zasad bezwzględnych,

utożsamiona z nauką Liczb zastosowaną do wszechświata, czyli matematyką teologiczną. 2. Kosmogonia, urzeczywistnienie zasad wiekuistych w przestrzeni i czasie, czyli inwolucja ducha do materii; okresy świata. 3. Psychologia, ustrój człowieka; ewolucja duszy poprzez łańcuch istnień. 4. Fizyka, poznanie państw natury ziemskiej i jej właściwości. — Metoda indukcyjna i metoda doświadczalna łączyły się i wzajem kontrolowały w tych różnorodnych działach nauk i każdej z nich odpowiadała poszczególna sztuka. Były nimi, biorąc je w porządku odwrotnym i zaczynając od nauk fizycznych: 1. Medycyna specjalna, oparta na znajomości tajemnych cech minerałów, roślin i zwierząt. Alchemia czyli przetwarzanie metali, rozsprzęganie i sprzęganie się materii pod działaniem czynnika powszechnego, sztuka uprawiana podług Olympjodora, w starożytnym Egipcie i nazwana przez niego chrysopeą i argyropeą (fabrykacją złota i srebra). 2. Sztuki psychurgiczne, odpowiadające władzom duszy: magia i wieszczbiarstwo. 3. Genetlakia niebiańska czyli astrologia, sztuka wykrywania stosunku, zachodzącego pomiędzy przeznaczeniem narodów i osobników a ruchami wszechświata, zaznaczonymi przez zmianę położenia gwiazd. 4. Teurgia, najwyższa sztuka magii, dar zarówno rzadki jak niebezpieczny i trudny, polegający na wprowadzaniu duszy w świadome zetknięcie z rozmaitymi rodzajami duchów i na oddziaływaniu na nie.

Jak widzimy więc, obejmowała teozofia ta zara-

zem nauki i sztuki, wypływające z jednej powszechnej podstawy, którą nazwałbym w języku współczesnym monizmem intelektualnym, spirytualizmem rozwojowym i transcendentnym. Główne podstawy doktryny ezoterycznej sformułować można w sposób następujący:

Duch jest jedyną rzeczywistością. Materia jest jedynie wyrazem jego niższym, zmiennym, przemijającym, jego dynamizmem w przestrzeni i czasie. — Tworzenie jest wieczne i ciągłe jak życie. Mikrokosm-człowiek jest z układu swojego troistym (duch, dusza i ciało), obrazem i zwierciadłem makrokosmu-wszechświata (świat boski, ludzki i świat natury), który sam przez się jest narzędziem Boga niewypowiedzianego, Ducha bezwzględnego, będącego z natury swojej Ojcem, Matką i Synem (istotą, substancją i życiem).

Oto dlaczego człowiek, obraz Boga, może stać się żywym jego symbolem. Gnoza (poznanie prawd religijnych), czyli mistyka racjonalna wszystkich epok, jest sztuką znalezienia Boga w sobie samym przez rozwijanie tajemnych głębi, ukrytych władz świadomości. — Dusza ludzka, jaźń, jest w istocie swojej nieśmiertelna. Rozwój jej odbywa się na płaszczyźnie zstępującej i wznoszącej się poprzez istnienia duchowe i cielesne. — Ponowne wcielanie się jest prawem jej rozwoju. Osiągnąwszy doskonałość, przestaje się wcielać i powraca do Ducha czystego, do Boga, w pełni świadomości. Tak samo jak dusza wznosi się ponad prawo walki o życie z chwilą, gdy zyskuje świadomość swojego człowieczeństwa, podobnie też wznosi się ona ponad

prawo ponownego wcielania się, kiedy zyskuje świadomość swojej boskości.

Perspektywy, otwierające się u progu teozofii, są olbrzymie, zwłaszcza gdy się je porównywa z ciasnym i ponurym widnokręgiem, w jakim zamyka nas materializm, lub też z dziecięco i nie do przyjęcia naiwnymi danemi teologii kościelnej. Stając wobec nich po raz pierwszy, doznajemy uczucia olśnienia, przejmuje nas dreszcz bezkresu. Rozwierają się w głębi jaźni naszej otchłanie Nieświadomości, ukazując nam przepaść, z której się wydostajemy, zawrotne wyżyny, na które dążymy. Zachwyceni tym bezmiarem, lecz przerażeni drogą do odbycia, pragniemy przestać istnieć, wzywamy N i r w a n y. Potem jednak zdajemy sobie sprawę, że ta słabość jest tylko znużeniem żeglarza, gotowego do wypuszczenia z rąk steru w obliczu szalejącej burzy. Jeden z myślicieli powiedział: człowiek zrodzony został we wklęsłości fali i nie wie nic o olbrzymim oceanie, który rozpościera się przed nim i za nim. Jest to prawdą; tajemna wszakże siła niepojęta pcha łódź naszą na grzbiet fali, i tam, smagani nieustannie wściekłością nawałnicy, chwytamy jej rytm potężny; a oko, mierzące sklepienie niebios, odpoczywa w ciszy błękitu.

Zdumienie nasze wzrasta, gdy, powracając do nauk nowoczesnych, stwierdzamy, że od Bacon'a i Kartezjusza dążą one bezwiednie, lecz tym pewniej w kierunku powrotu do danych teozofii starożytnej. Nie zarzucając hipotezy atomów, nieświadomie doszła fizyka współczesna do utożsamiania pojęcia materii z pojęciem siły, co stanowi już krok

naprzód ku dynamizmowi spirytualistycznemu. Dla wyjaśnienia istoty światła, magnetyzmu i elektryczności, zmuszeni byli uczeni przyjąć materię lotną i bezwzględnie nieważką, wypełniającą przestworze i przenikającą wszystkie ciała; materię, którą nazwali eterem, co już jest krokiem ku dawnemu pojęciu teozoficznemu o d u s z y ś w i a t a. Niedawne doświadczenia, dotyczące przenoszenia dźwięku zo pomocą fal świetlnych [3]), dowodzą wrażliwości i rozumnej przystosowalności tej materii.

Zoologia porównawcza i antropologia należą do rzędu nauk, które najwięcej, zdałoby się, zaszkodziły spirytualizmowi. W rzeczywistości wszakże poważną oddały mu one przysługę wykazaniem prawa i sposobu wkraczania świata umysłowego do świata zwierzęcego. Darwin położył kres naiwnemu pojęciu o stworzeniu w myśl teologii pierwotnej. Pod tym względem powrócił on wprost do starożytnych pojęć teozoficznych. Już Pytagoras powiedział: „człowiek jest krewnym zwierzęcia". Darwin wykazał prawa, którym ulega przyroda, aby wykonać plan boski, prawa narzędnicze, którymi są; walka o byt, dziedziczność i dobór natury. Dowiódł on wielorakości i różnorodności gatunków, zmniejszył ich liczbę, ustalił ich dobór. Uczniowie jego jednakże, teoretycy transformizmu bezwzględnego, którzy chcieli wyprowadzić wszystkie gatunki z jednego pratypu i uczynić ich pojawianie się zależnym wyłącznie od wpływów środowiska, naciągali fakty na korzyść czysto zewnętrznego i materialistycznego pojmowania przyrody. Nie, środowiska tak samo nie tłumaczą powstawania gatun-

ków, jak prawa fizyczne nie wyjaśniają praw chemicznych, jak chemia nie tłumaczy podstaw rozwoju rośliny, a podstawy rozwoju rośliny — podstaw rozwoju zwierzęcia. Co się tyczy wielkich rodzin zwierzęcych, odpowiadają one wiekuistym typom życia, pieczęciom Ducha, zaznaczającym szczeble świadomości. Ukazanie się zwierząt ssących po płazach i ptakach nie jest wynikiem zmiany, jaka zaszła w środowisku ziemskim; zmiana ta jest tylko jego warunkiem.

Każe ona przypuszczać powstanie i rozwój nowego zarodka; tym samym nowej siły intelektualnej i duchowej, działającej stroną wewnętrzną, treścią natury, siłą, którą nazywamy zaświatem w stosunku do poznania zmysłowego. Bez tej siły intelektualnej i duchowej nie można byłoby wytłumaczyć nawet pojawienia się komórki organicznej w świecie nieorganicznym. Wreszcie Człowiek, który kończy i wieńczy łańcuch istot, ujawnia całą myśl boską, dzięki harmonii swoich narządów i doskonałości swojej formy, czyniących go żywym obrazem Duszy wszechświata, czynnego intelektu. W ciele jego streszczone są wszystkie prawa rozwoju i cała natura, nad którą panuje on i ponad którą wznosi się, aby dzięki zdobytemu uświadomieniu i wyzwoleniu się wejść do bezbrzeżnego królestwa Ducha.

Psychologia doświadczalna, oparta na fizjologii i dążąca od początku stulecia do stania się ponownie nauką, doprowadziła współczesnych uczonych do progu innego świata, właściwego świata duszy, gdzie — obok trwających w dalszym ciągu analogii — nowe panują prawa. Mam na myśli badania

i stwierdzania przez medycynę nowoczesną faktów, dotyczących magnetyzmu zwierzęcego, somnambulizmu oraz wszelkich stanów duszy różnych od poprzednich, a więc: snu na jawie, jasnowidzenia i ekstazy.

Wiedza współczesna rozpoczyna dopiero pierwsze po omacku stawiać kroki w tej dziedzinie, w której umiała się orientować wiedza świątyń starożytnych, posiadała bowiem potrzebne do niej podstawy i klucze do jej zrozumienia. Mimo to nie ulega kwestii, że i nauka współczesna odkryła tutaj cały szereg faktów, które wydały się jej zdumiewającymi, cudownymi, niedającymi się wyjaśnić, ponieważ przeczyły one teoriom materialistycznym, narzucającym jej przez tak długi czas kierunek myślenia i stanowiącym podstawę jej doświadczeń. Nie ma nic bardziej pouczającego nad pełne oburzenia niedowiarstwo niektórych uczonych materialistów wobec wielkich przejawów, mogących stwierdzić istnienie duchowego świata niewidzialnego. Każdy, kto ośmiela się dzisiaj dowodzić istnienia duszy, ściąga na siebie oburzenie prawdziwych ateistów, tak samo jak ongi gorszono prawowierność Kościoła, przecząc istnieniu Boga. Nie naraża się już teraz co prawda życia, ale naraża się swoją opinię.

Bądź co bądź wszakże, najprostsze zjawisko poddawania myślowego na odległość wyłącznie siłą myślenia, zjawisko stwierdzane tysiąckrotnie w kronikach magnetyzmu [4]), wykazuje działanie ducha i woli poza obrębem praw fizycznych i praw świata widzialnego.

Drzwi do Świata Niewidzialnego zostały więc uchylone. — W wyższych przejawach somnambu-

lizmu świat ten otwiera się szeroko. Poprzestanę jednak na tym, co stwierdziła nauka oficjalna.

Przechodząc od psychologii doświadczalnej i przedmiotowej do psychologii wewnętrznej i podmiotowej naszego czasu, znajdującej wyraz swój w poezji, muzyce i literaturze, zauważymy, że przenika ją potężny powiew bezwiednego ezoteryzmu. Dążenie do życia duchowego, tęsknota za światem niewidzialnym, dławione i odtrącane przez teorie materialistyczne i przez opinię publiczną, nie były nigdy szczersze i bardziej istotne. Odnajdujemy je w żalach, w zwątpieniach, w czarnych melancholiach, a nawet w bluźnierstwach naszych powieściopisarzy-naturalistów i naszych poetów-dekadentów. Nigdy dusza ludzka nie odczuwała głębiej niedostateczności, nędzy, nieistotności życia obecnego, nigdy nie tęskniła goręcej za niewidzialnym światem pozaziemskim, mimo że nie uwierzyła jeszcze w jego istnienie. Czasem nawet udaje jej się formułować intuicyjnie prawdy transcendentne [1]), nie wchodzące w skład systemu uznanego przez rozum, sprzeczne z poglądem ogółu i stanowiące bezwiedne wybłyski tajemnego jej uświadomienia. Przytoczę na dowód ustęp z pracy niezwykłego myśliciela, który doświadczył całej goryczy i całego osamotnienia moralnego dni dzisiejszych: „Każda sfera bytu — mówi Fryderyk Amiel — dąży do sfery wyższej i ma już objawienie jej i przeczucie. Ideałem, we wszelkiej jego postaci, jest wyprzedzanie, wizja prorocza bytu wyższego niż własny, do którego dąży zawsze każda istota.

Ten wyższy dostojnością swoją byt jest z natury swojej bardziej wewnętrznym, to znaczy bardziej

duchowym. Jak wybuchy wulkanów ujawniają nam tajniki wnętrza kuli ziemskiej, tak samo zapał i ekstaza są chwilowymi przebłyskami wewnętrznego świata duszy, a życie ludzkie jest właściwie tylko przygotowaniem i wstępem do tego życia duchowego. Nieskończone są stopnie wtajemniczenia. Czuwaj więc, uczniu życia, poczwarko anioła, pracuj nad twoim przyszłym wykluciem się, bowiem boska Odyssea jest jedynie szeregiem przeobrażeń coraz bardziej uduchowionych, w których każda postać poszczególna będąca wynikiem poprzednich, warunkuje powstawanie następnych. Życie boskie jest szeregiem kolejnych śmierci, przy których duch odrzuca swoje niedoskonałości i swoje symbole, poddaje się wzrastającej sile przyciągającej niewypowiedzianego ośrodka ciążenia, słońca intelektu i miłości".

Amiel był skądinąd bardzo rozumnym hegelianinem, pod którym krył się wyższy moralista. W dniu, w którym napisał te słowa natchnione, był głębokim teozofem. Trudno bowiem byłoby wyrazić w sposób bardziej porywający i bardziej świetlany właściwą istotę prawdy ezoterycznej. Powyższy rzut oka wystarczy do wykazania, że nauka i umysłowość współczesna przygotowują się bezwiednie i mimowolnie do przywrócenia dawnej teozofii, która będzie się posługiwała narzędziami precyzyjnymi i oprze się na solidniejszej podstawie. Ludzkość — wedle słów Lamartine'a — jest tkaczem, który pracuje w odwrotnym kierunku, idąc za wątkiem czasu. Przyjdzie dzień, kiedy przeszedłszy na drugą stronę płótna, ujrzy ona wspaniały i potężny obraz, który tkała w ciągu

wieków własnymi rękami, nie dostrzegając nic prócz skłębienia splątanych na odwrotnej stronie nici. W dniu tym stanie ona oko w oko z Opatrznością, ujawnioną w niej samej. Znajdą wówczas potwierdzenie słowa pewnego współczesnego pisma [6]) i nie wydadzą się zbyt śmiałymi tym, którzy dość głęboko dotarli do istoty tradycji okultystycznych, aby przeczuć cudowną ich jedność. Słowa te brzmią: „Doktryna ezoteryczna nie jest jedynie nauką, filozofią, moralnością i religią. Jest ową właściwą nauką, właściwą filozofią, właściwą moralnością i właściwą religią, do których wszystkie inne są tylko przygotowaniem lub których są zwyrodnieniem, wyrazem częściowym lub nieścisłym, zależnie od tego, czy zbliżają się do nich czy też się od nich oddalają“.

Nie kusiłem się bynajmniej przedstawić pełny obraz owej nauki nauk. Wymagałoby to całego gmachu nauk znanych i nieznanych, odtworzonych w ich ramach hierarchicznych i przekształconych w duchu ezoteryzmu. Dowieść chciałem jedynie, iż doktryna Tajników leży u źródła naszej cywilizacji; że stworzyła ona wielkie religie, zarówno aryjskie jak i semickie; że chrystianizm prowadzi do niej cały rodzaj ludzki i że nauka współczesna opatrznościowo zmierza ku niej całokształtem swojego rozwoju; że wreszcie nauka i religia spotkają się w niej, jak w porcie połączenia, i znajdą w niej ostateczną swą syntezę.

Rzec można, że gdziekolwiek znajduje się ułamek jakiś doktryny ezoterycznej, tam istnieje ona w całości. Każda bowiem z jej części każe się domniemywać istnienia pozostałych lub rodzi je. Po-

siedli ją wszyscy wielcy mędrcy i wielcy prorocy, a prorocy przyszłości posiędą ją tak samo jak ich poprzednicy. Światło może mieć większą lub mniejszą siłę natężenia, będzie to jednak zawsze to samo światło. Kształt, szczegóły, zastosowania mogą ulegać nieskończonym zmianom; istota rzeczy, to znaczy początek i koniec pozostają wiekuiście niezmienne, — Czytelnik znajdzie w książce tej rodzaj rozwoju stopniowego, kolejnego ujawnienia różnych części doktryny, poprzez dzieje wielkich wtajemniczonych. Każdy z nich jest przedstawicielem jednej z wielkich religii, które przyczyniły się do ukształtowania współczesnej ludzkości i których szereg kolejny wytyka linię rozwoju, zakreśloną przez nią w cyklu niniejszym, zacząwszy od starożytnego Egiptu i pierwszych czasów aryjskich. Wyprowadzona ona będzie nie z oderwanego, scholastycznego wykładu, ale z dusz wielkich wtajemniczonych i z żywej pracy historii.

W szeregu tym Rama ukazuje nam jedynie dostęp do świątyni. Kryszna i Hermes dają klucz do niej. Mojżesz, Orfeusz i Pytagoras otwierają jej wnętrze. Chrystus jest uosobieniem świętego przybytku.

Książkę tę zrodziło jedynie gorące pragnienie zdobycia prawdy najwyższej, całkowitej, wiekuistej, bez której prawdy częściowe są tylko ułudą. Zrozumieją mnie ci, którzy świadomi są, że chwila obecna historii z jej bogactwami materialnymi smutną jest pustynią ze stanowiska duszy i jej dążeń nieśmiertelnych. Moment jest wielce krytyczny i wyniki ostateczne agnostycyzmu [7]) zaczynają się dawać we znaki w postaci rozprzężenia społeczne-

go. Powstaje — zarazem dla Francji i dla całej Europy — zagadnienie: być albo nie być. Nasuwa się — o ile nie chcemy wpaść ostatecznie w otchłań materializmu i anarchii — konieczność oparcia organicznych prawd zasadniczych na podstawach niewzruszonych.

Nauka i Religia — te strażniczki cywilizacji, utraciły obie dar swój najwyższy, swój wpływ magiczny, polegający na posiadaniu i szerzeniu wielkiej i silnej wiedzy. Świątynie Indii i Egiptu wydały największych mędrców świata. Świątynie greckie ukształtowały dusze bohaterów i poetów. Apostołowie Chrystusa byli sami wzniosłymi męczennikami i zrodzili tysiące ich. Kościół średniowieczny, bez względu na swoją teologię pierwotną, wydał świętych i rycerzy dzięki temu, że wierzył i że duch Chrystusowy wstrząsał nim od czasu do czasu. Dzisiaj ani Kościół spętany w okowach dogmatu, ani Nauka zamknięta w swojej materii, nie umieją już wytwarzać ludzi całkowitych. Zatraciła się sztuka tworzenia i urabiania dusz. Nie zmartwychwstanie ona, dopóki Nauka i Religia, zlane w jedną siłę żywą, nie wezmą się zgodnym wysiłkiem do dzieła zbawienia ludzkości. Nauka nie będzie musiała w tym celu zmieniać metody, lecz jedynie rozszerzy swój zakres, zaś chrystianizm utrzyma swoją tradycję, ale zrozumieć będzie musiał jej powstanie, jej ducha i jej doniosłość.

Ten czas odrodzenia intelektualnego i przeistoczenia społecznego nadejdzie niewątpliwie. Zwiastują go już pewne oznaki niezawodne. Kiedy Nauka zdobędzie Wiedzę, Religia zyska moc, a Człowiek będzie działał z nową energią — wówczas

łącznymi, uzgodnionymi ich siłami odrodzi się Sztuka życia i wszystkie w ogóle sztuki. W przeciwnym razie nie nastąpi to nigdy.

Zanim to jednak nastąpi, cóż czynić pozostaje na tym schyłku wieku, podobnym do staczania się w otchłań wpośród groźnego zmierzchu, gdy początek zdawał się wznoszeniem ku wolnym szczytom w blaskach wspaniałej jutrzenki? — Wiara — powiedział pewien wielki uczony — jest odwagą ducha rwącego naprzód, pewnego, że odnajdzie prawdę. Wiara taka nie jest wrogiem rozumu, lecz jego pochodnią; to wiara Kolumba i Galileusza, wiara, szukająca dowodów i przeciw-dowodów, p r o v a n d o  e  r i p r o v a n d o; — jest ona jedynie możliwą dzisiaj. Dla tych, którzy utracili ją bezpowrotnie — a takich są zastępy, przykład bowiem idzie z góry — droga jest łatwa i wytknięta: — iść za prądem czasu, poddać się jego nastrojom, zamiast walczenia z nimi, zadowolić się zwątpieniem i przeczeniem i znajdywać pociechę — w obliczu wszystkich nędz ludzkich i przyszłych kataklizmów — w uśmiechu szyderczym; rzucać na głęboką nicość rzeczy, w którą się jedynie wierzy, błyszczącą zasłonę, zdobioną pięknym mianem ideału, jakkolwiek się wie, że jest on jedynie niezbędną ułudą.

Co się zaś tyczy nas, biednych zatraceńców, którzy wierzymy, że Ideał jest jedyną Rzeczywistością oraz jedyną Prawdą wpośród zmiennego i znikomego świata; którzy wierzymy w sankcję i spełnienie się zapowiedzi tego Ideału, zarówno w historii ludzkości, jak w życiu przyszłym; którzy wierzymy, że sankcja ta jest potrzebną, że jest ona nagrodą za

braterstwo ludzkie, jako rozum wszechświata i logika Boga, — dla nas, którzy przeświadczeni o tym jesteśmy, jedna tylko pozostaje droga: Głośmy tę prawdę bez obawy i możliwie najdonośniej; rzućmy się z nią na arenę czynu, i — ponad ową walką bezładną — usiłujmy przeniknąć rozmyślaniem i wtajemniczaniem się indywidualnym do Świątyni Idei niewzruszonych, aby uzbroić się w niej w podstawy niezwalczone.

Drogę tę starałem się obrać w tej książce w nadziei, że inni pójdą za mną i uczynią to lepiej ode mnie.

# KSIĘGA PIERWSZA

# R A M A

## CYKL ARYJSKI

Zoroaster zapytał Ormuzda, wielkiego Twórcę: „Kto jest pierwszym człowiekiem, z którym mówiłeś“?

Ormuzd odpowiedział: „Piękny Yima, który był na czele mężnych“.

Powiedziałem mu, aby czuwał nad światami, których jestem władcą i dałem mu złoty miecz, miecz zwycięstwa!

I poszedł Yima po drodze słońca i zgromadził mężnych w słynnej Airyana-Vaćja, stworzonej czystą.

Zend-Avesta (Vendidad-Sadé)
2-i Fargard.

O Agni! Ogniu święty! Ty, który uśpiony jesteś w drzewie i wzlatujesz płomieniem jasnym nad ołtarzem ofiarnym, tyś jest sercem ofiary, śmiałem wzbiciem się modlitwy w niebiosa, iskrą bożą utajoną w rzeczy każdej i świetlaną duszą słońca.

Hymn wedyjski.

## I

## RASY LUDZKIE I POCZĄTEK RELIGII

Niebo jest moim ojcem, spłodziło mnie ono. Rodziną jest mi całe to otoczenie niebieskie. Matką moją jest wielka Ziemia. Najwyżej wzniesiona część jej powierzchni jest jej macicą: tutaj Ojciec zapładnia łono tej, która jest jego małżonką i córką jego".

Tak śpiewał przed czterema czy pięcioma tysiącami lat przed ołtarzem z ziemi, na którym płonął ogień suchych traw, poeta wedyjski. Głębią przeczucia wieszczego, potęgą uświadomienia tchną te słowa dziwne. Zawarta jest w nich tajemnica dwojakiego pochodzenia ludzkości. Boski typ człowieka poprzedza ziemię i jest nad nią wyższy; niebiańskie jest pochodzenie jego duszy. Ale ciało jego jest wytworem pierwiastków ziemskich zapłodnionych przez treść kosmiczną. Uściski Uranosa i wielkiej Matki oznaczają w mowie Tajników deszcze dusz czy monad duchowych, spadających, aby zapłodnić zarodki ziemskie; są to pierwiastki twórcze, bez których materia byłaby jedynie nie-

ruchomą masą rozlaną. Część najbardziej wzniesiona powierzchni ziemskiej, którą poeta wedyjski nazywa macicą ziemi, oznacza lądy i góry, kolebki ras ludzkich. Co zaś do nieba: V a r u n a, grecki Uranos, uosabia świat niewidzialny, nadzmysłowy, wieczny i duchowy, obejmuje całą Nieskończoność Przestrzeni i Czasu.

W rozdziale niniejszym rozpatrywać będziemy ziemskie jedynie początki ludzkości podług tradycji ezoterycznych, uznanych i potwierdzonych przez współczesną wiedzę antropologiczną i etnologiczną.

Cztery rasy, zaludniające obecnie kulę ziemską, są córami rozmaitych stref i ziem. Stwarzane kolejno, drogą powolnego kształtowania się ziemi, wyłaniały się lądy z mórz w znacznych odstępach czasu, nazywanych przez starożytnych kapłanów indyjskich cyklami przedpotopowymi.

Poprzez tysiące lat rodził ląd każdy własną swoją florę i faunę, a uwieńczeniem tego dzieła było stworzenie rasy ludzkiej różnej barwy.

Ląd południowy, pochłonięty przez ostatni wielki potop, był kolebką pierwotnej czerwonej rasy ludzkiej. Szczątkami jej, pochodzącymi od Troglodytów, jaskiniowców, którzy przedostali się na szczyty gór podczas zapadania się ich lądu, są amerykańscy Indianie. Afryka jest macierzą rasy czarnej, nazwanej przez Greków etiopską. Azja wydała rasę żółtą, która utrzymała się w Chińczykach. Najpóźniej powstała rasa biała, której kolebką są lasy Europy, położone pomiędzy nawałnicami Atlantyku a uśmiechami morza Śródziemnego. Wszystkie odmiany ludzkie są wytworem pomieszań, połączeń, zwyrodnień czy doborów tych czte-

rech wielkich ras. W okresach poprzednich rasa czerwona i rasa czarna panowały kolejno, wydawszy potężne cywilizacje, które pozostawiły ślady w postaci budowli cyklopicznych jak w architekturze Meksykańskiej. Świątynie Indii i Egiptu przechowały nieliczne tylko znaki cyfrowe i tradycje, dotyczące tych cywilizacji zanikłych. W naszym okresie góruje rasa biała, rzec też można, obliczając przypuszczalną starożytność Indii i Egiptu, iż przewaga jej datuje od siedmiu czy ośmiu tysięcy lat [8]).

Podług tradycji bramińskich, cywilizacja powstać miała na kuli ziemskiej przed 50 tysiącami lat, wraz z rasą czerwoną, na lądzie południowym, w epoce, kiedy cała Europa i część Azji pokryte były jeszcze wodą. Mitologie te wspominają jeszcze o uprzednim istnieniu jakiejś rasy olbrzymów. Odnaleziono w jaskiniach Tybetu olbrzymie kości ludzkie, których budowa przypomina raczej małpę niż człowieka. Są to szczątki ludzkości pierwotnej, przejściowej, bliskiej jeszcze zwierzętom, nie posiadającej mowy artykułowanej, ustroju społecznego, ani religii. Te trzy cechy powstają bowiem równocześnie i na tym właśnie polega znaczenie ciekawej owej tryjady bardyjskiej, która mówi: „Trzy rzeczy są pierwotnie równoczesne: Bóg, światło i wolność“. Wraz z pierwszymi artykułowanymi dźwiękami powstaje społeczeństwo oraz mgliste przeczucie boskiego porządku rzeczy. Jest to tchnienie Jehowy w ustach Adama, zaklęcie Hermesa, prawo pierwszego Manu, ogień Prometeusza. Bóg drga w faunie ludzkim. Rasa czerwona, jak mówiliśmy, zaludniała ląd południowy, dzisiaj po-

chłonięty przez ocean, nazwany przez Platona, w myśl tradycji egipskich, Atlantydą.

Wielki kataklizm zniszczył ją częściowo i rozproszył jej resztki. Niektóre rasy polinezyjskie oraz Indianie Ameryki Północnej i Aztekowie napotkani przez Franciszka Pizarro w Meksyku, są przeżytkami dawnej rasy czerwonej, której kultura, zatracona od dawna, miała swoje dni chwały i świetności materialnej. Wszyscy ci biedni spóźnieni potomkowie noszą w duszy swojej nieuleczalną melancholię, właściwą starym, zamierającym beznadziejnie rasom.

Po rasie czerwonej rasa czarna panowała na kuli ziemskiej. Typu jej najbardziej skończonego nie należy szukać w zwyrodniałym murzynie, ale w Abisyńczyku i w Nubijczyku, w którym przechowały się cechy specyficzne tej rasy z doby jej rozkwitu. Czarni zajęli południe Europy w czasach przedhistorycznych i zostali wyparci stąd przez białych. Pamięć ich zaginęła zupełnie w tradycjach gminnych. Odcisnęli oni jednak na nich dwa piętna niezatarte: strach przed smokiem, który był godłem ich królów, oraz pojęcie, że diabeł jest czarny. Czarni wywzajemnili się za obelgę, czyniąc swojego diabła białym. W okresie przewagi swojej mieli czarni środowiska religijne w Górnym Egipcie i w Indiach. Ich miasta cyklopiczne wznosiły się na górach Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej. Ich ustrój społeczny polegał na bezwzględnej teokracji. U szczytu kapłani, przed którymi drżano jak przed bóstwami; w dole szczepy rojące się bezładnie, bez podziału na rody, z kobietami-niewolnicami. Kapłani owi posiadali głęboką wiedzę, wyzna-

wali zasadę boskiej jedności wszechświata oraz kult gwiazd, który pod nazwą s a b e i z m u przesiąknął do narodów białych [9]). Nie było wszakże żadnego ogniwa łącznego pomiędzy wiedzą czarnych kapłanów, a bałwochwalstwem mas, żadnej sztuki ideowej ani mitologii urobionej na tle wrażeń. Poza tym wszakże był przemysł ich dość już rozwinięty, zwłaszcza zdolność miotania pocisków i posługiwania się w tym celu masami głazów olbrzymich oraz topienia metali w ogromnych paleniskach, przy których zatrudniano jeńców wojennych. Religią rasy tej, potężnej dzięki jej odporności fizycznej, sile namiętności i zdolności przywiązywania się, było panowanie siły oparte na strachu. W świadomości tych ludów dziecięco naiwnych występowała Natura i Bóg nie inaczej jak w postaci smoka, straszliwego zwierzęcia przedpotopowego, którego obraz malować sobie kazali królowie na swoich sztandarach i którego kształt wycinali kapłani na wrotach swoich świątyń.

O ile w palących promieniach słońca Afryki zrodziła się rasa czarna, rzec można, iż lody bieguna północnego zrodziły rasę białą. Byli to owi Hyperborejczykowie, o których mówi mitologia grecka. Ci ludzie rudowłosi, niebieskoocy, przedarli się z Północy przez gąszcze lasów oświetlonych zorzą północną; towarzyszyły im psy i reny, a przewodzili im mężni wodzowie, kierowani przez niewiasty jasnowidzące. Złoto ich włosów i lazur ich oczu harmonijny tworzyły zespół barw, wyróżniający tę rasę, przeznaczoną jak gdyby do stworzenia kultu słońca i ognia świętego i przyniesienia światu tęsknoty za niebem.

Przyjdzie taki okres, w którym burzyć się ona będzie przed nim i zapragnie wedrzeć się doń, to znów korzyć się będzie przed jego wspaniałością w zachwycie bezgranicznym.

Podobnie jak inne, i rasa biała musiała wyzwolić się ze stanu dzikości, zanim budzić się w niej zaczęły pierwsze przebłyski samowiedzy. Wybitną jej cechą jest umiłowanie swobody jednostki, wrażliwość refleksyjna, stwarzająca zdolność współodczuwania oraz przewaga intelektu, nadająca wyobraźni kierunek idealistyczny i symboliczny. Wrażliwość uczuciowa wytworzyła przywiązanie, wyróżnianie przez mężczyznę jednej kobiety, stąd skłonność tej rasy do monogamii, zasada życia małżeńskiego i rodzinnego. Wyobraźnia dążąca do ideałów stworzyła kult przodków, który stanowi podstawę i jądro religii narodów białych.

Pierwiastek społeczny i polityczny ujawnił się w dniu, w którym pewna liczba ludzi na pół dzikich, zagrożonych przez szczep wrogi, zgromadziła się, wiedziona instynktem, i wybrała najsilniejszego i najrozumniejszego spośród siebie, aby bronił ich i przewodził nad nimi. Dzień ten był dniem narodzin społeczeństwa. Wódz jest przyszłym królem, jego towarzysze — przyszłą szlachtą; starcy obradujący, lecz niezdolni do marszów wytężonych, tworzą już rodzaj senatu lub rady starszych. W jaki wszakże sposób powstała religia? Utrzymywano, że zrodził ją lęk człowieka pierwotnego wobec zjawisk przyrody. Lęk wszakże nic nie ma wspólnego z szacunkiem i miłością. Nie wiąże on faktu z ideą, rzeczy widomej z Nieznanem, człowieka z Bogiem. Dopóki człowiek drżał przed naturą, nie był je-

szcze człowiekiem. Stał się nim w dniu, w którym uświadomił sobie związek, łączący go z przeszłością i przyszłością, z czymś wyższym i dobroczynnym, w dniu, w którym zbudziło się w nim uwielbienie dla tajemniczego tego nieznanego. W jaki jednak sposób objawiło się to uwielbienie po raz pierwszy?

Fabre d'Olivet kreśli genialnie pomyślaną, przekonywującą hipotezę w sprawie sposobu, w jaki kult przodków miał powstać u rasy białej [10]).

W klanie wojowniczym wybuchło starcie pomiędzy dwoma współzawodniczącymi wojownikami. Rozwścieczeni chcą wstąpić w bój i już stają naprzeciw siebie. W tej samej chwili niewiasta jakaś z włosem rozwianym rzuca się pomiędzy nich i rozdziela ich. To siostra jednego, zarazem żona drugiego. Oczy jej ciskają płomienie, głos jej nabrał brzmienia rozkazu. Woła głosem zadyszanym, urywanym, że widziała w lesie Przodka rasy, zwycięskiego ongi wojownika, który nagle ukazał się jej. Nie chce on, aby dwaj bracia walczyli z sobą wzajem, lecz żąda, aby się połączyli przeciwko wspólnemu wrogowi. „Cień wielkiego Przodka, cień bohatera oznajmił mi to", woła kobieta w uniesieniu— „przemówił do mnie! Widziałam go!" Mówi z głębokim przeświadczeniem, że było tak istotnie, jak powiedziała. Przekonana przekonywa. Wzruszeni, zdumieni, jak gdyby druzgotani siłą niezmożoną, pojednani już przeciwnicy podają sobie dłonie i patrzą na kobietę natchnioną jak na rodzaj bóstwa.

Natchnienia podobne, po których następowały nagłe, gwałtowne zmiany nastrojów, musiały występować często i pod różnymi postaciami w życiu

przedhistorycznym rasy białej. U ludów barbarzyńskich kobieta jest pierwszą, która dzięki swojej wrażliwości nerwowej przeczuwa siły tajemne, stwierdza objawianie się światów niewidzialnych. Uprzytomnijmy sobie teraz wyniki nieoczekiwane i zdumiewające podobnego wydarzenia.

Cała ludność klanu poruszona jest nadzwyczajnym tym faktem, mówi o wydarzeniu cudownym. Dąb, pod którym natchniona niewiasta ujrzała zjawę, staje się drzewem świętym. Prowadzą ją na to miejsce: i tu pod czarodziejskim, magnetycznym wpływem księżyca, wprowadzającym ją w stan jasnowidzenia, przemawia w dalszym ciągu głosem proroczym w imieniu wielkiego Przodka. Niebawem niewiasta owa i inne jej podobne, stojąc na skałach, czy wpośród polan leśnych, przy wtórze wiatru i ryku dalekiego Oceanu, wyczarowuje mgliste zjawy przodków wobec zdjętych dreszczem trwogi tłumów. I tłumy te, porwane zapałem i ekstazą niewiasty, zobaczą te zjawy lub uwierzą, że je widzą, pociągnięte czarem, zaklętym w mgły lotne, unoszące się nad łąkami i osrebrzone blaskami księżycowymi. Ostatni z wielkich Celtów, Osjan, wywoła z mgieł tych ducha Fingala i jego towarzyszy. W ten sposób w samych już zaczątkach życia społecznego rodzi się kult przodków u ludzi rasy białej. Wielki Przodek staje się Bogiem plemienia. I oto mamy już początek religii.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dokoła prorokini gromadzą się starcy, którzy przypatrują się jej w chwilach jej snów na jawie, w momentach natchnień jej wieszczych. Badają oni jej stany zmienne, kontrolują jej objawienia, wyjaśniają jej słowa

prorocze. Spostrzegają, że w chwilach natchnień wieszczych, w stanie jasnowidzenia, twarz jej przeobraża się, mowa staje się rytmiczną, a głos podniesiony wypowiada proroctwa śpiewnie, melodią poważną i dźwięcznie w ucho wpadającą [11]). Stąd wiersz, strofa, poezja i muzyka, której źródło uważane jest za boskie przez wszystkie ludy aryjskie. Pojęcie objawienia nie mogło powstać na innej drodze, jak tylko w łączności z faktami podobnego rodzaju. Zarazem też wytryska z nich poczucie religijne, potrzeba kultu, kapłanów i poezji.

W Azji, w Iranie i w Indiach, gdzie ludy białe zapoczątkowały pierwsze cywilizacje aryjskie, połączywszy się z ludami barwy odmiennej, mężczyźni rychło wzięli górę nad kobietami w zakresie natchnień religijnych. Mowa tam już jest tylko o mędrcach, o rishi, o prorokach. Kobieta odsunięta, podległa, jest już kapłanką tylko przy ognisku domowym. W Europie natomiast odnajdujemy ślady górującej roli kobiety u ludów tego samego pochodzenia, pozostających w stanie barbarzyńskim w ciągu tysiącleci. Uwydatniają się one w Pythonissie, wróżbiarce skandynawskiej, w Voluspie Eddy, w druidyjskich kapłankach celtyckich, we wróżbitkach towarzyszących armiom germańskim i rozstrzygających o dniach wydawania bitew [12]), i wreszcie w Bachantkach tracejskich, o których mowa jest w legendzie o Orfeuszu. Wieszczbiarka przedhistoryczna odradza się w Pytii Delfijskiej.

Prorokinie pierwotne rasy białej tworzyły zgromadzenia druidek pod dozorem starców uczonych czyli druidów, ludzi spod dębu. Zrazu był wpływ ich prawdziwie dobroczynny. Intuicją swoją, bo-

skim swoim natchnieniem, zapałem nadawały one olbrzymi rozpęd duchowy rasie, która stała zaledwie u progu wielowiekowej walki swojej z rasą czarną. Rychło jednak uległa instytucja druidek rozprzężeniu. Nieuniknionymi stały się wówczas ogromne nadużycia. Czując się paniami losów rodzimych szczepów, zapragnęły druidki utrwalić to panowanie, za wszelką cenę. Nie mogąc stale liczyć na natchnienie, próbowały w braku jego panować grozą. Żądały ofiar w ludziach i uczyniły z nich pierwiastek podstawowy swojego kultu. Instynkty bohaterskie ich rasy wielce były im w tym względzie pomocne. Białych cechowało męstwo i ich wojownicy lekceważyli śmierć, na pierwsze zaraz wezwanie zjawiali się sami i z zapałem junackim rzucali się pod nóż krwawych kapłanek. Żywych wysyłano w poselstwie do zmarłych, aby tą drogą zyskać łaski przodków. Ta groźba nieustanna zawieszona nad głowami pierwotnych wojowników i spadająca w postaci wyroków głoszonych ustami proroków i druidek, stała się w rękach ich potężnym narzędziem władzy.

Mamy tu pierwszy przykład wypaczenia, jakiemu z konieczności ulegają najszlachetniejsze porywy natury ludzkiej, gdy nie miarkuje ich władza rozumna, mająca dobro jedynie na względzie i zdążająca ku niemu, pod wpływem wyższego uświadomienia. Wydane na łup ambicji i namiętności osobniczych, przeistacza się natchnienie w przesąd, męstwo staje się okrucieństwem, wzniosła idea ofiary — narzędziem tyranii, wyzyskiem podstępnym i okrutnym.

Były to jednak pierwsze dopiero zaczątki, gwał-

towne i nieobliczalne w swym szale dzieciństwo rasy białej. Pełna zapału w dziedzinie duchowej, wystawiona ona być miała na wiele innych, bardziej jeszcze krwawych przełomów. Zbudziły ją do czynu pierwsze napaści rasy czarnej, która zaczynała zagarniać ją od południa Europy. Walka była z początku nierówna. Biali, na pół dzicy, wychodzący ze swoich lasów lub mieszkań nawodnych, mieli za jedyną broń łuki, dzidy i strzały o ostrzach kamiennych. Czarni uzbrojeni byli w broń żelazną, w rynsztunek spiżowy, posiadali wszystkie środki walki, jakich im dostarczyła ich cywilizacja pomysłowa i cyklopiczne ich grody. Zmiażdżeni w pierwszym starciu, uprowadzeni zostali Biali w niewolę Czarnych, którzy zmusili ich do rozbijania i obrabiania kamieni oraz do topienia metali w wielkich ich paleniskach. Rychło wszakże zaczęli ratujący się ucieczką zbiegowie wprowadzać do ojczyzny swojej obyczaje, sztuki, rzemiosła, a także okruchy wiedzy zwycięzców. Biali nauczyli się od Czarnych dwuch rzeczy zasadniczych: topienia metali i świętego pisma, to znaczy sztuki utrwalania myśli swoich za pomocą tajemniczych znaczków hieroglificznych rysowanych na skórach zwierząt, na kamieniach lub też na korze jesionów, — co dało początek runom celtyckim. Metal stopiony i przekuty dawał broń wojenną; święte pismo było zaczątkiem nauki i tradycji religijnej. Walka rasy białej z czarną toczyła się ze zmiennym szczęściem w ciągu długich wieków od Pirenejów do Kaukazu i od Kaukazu do Himalajów. Zbawieniem Białych były ich lasy, gdzie jak dzikie zwierzęta mogli kryć się, aby wypadać

z nich w chwili odpowiedniej. Ośmieleni, zahartowani w bojach, coraz lepiej zbrojni ze stulecia na stulecie, osiągnęli wreszcie odwet: zburzyli miasta Czarnych, wypędzili ich z wybrzeży europejskich i zajęli z kolei całą północ Afryki oraz środek Azji, zaludniony przez szczepy rasy czarnej.

Zmieszanie obu ras dokonane zostało dwojakim sposobem: bądź drogą pokojowej kolonizacji, bądź — podboju wojennego. Fabre d'Olivet, cudownie wskrzeszający obraz przedhistorycznej przeszłości świata, niezmiernie jasny rozwija pogląd na powstanie narodów zwanych semickimi i narodów zwanych aryjskimi, przy czym punkt wyjścia jego jest następujący: Tam, gdzie biali osadnicy poddali się dobrowolnie narodom czarnym i podporządkowali się im, przyjmując z rąk ich kapłanów wtajemniczenie religijne, utworzyć się miały ludy semickie, jak: Egipcjanie sprzed Menesa, Arabowie, Fenicjanie, Chaldejczycy i Żydzi. Cywilizacje aryjskie natomiast powstać miały tam, gdzie Biali panowali nad Czarnymi dzięki zwycięstwu czy podbojowi; takim np. miało być pochodzenie Irańczyków, Hindusów, Greków i Etrusków. Dodajmy, że tą nazwą narodów aryjskich obejmujemy też narody białe, które pozostały w starożytności w stanie barbarzyńskim i koczowniczym, jak np.: Scytów, Getów, Sarmatów, Celtów a w następstwie Germanów. Tłumaczyłaby się tym zasadnicza różnorodność religii i pisma tych dwu wielkich kategorii narodów. U Semitów, na których pierwotnie wpływ przeważający wywierała umysłowość rasy czarnej, zauważyć się daje — ponad powszechnym bałwochwalstwem — dążenie do mo-

noteizmu, — bowiem ukryta doktryna jedności Boga nieosobowego i bezwzględnego była jedną z głównych zasad wiary kapłanów czarnej rasy oraz ich wtajemniczania. U Białych, którzy bądź jako zwycięzcy bądź z innych powodów pozostali czyści, spostrzegać się daje, przeciwnie, dążenie do wielobóstwa, do mitologii, do personifikacji bóstwa, co wypływało z ich umiłowania natury i z ich namiętnego kultu przodków.

Na tej samej drodze wytłumaczyć się też daje zasadnicza różnica pomiędzy pismem Semitów i Aryjczyków. Dlaczego wszystkie narody semickie piszą idąc od ręki prawej ku lewej, a ludy aryjskie — od lewej ku prawej? Fabre wyjaśnia to w sposób zarazem ciekawy i oryginalny. Wyjaśnienie jego daje nam istną wizję zaginionej tej przeszłości.

Wiadomo powszechnie, że w czasach przedhistorycznych nie istniało zwykłe pismo. Sztuka pisania polegała na oddawaniu znakami dźwięków wyrazów. Pismo hieroglificzne, czyli sztuka przedstawiania rzeczy różnymi znakami, sięga najpierwszych szczątków cywilizacji. W owych czasach pierwotnych była ona przywilejem kapłanów, uważana bowiem była za coś świętego, jako obrządek religijny, a pierwotnie nawet jako wyraz natchnienia boskiego. Kiedy na południowej półkuli kapłani rasy czarnej, czyli sudańskiej, kreślili na skórach zwierzęcych lub też na płytach kamiennych swoje znaki tajemnicze, zwracali przy tym zazwyczaj twarz ku biegunowi południowemu; ręka ich skierowana była ku Wschodowi, źródłu światła, dlatego pisać musieli od strony prawej ku lewej. Kapłani rasy

białej, czyli północnej, nauczyli się pisma od kapłanów czarnych i pierwotnie pisać zaczęli w ten sam sposób jak oni. W miarę jednak, jak budzić i rozwijać się w nich zaczęło poczucie odmienności pochodzenia, świadomość narodowa i ambicja czy duma rasowa, wymyślać zaczęli własne swoje znaki i, zamiast zwracania się w stronę Południa, ku krainie Czarnych, zwracali się ku Północy, ku krajowi Przodków i pisali w stronę Wschodu, — wskutek czego stawiać zaczęli znaki od strony lewej ku prawej. Tym się tłumaczy kierunek runów celtyckich, znaków zendu czyli języka starożytnych Persów, sanskrytu, języka greckiego, łaciny i wszystkich w ogóle pism ras aryjskich. Biegną one w kierunku słońca, źródła życia na ziemi; ale zwrócone są ku Północy, ojczyźnie Przodków i tajemnemu źródłu jutrzni niebiańskich.

Prąd semicki i prąd aryjski stanowią dwa strumienie, którymi szły do nas wszystkie nasze światopoglądy, mitologie nasze i religie, sztuki, nauki i doktryny filozoficzne. Każdy z tych prądów przynosi ze sobą odmienny światopogląd, a ujednostajnienie tych pojęć odmiennych i ich pojednanie dałoby prawdę właściwą. Prąd semicki obejmuje zasady bezwzględne i wyższe: pojęcie jedności i powszechności w imię idei kierowniczej, która w zastosowaniu swoim prowadzi do zjednoczenia całego rodu ludzkiego. Prąd aryjski mieści w sobie ideę rozwoju, idącego wzwyż poprzez wszystkie królestwa ziemskie i pozaziemskie, i prowadzi, w zastosowaniu swoim, do nieskończonej różnorodności rozwoju w imię nieprzebranego bogactwa natury i wielorakich dążeń duszy. Geniusz semicki zstępu-

je od Boga do człowieka; geniusz aryjski wznosi się od człowieka do Boga. Symbolem pierwszego jest archanioł, wymierzający sprawiedliwość i zstępujący na ziemię, zbrojny w miecz i piorun; drugiego — Prometeusz, dzierżący w dłoni ogień porwany z niebios i hardo mierzący wzrokiem Olimp.

My dzisiaj nosimy w sobie oba te geniusze. Myślimy i działamy z kolei pod wpływem jednego i drugiego. Są one jednak splątane bezładnie, a nie zlane w jedną całość w naszej umysłowości. Przeciwstawiają się wzajem sobie i zwalczają w naszym poczuciu wewnętrznym i w naszym myśleniu nieuchwytnym tak samo jak w naszym życiu społecznym i w naszych urządzeniach publicznych.

Utajone pod różnorodnymi postaciami, które możnaby sprowadzić do dwu mianowników ogólnych: spirytualizmu i naturalizmu, nadają one kierunek naszym dyskusjom i walkom naszym. Niezwalczone są oba i nie dają się pogodzić z sobą wzajem. Któż je złączy? A jednak od ich pojednania, od zlania się ich w jedną syntezę zależy postęp i zbawienie ludzkości. Dlatego też w pracy niniejszej chcielibyśmy dotrzeć do źródła obu prądów, do narodzin dwu geniuszów. Poprzez walki dziejowe, wojny kultów, sprzeczności tekstów świętych przenikniemy w głąb sumień twórców ich i proroków, którzy nadali religiom kierunek pierwotny. Posiedli oni zarazem intuicję wieszczą i natchnienie, przychodzące z góry, żywe światło, rodzące czyn płodny. Synteza istniała w nich, tkwiła w ich duszach od początku. Promień boski zbladł i ściemnił się w ich następcach; wybłyskuje on jednak ponownie, ilekroć w danym momencie dziejowym

prorok jakiś, bohater, czy jasnowidzący wznieść się zdoła do samego źródła jasności. Bowiem cel dostrzec można tylko z punktu ośrodkowego; ze słońca promieniującego — bieg planet. Taki przebieg mają dzieje objawienia. Jest ono stałe, stopniowe, wielopostaciowe jak natura, — ale płynące z jednego źródła, jedyne, jak jedyną jest prawda, stałe i niewzruszone jak Bóg.

Idąc wstecz drogą prądu semickiego, dochodzimy z Mojżeszem do Egiptu, którego świątynie miały — podług Manéthona — tradycję trzydziestu tysięcy lat. Idąc wstecz drogą prądu aryjskiego, dochodzimy do Indii, gdzie rozwinęła się pierwsza wielka cywilizacja, jako wynik podboju, dokonanego przez rasę białą. Indie i Egipt były dwiema wielkimi macierzami religii. Posiadły one tajemnicę wielkiego wtajemniczenia. Wejdziemy do ich świętych przybytków.

Tradycje ich wszakże prowadzą nas jeszcze dalej, do epoki odleglejszej, w której dwa geniusze, rozpatrywane przez nas, zjednoczone są w pierwotnej swojej niewinności i cudownie z sobą sharmonizowane. Jest to pierwotna epoka aryjska. Wspaniałe prace nauki współczesnej, zdobycze filologii, mitologii i etnologii porównawczej dają nam obecnie możność uchylenia zasłony, kryjącej tę epokę tak odległą. Zarysowuje się ona z prostotą iście patriarchalną i wspaniałą czystością linii poprzez hymny wedyjskie, które słabym są zaledwie jej odbiciem. Jest to wspaniały okres męskości, nie przypominający w niczym złotego okresu dziecięctwa, o którym śnią poeci.

Nie brak w nim bólu i walki, jest jednak w lu-

dziach urność, siła i pogoda ducha, których ludzkość nigdy już później nie odzyskała.

W Indiach myśl pogłębi się, a uczucia ulegną wysubtelnieniu. W Grecji uczucia i myśli spowinięte zostaną w urok sztuki, przyodzieją się w czarowną szatę piękna. Nie istnieje jednak poezja szczytniejsza od niektórych hymnów wedyjskich, przewyższająca je wzniosłością moralną i głębią myśli. Jest w nich poczucie boskości natury, świata niewidzialnego, który ją otacza i wielkiej jedności, przenikającej całość.

W jaki sposób zrodzić się mogła kultura podobna? Jak mogła rozwinąć się umysłowość taka wpośród zażartych wojen, jakie wiodły z sobą rasy, oraz ciągłej walki z naturą? Na tym miejscu zatrzymują się dociekania i domysły nauki współczesnej. Głębiej jednak docierają tradycje religijne narodów, pojmowane w ich znaczeniu ezoterycznym. Pozwalają nam one przypuszczać, że pierwsze skupienie jądra aryjskiego w Iranie wytworzyło się dzięki pewnego rodzaju doborowi, dokonanemu w samym łonie rasy białej pod przewodem zwycięskiego jakiegoś prawodawcy, który dał ludowi swojemu religię i prawa zgodne z geniuszem rasy białej. Księga święta Persów, Zend-Avesta, mówi w istocie o starożytnym takim prawodawcy, nazywając go imieniem Yimy. Zoroaster, tworząc nową religię, powołuje się na poprzednika tego, jako na pierwszego człowieka, do którego przemawiał Ormuzd, Bóg żywy, podobnie jak Chrystus powołuje się na Mojżesza. — Poeta perski, Firdusi, nazywa tego samego prawodawcę: Djem, zwycięzca Czarnych. — W epoce hinduskiej, w Ramaya-

n i e, zjawia się on pod nazwą: R a m a i w szacie króla indyjskiego, otoczonego wspaniałością wysoko rozwiniętej kultury; zachowuje on tu jednak podwójną swoją cechę: zdobywcy-odnowiciela i zarazem wtajemniczonego. — W tradycjach egipskich epoka Ramy określona jest jako epoka panowania Ozyrysa, pana światła, poprzednika Izydy, królowej tajników.

W Grecji wreszcie, starożytny bohater, pół-bóg, czczony był pod mianem Dionizosa, pochodzącym z sanskryckiego D e v a N a h u s h a, boski odnowiciel. Orfeusz nadał nawet nazwę tę boskiemu Rozumowi, a poeta Nonnus opiewał podbój Indii przez Dionizosa zgodnie z tradycjami Eleuzyńskiemi. Wszystkie tradycje te, jak promienie jednego i tego samego koła wskazują na jeden punkt środkowy wspólny. Idąc w ich kierunku, można dotrzeć do niego. Wówczas poprzez Indie Wedów, przez Iran Zoroastra, w pierwszym szarym brzasku rasy białej, dostrzeżemy wychodzącego z gęstwin leśnych dawnej Scytii pierwszego twórcę religii aryjskiej, promieniejącego podwójną glorią zwycięzcy, ogień święty, który oświeci wszystkie rasy.

Sława odnalezienia tej osobistości należy się Fabrowi d'Olivet [13]); utorował on drogę świetlaną, która do niej prowadzi. Idąc też śladem przez niego wytkniętym, będę usiłował i ja z kolei ją odtworzyć.

## II

## POSŁANNICTWO RAMY

Na cztery czy pięć tysięcy lat przed naszą erą gęste lasy pokrywały jeszcze dawną Scytię, ciągnącą się od Oceanu Atlantyckiego aż do mórz podbiegunowych. Czarni, którzy byli świadkami narodzin tego lądu, wyspa po wyspie, nazwali go „ziemią wyłonioną z fal". Jakież przeciwieństwo z ich ziemią białą spaloną od słońca, stanowiła ta Europa o zielonych wybrzeżach, o zatokach wilgotnych, głęboko wrzynających się w ląd, o sennych rzekach, ciemnych toniach jezior, o smugach mgieł, snujących się wiecznie po zboczach gór! Na porosłych trawą, nieuprawnych, rozległych jak pampasy płaszczyznach nie słychać było nic poza wyciem dzikich bestii, rykiem bawołów i ogłuszającym galopem stadnin dzikich koni, pędzących z rozwianymi na wietrze grzywami. Człowiek biały, zamieszkujący te lasy, nie był już jaskiniowcem. Mógł już uważać się za pana tej ziemi. Wymyślił już noże i topory z krzemienia, umiał sporządzać łuki i strzały, proce i sidła, i znalazł dwóch towarzyszy walki, dwóch przyjaciół doskonałych na

śmierć i życie: psa i konia. Pies domowy, który stał się wiernym, czujnym stróżem jego chaty skleconej z drzewa, zapewnił mu bezpieczeństwo domowego ogniska. Dzięki poskromieniu konia zdobył on ziemię, poddał władzy swej inne zwierzęta, stał się królem obszarów. Na grzbietach płowych rumaków pędzili i wirowali rudowłosi olbrzymi lotem błyskawicy. Zabijali niedźwiedzia, wilka, żubra, rzucali postrach na panterę i lwa, które w epoce owej zamieszkiwały nasze lasy.

Cywilizacja rozpoczęła swój pochód: szczątki rodziny, klan, plemię — istniały już. Scytowie, synowie Hyperborejczyków, wznosili już wszędzie na cześć przodków swoich potworne menhiry.

Po śmierci wodza grzebano wraz z nim jego zbroję i konia, aby mógł — jak mówiono — dosiadłszy go, zwalczyć ognistego smoka na tamtym świecie. Stąd zwyczaj składania ofiary z konia, odgrywający tak wielką rolę u Wedów i Skandynawów. Religia rozpoczynała się więc od kultu przodków.

Semici odnaleźli jedynego Boga, Ducha wszechświata w pustyni, na szczycie gór, w bezmiarze gwiezdnych przestrzeni. Scytowie i Celtowie znajdowali Bogów swoich, duchy wielorakie, w gąszczach lasów rodzinnych. Tam słyszeli głosy, tam przenikały ich po raz pierwszy dreszcze Niewidzialnego, wizje Zaświatów. Dlatego też las zachwycający czy groźny drogim pozostał rasie białej. Pociągana melodią liści i czarem światła księżycowego, powraca ona do niego wciąż w biegu wieków, jako do źródła Młodości, do świątyni pra-

macierzy Herty. Uśpione są w nim jej bóstwa, jej ukochania, jej utracone tajniki.

Od najdawniejszych czasów przepowiadały jasnowidzące niewiasty przyszłość, stojąc pod drzewami. Każdy szczep miał swoją wielką prorokinię, jak Woluspa Skandynawów z całym swoim orszakiem druidek. Kobiety te jednak zrazu wzniośle natchnione, stały się ambitnymi i okrutnymi. Dobre prorokinie przeistoczyły się w złe czarownice. Ustanowiły one ofiary z ludzi i krew poświęcanych zraszały nieustannie grobowce druidów, przy akompaniamencie ponurego śpiewu kapłanów i radosnych okrzyków okrutnych Scytów. Młodzieniec pewien, imieniem Ram, sposobił się również do kapłaństwa, skupiona jednak dusza jego i głęboki umysł wzdrygały się przed krwawym tym kultem.

Młody druid łagodny był i poważny. Od wczesnego dziecięctwa okazywał już skłonności szczególnie do poznawania roślin, ich cudownych własności; umiał wyciskać i przyrządzać soki z nich; bardzo zajmowało go również badanie gwiazd i ich wpływu. Zdawał się odgadywać, widzieć rzeczy dalekie. Stąd od lat najmłodszych wielkie uznanie dla niego, najstarszych nawet druidów. Słowa jego, cała jego postać tchnęły dobrotliwą jakąś wielkością. Jego spokój mędrca zupełnym był przeciwstawieniem opętania druidek, głosicielek klątw, rzucanych przez nie w ponurych wyroczniach, w konwulsjach szału. Druidzi nazwali go „tym, który wie“, a lud dał mu miano „natchnionego pokojem“.

W poszukiwaniu nauki boskiej wędrował Ram po całej Scytii i po krajach południowych. Kapła-

ni Czarnych, pociągnięci ogromem jego wiedzy, a zarazem jego skromnością, udzielili mu części swoich tajników. Po powrocie do kraju Północy przerażony był Ram nadzwyczajnym wzmożeniem się kultu ofiar ludzkich, w którym widział zgubę swojej rasy. Jaką jednakże drogą zwalczyć ten zwyczaj, mający źródło w dumie druidek, szerzony przez ambitnych druidów i podtrzymywany przez lud zabobonny? W owym czasie inna spadła na Białych klęska, w której dopatrywał się Ram kary niebios za kult świętokradzki. Z wycieczek swoich do krain Południa i stykania się z Czarnymi zawlekli Biali do kraju swego straszliwą chorobę, rodzaj dżumy. Zakażała ona krew ludzi, główne źródło życia. Plamy czarne występowały na całym ciele, oddech stawał się cuchnącym, nabrzmiałe i pokryte wrzodami członki zniekształcały się i chory umierał wśród najsroższych męczarni. Oddech żywych i odór zmarłych szerzyły zarazę. Przerażeni Biali padali i konali tysiącami w swoich lasach, opustoszałych nawet przez ptactwo drapieżne. Ciężko strapiony Ram szukał na próżno drogi ratunku.

Zwykł był on oddawać się rozmyślaniom pod dębem, stojącym na polanie leśnej. Pewnego wieczora, po wielogodzinnym rozmyślaniu o nieszczęściach swojej rasy, usnął pod swoim ulubionym drzewem. We śnie zdawało mu się, że ktoś woła go po imieniu i że się obudził. W chwili tej ujrzał przed sobą postać olbrzymią, odzianą, jak on sam, w białą szatę druida. W ręku trzymała ona laseczkę, dokoła której owijał się wąż. Zdziwiony Ram chciał zapytać nieznajomego o znaczenie laseczki,

gdy wtem zjawa ujęła go za rękę, kazała mu powstać i wskazała mu na drzewie, pod którym był uśpiony, prześliczną gałąź jemioły. „Ramie! — rzekła zjawa — oto lek, którego szukasz!“ Mówiąc to, wyciągnęła z łona swego mały złoty nożyk ogrodniczy, ścięła nim gałąź i dała mu ją, po czym, szepnąwszy kilka słów o sposobie przygotowania jemioły, znikła.

Wówczas Ram zbudził się na dobre, czując się znacznie pokrzepionym na duchu. Głos wewnętrzny mówił mu, że znalazł zbawienie. Bezzwłocznie zajął się przygotowaniem jemioły wedle wskazówek boskiego swego przyjaciela. Gdy napój był gotów, rozpuścił go w płynie sfermentowanym i dał go do wypicia jednemu z chorych, który od razu ozdrowiał. Cudowne kuracje, których dokonał, okryły go sławą w całej Scytii. Wzywano go wszędzie, aby uzdrawiał. Gdy druidzi jego szczepu zapytali go o skład leku, wyjawił im swoją tajemnicę, zaznaczając wszakże, że musi ona pozostać wyłączną własnością kasty kapłańskiej, aby nie pozbawić jej autorytetu. Uczniowie Rama, którzy obchodzili całą Scytię z gałązkami jemioły, uważani byli wszędzie za wysłańców boskich, a mistrz ich za pół-boga.

Wydarzenie to stało się źródłem nowego kultu. Jemioła uważana była odtąd za roślinę uświęconą. Na jej pamiątkę ustanowił Ram święto Kolendy czyli nowego zbawienia, które obchodzono na początku roku i które nazwał Nocą macierzystą (matką nowego słońca) czyli wielkim odnowieniem. Co się tyczy owej istoty tajemniczej, którą Ram ujrzał we śnie i która pokazała mu jemiołę,

nosi ona w tradycji ezoterycznej Białych Europejskich nazwę A e s c - h e y l - h o p a, co oznacza: „nadzieja zbawienia jest w lesie“. Grecy zrobili z niej Eskulapa, geniusza medycyny, trzymającego w ręku różdżkę czarnoksięską w postaci laski bożka, dokoła której owija się wąż.

„Natchniony pokojem“ Ram miał jednak szersze cele na względzie. Chciał on uleczyć naród swój z choroby moralnej, gotującej mu sroższą jeszcze klęskę niż dżuma. Z chwilą, gdy obrany został naczelnym druidem swojego szczepu, nakazał wszystkim druidom i druidkom, aby położyli kres przynoszeniu ofiar z ludzi.

Nowina ta rychło obiegła wszystkie ziemie aż do oceanu, witana wybuchami radości przez jednych, wywołująca jako zamach bluźnierczy, oburzenie innych. Druidki, czując, że władza ich jest zagrożona, najokropniejsze rzucały klątwy na śmiałka, głosiły na niego wyroki śmierci. Wielu druidów widzących w mordach ofiarnych jedyny sposób utrzymania się przy władzy, stanęło po ich stronie. Ram, ubóstwiany przez jednych, nienawidzony był przez innych. Nie tylko jednak nie cofnął się przed walką, ale zaostrzył ją przyjęciem nowego symbolu. Każdy szczep biały posługiwał się wówczas znakiem umówionym w postaci zwierzęcia, symbolizującego jego ulubione cechy. Jedni wodzowie wyrzynali na odrzwiach drewnianych swoich domostw podobizny żurawi, inni — orłów lub sępów, jeszcze inni głowy dzików lub bawołów. Były to pierwsze zaczątki późniejszych herbów. Ulubionym symbolem, malowanym przez Scytów na ich chorągwiach był Byk, którego nazywali Thor, znak

siły brutalnej przemocy. Ram przeciwstawił Bykowi — Barana, odważnego, ale pokojowo usposobionego wodza stada, obrał go za znak umówiony, wyróżniający wszystkich swoich stronników. Sztandar ten, zatknięty w pośrodku Scytii, stał się hasłem do wielkich zamieszek, spowodował istną rewolucję w umysłach. Narody białe rozdzieliły się na dwa obozy. Przełom nastąpił w głębi duszy Białych, którzy pierwszy zrobili krok na drodze wyzwolenia się ze zwierzęcej brutalności i wzniesienia się ku niewidzialnemu sanktuarium, wiodącemu do boskiej ludzkości. „Śmierć Baranowi!“ wołali stronnicy Byka. „Na bój z Bykiem!“ głosili przyjaciele Rama. Nieuniknioną stała się walka potężna.

Wobec podobnego stanu rzeczy zawahał się Ram. Czyż rozpętanie walki takiej nie było pogorszeniem zła i skazaniem rasy swojej na zagładę w wojnie bratobójczej? W tym momencie miał on ponowne widzenie.

Ciężkie, ciemne chmury zasnuły cały strop nieba. Słały się po zboczach gór i w pędzie czepiały się miotanych wichrem wierzchołków drzew. Stojąca na skale postać niewieścia z włosem rozwichrzonym już ramię podniosła, aby zadać cios śmiertelnikowi, związanemu u jej stóp. „W imię przodków, wstrzymaj się!“ krzyknął Ram, rzucając się na kobietę. Druidka groźnie spojrzała na przeciwnika, topiąc w nim wzrok od sztyletu ostrzejszy. Wtem ryknął grzmot potężny i w błysku pioruna ukazała się postać olśniewająca. Blask, który bił od niej, rozjaśnił las cały. Kobieta padła jak rażona; pękły więzy, którymi spętany był wojownik, patrzący z błyskiem wyzwania w oczach na postać

olbrzyma promiennego. Ram nie czuł jednak lęku, bowiem w rysach widziadła poznał istotę boską, która raz już objawiła mu się pod dębem. Wydała mu się teraz jeszcze piękniejszą; całe ciało jej promieniowało z siebie jasność. I spostrzegł Ram, że znajdował się w otwartej świątyni, otoczonej szeregiem wielkich kolumn.

Na miejscu kamienia ofiarnego wznosił się ołtarz. Przed ołtarzem stał wojownik, którego oczy wciąż jeszcze wyzywały śmierć. Kobieta leżąca na posadzce, wydawała się martwą. Geniusz niebiański dzierżył w prawej dłoni pochodnię, a w lewej — czarę. Uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł: „Ramie, zadowolony jestem z ciebie. Czy widzisz tę pochodnię? To ogień święty Ducha boskiego. Czy widzisz tę czarę? To czara życia i Miłości. Daj pochodnię mężczyźnie a czarę kobiecie". Ram uczynił, jak mu nakazał Geniusz. Z chwilą, gdy pochodnia dostała się do rąk mężczyzny, a czara do rąk kobiety, ogień zapłonął na ołtarzu, sam przez się, a oboje oni promienieli przeistoczeni w jego błysku, jako para boskich Oblubieńców. Równocześnie rozszerzyła się świątynia; kolumny sięgnęły nieba; sklepienie stało się stropem niebieskim. Wówczas Ram, pogrążony wciąż w śnie swoim wieszczym, ujrzał się na szczycie góry pod niebem gwiaździstym. Stojący przed nim Geniusz jego wyjaśniał mu znaczenie układów gwiezdnych i pozwolił mu odczytywać w płomiennych znakach zodiakalnych losy ludzkości.

„Duchu cudowny, kim jesteś?" — zapytał Ram swego Geniusza. A Geniusz odpowiedział: „Nazy-

wają mnie Dva Nahusha, Rozum boski. Rozsiejesz promień mój na ziemi, a ja przyjdę zawsze na twoje wezwanie. A teraz idź obraną drogą. Tam!“ I dłonią wyciągniętą wskazał mu Geniusz Wschód.

## III

## WYJŚCIE NA PODBÓJ

Senne to widzenie otworzyło oczy Ramie, jak gdyby olśnionemu nagłym światłem, na właściwe jego posłannictwo, na olbrzymią doniosłość przeznaczeń białej rasy. Zamiast tedy wzniecania pożogi wojennej pomiędzy szczepami europejskimi, postanowił pociągnąć za sobą wybrańców spośród nich w głąb Azji. Oznajmił więc stronnikom swoim, że ustanawia kult świętego ognia, który uszczęśliwi ludzkość; że składanie ofiar z ludzi na zawsze będzie zniesione; że obrządek wzywania Przodków nie będzie już dokonywany przez okrutne kapłanki na ociekających krwią ludzką dzikich skałach, ale przy każdym ognisku domowym przez oboje małżonków, złączonych w jednakiej modlitwie, w hymnie uwielbienia, przy ogniu oczyszczającym. Tak, ogień widmowy ołtarza, symbol i wyraziciel niewidzialnego ognia niebios, połączy rodzinę, klan, szczep i wszystkie narody, środowisko Boga żyjącego na ziemi. Aby posiać jednak siejbę taką, oddzielić należało przede wszystkim ziarno od plew; trzeba było, aby wszyscy mężni przygotowali się do

opuszczenia Europy dla zdobycia nowej ziemi, ziemi dziewiczej. Tam wyda on swoje prawa; tam ustanowi kult ognia odradzającego.

Myśl jego przyjęta została z zapałem przez lud młody i żądny przygód. Ognie, rozpalone i podsycane w ciągu kilku miesięcy na górach, były hasłem emigracji masowej wszystkich tych, którzy wyruszyć chcieli pod znakiem Barana. Olbrzymia masa wychodźcza, pod wodzą wielkiego pasterza narodów, ruszyła zwolna, kierując się ku środkowi Azji. W drodze wzdłuż Kaukazu zmuszona była zająć kilka cyklopicznych twierdz, wzniesionych przez Czarnych. Na pamiątkę zwycięstw swoich wycięły kolumny Białych ogromne głowy baranie na skałach Kaukazu.

Ram okazał się godnym szczytnego swojego posłannictwa. Usuwał trudności, przenikał myśli, przewidywał przyszłość, uzdrawiał chorych, uśmierzał bunty, zagrzewał męstwo. Widocznie więc potęgi niebiańskie, nazywane przez nas Opatrznością, chciały panowania rasy północnej na ziemi, gdy za pośrednictwem geniusza Ramy rozświetlały promieniami swoimi jej drogę. Rasa ta miała już swoich wtajemniczonych drugiego stopnia, którzy wyrwali ją ze stanu dzikości. Ram wszakże, w którego umyśle poczęta została po raz pierwszy idea prawa społecznego jako wyrazu prawa boskiego, był wtajemniczonym bezpośrednio, wtajemniczonym pierwszego rzędu.

Zaprzyjaźnił się z Turańczykami, dawnymi plemionami scytyjskimi, skrzyżowanymi z rasą żółtą i zamieszkującymi górną Azję i pociągnął ich za sobą na podbój Iranu, z którego wyparł całkowicie

Czarnych. Chciał on, aby naród czystej rasy białej zaludnił środek Azji i stał się dla wszystkich innych ogniskiem światła. Założył tu miasto Ver, miasto cudowne, mówi Zoroaster. Nauczył lud swój uprawiania i obsiewania ziemi, był ojcem zboża i łozy winnej. Ustanowił kasty zależnie od rodzaju zajęcia i rozdzielił całą ludność na kapłanów, wojowników, rolników i rzemieślników. Kasty te pierwotnie nie współzawodniczyły z sobą; przywilej dziedziczenia, odwieczne źródło nienawiści i zawiści, wprowadzony został później dopiero. Zakazał niewolnictwa równie surowo jak morderstwa, utrzymując, że niewolenie człowieka przez człowieka jest źródłem wszystkich nieszczęść. Zachował w zupełności ustrój klanowy, więc pierwotne ugrupowanie rasy białej, i pozwolił klanowi wybierać wodzów swoich i swoich sędziów.

Uwieńczeniem dzieła Ramy, głównym narzędziem cywilizacyjnym, przez niego stworzonym, była nowa rola, jaką wyznaczył kobiecie. Dotychczas mężczyzna znał kobietę w dwojakiej jej postaci: nędznej niewolnicy chaty, którą pomiatał i z którą obchodził się brutalnie, lub też groźnej kapłanki spod dębu i znad skały, o której łaski ubiegał się. Jak czarownica okrutna, opętała go ona i nieograniczoną miała nad nim władzę, gdyż przesądna dusza jego dygotała z lęku przed jej wyrokami. Krwawa ofiara ludzka była odwetem ze strony kobiety topiącej nóż w sercu swojego tyrana. Przez zniesienie tego kultu straszliwego i podniesienie kobiety wobec mężczyzny do boskiej godności małżonki i matki, Ram uczynił z niej kapłankę domowego ogniska, strażniczkę ognia świętego

równą małżonkowi, wzywającą wraz z nim ducha Przodków.

Jak wszyscy wielcy prawodawcy, Ram rozbudził jedynie i rozwinął podnioślejsze instynkty swojej rasy. Celem urozmaicenia i upiększenia życia ustanowił cztery wielkie święta doroczne. Pierwszym było święto wiosny czyli rodzaju. Poświęcone było miłości małżonka i małżonki. Święto lata czyli zbiorów należało do synów i córek, którzy darzyli rodziców plonami swojej pracy. Święto jesieni sławiło ojców i matki, którzy dawali dzieciom owoce na znak uciechy. Najuroczystszym i najbardziej mistycznym było święto Narodzin czyli wielkiego posiewu. Ram poświęcił je zarazem noworodkom, owocom miłości poczętym na wiosnę i duszom zmarłych czyli Przodków. Uroczystość ta religijna, jako łącznik między widzialnym a niewidzialnym, była zarazem pożegnaniem dusz, które uleciały, i mistycznym pozdrowieniem tych, które wstępowały ponownie w łona matek, aby odrodzić się w ich dzieciach. W tę noc świętą zbierali się dawni Ariowie w świętych przybytkach Aïryana-Vaeïa, jak to czynili ongi w swoich lasach. Roznieceniem ogni i śpiewami święcili początek roku ziemskiego i słonecznego, kiełkowania w łonie ziemi, życia płodnego w samym sercu zimy, dreszcz życia w głębi śmierci. Opiewali zlanie się w uścisku nieba i ziemi i zwycięskie poczęcie nowego słońca przez wielką Macierz-Noc.

Ram wiązał w ten sposób życie ludzkie z cyklem pór roku, z przeistoczeniami astronomicznymi, uwydatniając tym samym boskie jego znaczenie. Za ustanowienie płodnych tych w wyniki urządzeń

nazywa go Zoroaster „wodzem narodów, wielokroć szczęsnym monarchą“. Z tego też samego powodu poeta hinduski Valmiki, przenoszący starożytnego bohatera do epoki znacznie późniejszej i wkładający go w ramy kultury dużo bardziej posuniętej, nie odejmuje mu jednak cech wysokiego ideału: „Rama o oczach błękitnych jak kwiat lotosu — mówi Valmiki — był panem świata, władcą duszy własnej i miłością ludzi, ojcem i matką swoich poddanych. Umiał on związać wszystkich łańcuchem miłości“.

Rasa biała, osiadła w Iranie, u wrót Himalajów, nie była jeszcze władczynią świata. Przednie jej straże musiały posunąć się w głąb Indii, do głównego środowiska Czarnych, którzy pokonali niegdyś rasę czerwoną i rasę żółtą. Zend-Avesta mówi o tym pochodzie Ramy na Indie [14]).

Epopea hinduska uczyniła z pochodu tego jeden z najulubieńszych swoich tematów. Rama podbił obszary, obejmujące Himavat, ziemię słoni, tygrysów i gazel. Dał on hasło do pierwszego uderzenia i prowadził pierwszy atak boju tego olbrzymiego, w którym dwie rasy walczyły nieświadomie o berło świata. Tradycja poetycka Indii, opierając się na tradycji tajemniczej nauki świątyń, przeistoczyła bój ten w walkę czarowników białych z czarownikami czarnymi. W wojnie swojej z ludami i królami kraju Dżambus, Ram — jak go wówczas nazywano, — Rama, jak go nazywały ludy Wschodu, użył sposobów cudotwórczych na pozór, bowiem przekraczających zwykłe władze człowieka. Posiadanie ich zawdzięczali wielcy wtajemniczeni zna-

jomości ukrytych sił przyrody i umiejętności kierowania nimi.

Tradycja podaje, że za sprawą Ramy wytryskiwały źródła na pustyni; zgłodniałe rzesze znajdowały niespodziewanie rodzaj manny, której sposobu używania nauczył; innym znów razem ukrócał epidemie stosowaniem rośliny zwanej h o m (grecka — a m o m o s, egipska — p e r s e a), z której wytłaczał sok uzdrawiający. Roślina ta zyskała odtąd miano świętej wśród wyznawców jego i zastąpiła jemiołę, którą utrzymali jako świętą Celtowie europejscy.

Rama zwalczał wrogów wszelkiego rodzaju czarami. Kapłani czarnych zawdzięczali władzę nad ludami jedynie dzięki podtrzymywaniu barbarzyńskiego kultu. Hodowali w świątyniach swoich olbrzymie węże i gady latające, rzadkie przeżytki zwierząt przedpotopowych, którym kazali oddawać cześć jako bogom i które budziły grozę w tłumach. Węże te karmili ciałami jeńców. Rama zjawiał się od czasu do czasu niespodzianie w tych świątyniach z pochodniami, budził postrach wśród węży i kapłanów i przeganiał ich precz. Czasem też zjawiał się w obozie nieprzyjacielskim i narażał się bezbronny na wściekłość tych, którzy czyhali na jego śmierć. Nikt jednak nie śmiał tknąć go, wracał też bez żadnej szkody do swoich. Na pełne zdziwienia pytania, zadawane tym, którzy pozwalali mu odejść bezkarnie, odpowiadali oni, że spotkawszy się z wzrokiem jego, drętwieli z przerażenia; albo też, że, kiedy mówił góra spiżowa stanęła między nimi a nim, tak że widzieć go nie mogli. Wreszcie, jako uwieńczenie jego dzieła, przypisuje Ramie tradycja

indyjska podbój Cejlonu, ostatniego schronienia czarnego czarownika Rawany, na którego czarownik biały spuścił deszcz ognisty, przerzuciwszy uprzednio most przez odnogę morza. Do zbudowania mostu tego pomogły mu zastępy małp, przypominających bardzo pierwotny jakiś szczep dzikich himanów, których wciągnął i zagrzał do walki ten wielki oczarowywacz narodów.

IV

## TESTAMENT WIELKIEGO PRZODKA

Mocy swojej, geniuszowi swojemu i swojej dobroci zawdzięczał Rama, jak mówią święte księgi Wschodu, że stał się władcą Indii i Królem duchowym świata. Kapłani, narody i królowie korzyli się przed nim jak przed dobroczyńcą niebieskim. Wysłańcy jego szerzyli pod znakiem barana prawo aryjskie, wieszczące równość zwycięzców i zwyciężonych, zniesienie krwawych ofiar z ludzi i niewolnictwa, poszanowanie kobiety przy ognisku domowym, kult przodków i dogmat świętego ognia, jako widomy symbol Boga nienazwanego.

Zestarzał się Rama. Broda jego zbielała, ale moc nie opuściła jego ciała, a majestat najwyższego kapłana prawdy jaśniał na jego czole. Królowie i wysłańcy narodów składali w jego ręce władzę najwyższą. Prosił o rok czasu do namysłu, a w trakcie tego ponownie miał widzenie.

„Ujrzał się w lasach z czasów swojej młodości. On sam był znów młodym i miał na sobie szatę lnianą druida. Świecił księżyc. Była to noc święta, Noc-Macierz, w której ludy oczekują odrodzenia

słońca i roku. Rama chodził pod dębami, wsłuchując się jak niegdyś w nawołujące głosy lasu. Wtem zbliżyła się do niego piękna niewiasta z wspaniałą koroną na głowie. Jej płowe włosy świeciły jak złoto, skóra jej była białości śniegu, a oczy miały głęboki blask lazuru po burzy. Rzekła doń: „Jestem dziką druidką; dzięki tobie stałam się małżonką promienną. Nazywam się Sita. Jestem kobietą, wyniesioną przez ciebie do chwały, jestem rasą białą, jestem twoją oblubienicą. O, panie mój i królu! Wszakże to dla mnie przeszedłeś przez rzeki, oczarowałeś narody i powaliłeś królów. Oto twoja nagroda. Przyjm wieniec ten z ręki mojej, uwieńcz nim skroń twoją i panuj wraz ze mną nad światem". Uklękła w postawie kornej, pełnej poddania, podając mu wieniec leżący na ziemi. Jego kamienie drogocenne połyskiwały tysiącem ogni; upojenie miłosne promieniało w oczach kobiety. Widok ten przejął do głębi duszę starego Ramy, pasterza ludów. Wtem zjawił się ponad lasem Geniusz jego, Deva Nahusha, i przemówił doń: „Jeśli włożysz wieniec ten na głowę swoją, opuści cię Intelekt boski; nie ujrzysz mnie więcej. Jeśli weźmiesz niewiastę w objęcia swoje, szczęście twoje śmierć jej zada. Jeśli jednak wyrzekniesz się posiadania jej, będzie żyła szczęśliwa i wolna na ziemi, a duch twój niewidzialny będzie panował nad nią. Wybieraj tedy: czy chcesz dać posłuch jej prośbie, czy pójść za mną". Sita, nie podnosząc się z klęczek, patrzyła na swego władcę oczyma upojonymi miłością i wzrokiem błagalnym czekać się zdawała na jego odpowiedź. Rama milczał przez chwilę. Spojrzenia jego utkwione w oczach Sity mierzyły przepaść,

dzielącą posiadanie całkowite od rozstania na wieki. Czując wszakże, iż miłość najwyższa jest najwyższym wyrzeczeniem się, położył dłoń swoją wyzwalającą na czole białej kobiety i rzekł do niej: „żegnaj! Bądź wolną i nie zapominaj o mnie!“ Ledwie wymówił te słowa, kobieta znikła niby zjawa księżycowa. Młoda Jutrzenka dotknęła czarodziejską różdżką swoją wierzchołków lasu odwiecznego. Król stał się znów starcem. Rosa łez skropiła jego białą brodę, a z głębi lasów zawołał smętny głos jakiś: „Ramo! Ramo!“

Ale Deva-Nahusha, Geniusz promieniejący światłością, zawołał: „Za mną!“ I Duch boski uniósł Ramę na górę na północ Himavatu.

Po widzeniu tym, które wskazało mu, w jaki sposób spełnić ma posłannictwo swoje, zwołał Rama królów i wysłańców narodów i rzekł im: „Nie chcę władzy najwyższej, którą mi ofiarujecie. Zatrzymajcie wasze wieńce i bądźcie posłuszni prawu. Zadanie moje spełnione. Chronię się na zawsze z moimi braćmi wtajemniczonymi na górę Aïryana-Vaeïa. Stamtąd czuwać będę nad wami. Pilnujcie ognia świętego! Gdyby zagasnąć miał, zjawiłbym się znów wśród was, ale już jako sędzia karzący, jako mściciel!“ To rzekłszy, odszedł wraz z wiernymi swoimi na górę Albori, pomiędzy Balkiem i Bamayanem, do schroniska, które znane było tylko wtajemniczonym. Tam nauczał uczniów swoich wszystkiego, co sam wiedział o tajemnicach ziemi i wielkiej Istoty. Oni z kolei roznieśli daleko, po Egipcie aż do Okcytanii, ideę ognia świętego, symbolu boskiej jedności rzeczy, oraz rogi baranie, godło religii aryjskiej. Rogi te stały się znakiem

wtajemniczenia, a stąd władzy kapłańskiej i królewskiej [15]). Rama nie przestawał czuwać z dala nad ludami i nad umiłowaną swoją białą rasą. Ostatnie lata jego życia zajęte były ustaleniem kalendarza Arian. Jemu to zawdzięczamy znaki zodiaku. Był to testament patriarchy wtajemniczonych. Dziwna księga, wypisana przez Praojca rasy naszej gwiazdami, znakami hieroglificznymi niebios na stropie bezkresnym. Ustalając dwanaście znaków zodiaku, potrójne przypisał im znaczenie. Pierwsze tyczyło wpływu słońca podczas dwunastu miesięcy roku; drugie streszczało w pewnej mierze własne jego dzieje; trzecie wskazywało tajemne sposoby, jakimi posługiwał się, aby osiągnąć swój cel. Dlatego właśnie znaki te, odczytywane w porządku odwrotnym, stały się z czasem ukrytymi godłami wtajemniczenia stopniowego.

Rama nakazał wiernym swoim, aby zataili fakt jego śmierci i prowadzili dalej dzieło jego, utrzymując na wieki braterstwo swoje. W ciągu całych stuleci jeszcze wierzyły ludy, że Rama, noszący na głowie tiarę z rogami baranimi, żyje wciąż jeszcze na świętej swojej górze. W czasach wedyjskich Wielkim Przodkiem stał się Yama, sędzia zmarłych, Hermes kierowca dusz Hindusów.

# V

## RELIGIA WEDYJSKA

Geniusz organizatorski wielkiego wtajemniczonego Ariów stworzył w Azji, w Iranie, lud, społeczeństwo i ustrój życia, które promieniować miały we wszystkich kierunkach. Kolonie pierwotnych Ariów rozszerzyły się po Azji i po Europie, roznosząc ich obyczaje, ich kulty i bóstwa ich. Z wszystkich tych kolonii najbardziej zbliżoną do Ariów pierwotnych jest odnoga Ariów, zamieszkałych w Indiach.

Księgi święte Indów, Wedy, mają dla nas wartość potrójną. Przede wszystkim wiodą one nas do ogniska dawnej czystej religii aryjskiej, której hymny wedyjskie świetlnymi są promieniami. Nadto dają one nam klucz do zrozumienia duszy Indii. I wreszcie wskazują nam pierwsze skrystalizowanie się podstawowych, macierzystych niejako idei ezoterycznej doktryny oraz wszystkich religii aryjskich [16]).

Poprzestaniemy na krótkim tylko rzucie oka na formy zewnętrzne oraz na jądro religii wedyjskiej.

Nic prostszego ani bardziej wzniosłego nad reli-

gię tę, w której głęboki naturalizm łączy się z ukrytym spirytualizmem. Przed wschodem słońca mężczyzna, głowa rodziny, staje przed ołtarzem z ziemi, na którym płonie ogień, rozniecony za pomocą tarcia dwóch suchych kawałków drzewa.

Przy sprawowaniu obrzędów głowa rodziny jest zarazem ojcem, kapłanem i królem ofiarnym. Podczas gdy jutrzenka wschodzi na niebo, wyłaniając się z mgieł „jak — wedle słów poety wedyjskiego, kobieta, wychodząca z kąpieli i tuląca się w najpiękniejsze, utkane przez nią samą płótna“, odmawia głowa domu modlitwę, wezwanie do Ushy (Jutrzenki), do Savitri (słońca) i do Assurów (Duchów życia). Matka i synowie leją na ogień (A g n i), płyn sfermentowany przygotowany z tojeści — s o m a. Strzelający w górę płomień unosi ku bogom niewidzialnym modlitwę oczyszczoną, wychodzącą z ust patriarchy i z serca rodziny.

Stan duszy poety wedyjskiego tak samo dalekim jest od zmysłowości helleńskiej (mówię o kultach gminnych greckich, nie zaś o nauce wtajemniczonych w Grecji), która wyobrażała sobie bogów kosmicznych zdobnych w piękne kształty ludzkie, jak od żydowskiej doktryny jednobóstwa, wielbiącej Przedwiecznego, wszechobecnego, choć niemającego formy zewnętrznej. W pojęciu poety wedyjskiego natura podobna jest do przejrzystej zasłony, poza którą poruszają się siły nieważkie i boskie. Siły te wzywa on, wielbi, personifikuje, zdając sobie doskonale sprawę ze swoich przenośni. Dla niego nietyle Savitri jest słońcem, ile Vivaswat, potęga twórcza, która w nie tchnie życie i której dziełem jest system słoneczny. Indra, boski wojow-

nik, przebiegający niebo na swoim wozie złocistym, miotający pioruny i przeszywający obłoki, uosabia potęgę tego słońca w życiu atmosferycznym, w „wielkim przezroczu powietrznym“. Wyżej jeszcze wznosi się poeta wedyjski, kiedy wzywa Varunę (Uranosa greckiego), boga bezkresnego, świetlanego nieba, obejmującego wszechświat. O ile Indra uosabia życie czynne oraz walki nieba, jest Varuna przedstawicielem niewzruszonego jego majestatu. Nic nie może dorównać wspaniałości opisu jego, jaki znajdujemy w Hymnach: „Słońce jest jego okiem, niebo — jego szatą, huragan — jego tchnieniem. Jego to dziełem jest ustalenie podstaw niewzruszonych, na których opiera się niebo i ziemia i on też utrzymuje je w rozdzieleniu. Wszystkiego dokonał i wszystko zachował. Dziełom Varuny nic szkody wyrządzić nie może. Nikt nie jest w stanie przeniknąć go; ale on sam wie wszystko i widzi wszystko, co jest i co będzie. Z wyżyn nieba, w którym przebywa w pałacu o tysiącu wrót, rozróżnia w powietrzu ślady przelatującego ptactwa, a na oceanie drogę okrętów prujących falę. Z wyżyn tych, z tronu swego złocistego, opartego o podstawy z brązu, widzi on i sądzi działania ludzkie. Utrzymuje ład we wszechświecie i w społeczności; karze winnego; miłosiernym jest dla żałujących za grzechy. Ku niemu też zwraca się okrzyk bólu i pokajania; przed obliczem jego staje grzesznik, aby zrzucić z siebie brzemię winy swojej“. Obrządkowa skądinąd, często wysoce spekulatywna religia wedyjska schodzi z Varuną w głębię świadomości i osiąga zrozumienie idei boskiej [17]). Dodajmy, że wznosi się ona do czystej

idei Boga jedynego, przenikającego wielką Całość i rządzącego nad nią. Potężne obrazy, roztaczane w hymnach wielkimi strumieniami, niby rzeki wezbrane, dają nam jednak pojęcie o zewnętrznej tylko obsłonie Wedów. Do samego jądra doktryny, do jej tajemniczej, ukrytej głębi docieramy dopiero wraz z pojęciem o Agni, ogniu bożym. Agni jest w istocie najdoskonalszym czynnikiem kosmicznym, podstawą wszechrzeczy. Nie jest on tylko ogniem ziemskim błyskawicy i słońca. Istotną jego ojczyzną jest niebo niewidzialne, tajemnicze, siedlisko światła wiekuistego, praźródło wszechrzeczy. Narodziny jego są nieskończone, bądź kiedy wytryska z kawałka drzewa, w którym spoczywa w uśpieniu niby zarodek w macicy, bądź kiedy jako „Syn Fal" kaskadą spada z hukiem gromu, z rzek niebiańskich, w których Acwini (rycerze nieba) spłodzili go z pająkami złotymi. Jest on najstarszym z bogów, kapłanem najwyższym nieba i ziemi; celebrował modły w siedlisku Vivaswata (nieba czy słońca) znacznie wcześniej jeszcze, aniżeli przyniósł go śmiertelnym Matariswa (piorun) i zanim Atarvan i Angirasi, ofiarnicy starożytni, zesłali go na ziemię jako opiekuna, gospodarza i przyjaciela ludzi.

Agni, kierownik i twórca ofiary boskiej, stał się też wzywaczem bogów, nosicielem wszelkich rozważań mistycznych, których przedmiotem jest ofiara. Rodzi bogów, kształtuje świat, wytwarza i podtrzymuje życie na ziemi; jest, słowem, potęgą kosmogoniczną.

Soma — jest nieodstępnym towarzyszem Agni. W rzeczywistości jest on sokiem pewnej rośliny

poddanej fermentacji, lanym w ofierze bogom. Istnienie jego wszakże jest — jak istnienie Agni — mistyczne. Najwyższym jego siedliskiem są głębie trzeciego nieba, gdzie Surya, córa słońca, scedziła go; gdzie znalazł go Pustan — bóg żywiciel. Tam Sokół, symbol błyskawicy, albo może sam Agni, porwali go Łucznikowi niebiańskiemu, Gandarwie, strażnikowi jego, i przynieśli go ludziom. Bogowie pili go i zyskali nieśmiertelność; (ludzie też z kolei staną się nieśmiertelnymi, gdy pić go będą u Yamy, w siedlisku szczęśliwych. Tymczasem daje on im na ziemi siłę i pełnię życia; jest ambrozją i krynicą młodości. żywi i przenika rośliny, tchnie życie w nasienie zwierząt, daje natchnienie poecie i siłę uniesienia modlitwie. S o m a, d u s z a n i e b a i z i e m i, I n d r y i W i s z n u, t w o r z y w r a z z A g n i p a r ę n i e r o z d z i e l n ą; p a r a t a r o z p a l i ł a s ł o ń c e i g w i a z d y“ [18]).

Agni i Soma uosabiają w doktrynie ezoterycznej dwa podstawowe pierwiastki życia we wszechświecie: Agni jest pierwiastkiem W i e k u i ś c i e — M ę s k i m, intelektem twórczym, Duchem czystym, zaś Soma—pierwiastkiem W i e k u i ś c i e— ż e ń s k i m. Duszą świata, więc substancją lotną, macierzą wszystkich światów widzialnych i niewidzialnych oczom ciała, słowem przyrodą czyli materią w jej przeobrażeniach nieskończonych [19]).

Otóż związek tych dwu istot stwarza Istotę najwyższą, istotę Boga.

Dwa te pojęcia zasadnicze rodzą trzecie niemniej płodne. Wedy czynią z a k t u t w ó r c z e g o o f i a r ę n i e u s t a n n ą. Ażeby spłodzić wszystko, co istnieje, Istota najwyższa poświęca sa-

mą siebie; dzieli się, aby stać się wieloraką. Ofiara ta uważana jest więc za sprężynę życia wszystkich funkcji przyrody. Pojęcie to, zdumiewające i dziwne na pierwszy rzut oka, nader głębokie przy bliższym wniknięciu w nie, zawiera w sobie zarodek całej teozoficznej doktryny przeobrażeń Boga poprzez światy, syntezę ezoteryczną wielobóstwa i jednobóstwa. Zrodzi ona dionizyjską doktrynę upadku i odkupienia dusz, którą rozwiną Hermes i Orfeusz. Stąd już wytryśnie doktryna Słowa bożego, głoszona przez Krysznę i doprowadzona do doskonałości przez Chrystusa.

Ofiara ognia z jej obrządkami i modłami, stanowiąca jądro niewzruszone kultu wedyjskiego, staje się w ten sposób obrazem wielkiego tego aktu kosmogonicznego. Wedy przywiązują zasadniczą wagę do modlitwy, do formuły zaklęcia, towarzyszącej ofierze. Dlatego też czynią z modlitwy boginię — Brahmanaspati. Wiara w moc przyzywającą i twórczą słowa ludzkiego, któremu towarzyszy potężne uniesienie duszy lub też wypływ skupionej woli, jest źródłem wszystkich kultów, racją bytu egipskiej i chaldejskiej doktryny czarnoksięstwa. W pojęciu kapłana wedyjskiego i brahmańskiego Asurowie, władcy niewidzialni i Pitrysy, dusze przodków mogą siadać na trawie podczas całopalenia, pociągnięci ogniem, śpiewami i modlitwami.

Nauka, dotycząca tej strony kultu, jest nauką hierarchii duchów wszelakiego rodzaju i wszelakich stopni.

Wedy wyraźnie i z całym naciskiem głoszą ideę nieśmiertelności duszy. „W każdym człowieku istnieje część nieśmiertelna; ogrzej ją, Agni, promie-

niami twoimi, rozpłomień ją twoim ogniem. O, Jatawedo, przenieś ją w tym ciele czarownym, przez ciebie ukształtowanym, do świata pobożnych“.

Poeci wedyjscy nie tylko wskazują przeznaczenie duszy, ale zajmują się także jej pochodzeniem. „Z czego zrodziła się dusza? Są takie, które przychodzą do nas i odchodzą; które odchodzą i wracają“. Oto już w dwóch słowach doktryna wcielenia, która odgrywać będzie główną rolę w braminizmie i buddyzmie, u Egipcjan i u Orfików, w filozofii Pytagorasa i Platona, w tajniku tajników, w arkanach arkanów.

Czyż można wobec tego nie odnajdywać w Wedach głównych linii wytycznych skończonego systemu religijnego, filozoficznego ujęcia wszechświata? Jest w nich nie tylko głębokie odczucie prawd rozumowych, poprzedzających obserwację i przewyższających ją, jest nadto jednolitość i szerokość poglądu, ujawniona w pojmowaniu przyrody, w uporządkowaniu i sharmonizowaniu jej zjawisk. W świadomości poety wedyjskiego, niby w przejrzystym krysztale, odbija się słońce prawdy wiekuistej i w tym pryzmacie błyszczącym załamują się już wszystkie promienie teozofii wszechświata. Pierwiastki doktryny wiekuistej wyraźniej tu jeszcze występują, niż w innych księgach świętych indyjskich oraz w innych religiach semickich i aryjskich, a to dzięki niezrównanej otwartości poetów wedyjskich oraz dzięki przejrzystości tej religii pierwotnej, tak wzniosłej i czystej. W okresie tym nie było jeszcze różnicy między wiedzą tajemną a kultem popularnym. Czytając jednak uważnie Wedy, dostrzec można poza ojcem rodziny lub po-

etą wznoszącym hymny, inną osobistość donioślejszego znaczenia: r i s h i, mędrca, wtajemniczonego, od którego przejął poeta prawdę. Widocznym jest, że prawda ta przekazywana była drogą nieprzerwanej tradycji, sięgającej początków rasy aryjskiej.

I oto mamy już lud aryjski, kroczący po drodze podbojów i misji cywilizacyjnej wzdłuż Indu i Gangesu, pod przewodem niewidzialnego geniusza Ramy i Devy Nahushy, darzących go świadomością rzeczy boskich.

Agni, ogień święty, krąży już w żyłach tego ludu. Młodzieńczy wiek jego, jego siła i męskość kąpią się w blaskach świtu różanego. Wytworzyła się już rodzina. Kobietę otacza szacunek powszechny. Kapłanka ogniska domowego często sama układa, sama śpiewa hymny. „Oby mąż tej małżonki żył sto jesieni" — mówi poeta. Ukochanie życia ziemskiego nie wyklucza wiary w zaświaty.

Król mieszka w pałacu na wyniosłości górującej nad osadą. Kiedy wyrusza na wojnę, jedzie na rydwanie świetnym, strojny w zbroje pozłociste, uwieńczony tiarą; błyszczący jest cały jak bóg Indra. Później, kiedy bramini utrwalą swoją potęgę, wzniesiona zostanie obok — obok wspaniałego pałacu M a h a r a d ż i czyli wielkiego króla — pagoda kamienna, z której zrodzi się na świat sztuka, poezja i dramat bogów, grany i śpiewany przez tancerki świątyni. Na razie kasty istnieją, ale nie bezwzględne, nie pooddzielane murami nieprzebytymi. Wojownik jest kapłanem, a kapłan wojownikiem, częściej jeszcze sprawującym służbę u wodza lub u króla. A oto występuje osobistość nędz-

na z pozoru, ale rokująca wielkie na przyszłość nadzieje. Splątane włosy i broda, na pół nagi, okryty łachmanami. To m u m i, samotnik, żyje on obok jezior świętych, w dzikich pustkowiach, w których oddaje się rozmyślaniu i ascezie. Od czasu do czasu przychodzi z napomnieniami do wodza lub króla. Często bywa odtrącany; nie słuchają go; ale mają dla niego szacunek i boją się go. Już teraz wywiera wpływ groźny.

Pomiędzy tym królem na jego wozie pozłocistym, otoczonym wojownikami i tym na pół nagim m u m i nie mającym innej broni prócz myśli, słów i spojrzenia — rozgorzeje walka. Zwycięzcą potężnym nie będzie w niej król; będzie nim samotnik, zasuszony, żebrak, który zwycięży dzięki posiadaniu wiedzy i woli.

Historia tej walki — to historia bramanizmu, jak później będzie historią buddyzmu. Streszcza się w niej cała niemal historia Indii.

KSIĘGA DRUGA

# KRYSZNA

INDIE I WTAJEMNICZENIE BRAMINÓW

Ten, kto tworzy nieustannie światy, jest troisty. Jest to Brahma-Ojciec; jest to Maya-Matka; jest to Wisznu-Syn; Istota, Materia i Życie. Każdy z nich zawiera w sobie obydwa inne, a wszystko troje jednością są w Niewymownym.

Doktryna braminiczna
Upaniszady.

Nosisz w sobie samym wzniosłego przyjaciela, którego nie znasz. Bowiem Bóg przebywa w duszy każdego człowieka niewielu jednak umie go znaleźć! Człowiek, który dążenia swoje i czyny swoje przynosi w ofierze Istocie, będącej źródłem wszechrzeczy i twórcą wszechświata, zdobywa ofiarą tą doskonałość. Ten bowiem, kto w sobie samym znajduje swoje szczęście i radość, i w sobie samym też światło swoje, jedność z Bogiem stanowi. Owóż, wiedz o tym: dusza, która znalazła Boga, uwolniona jest od odrodzenia się i od śmierci, od starości i od cierpienia i pije ze źródła nieśmiertelności.

Bhagawadgita („Pieśń Błogosławionego.

I

## INDIE BOHATERSKIE — SYNOWIE SŁOŃCA I SYNOWIE KSIĘŻYCA

Podbój Indii przez Ariów zrodził jedną z najświetniejszych kultur, jakie znał świat. Wzdłuż Gangesu i jego dopływów powstały wielkie państwa i olbrzymie stolice, jak Ayodhya, Hastinapura i Indrapechta. Opowiadania epiczne Mahabharaty i Kosmogonie ludowe Puran, zawierające najstarsze tradycje historyczne Indii, mówią z zachwytem o przepychu królewskim, o bohaterskiej wielkości i o duchu rycerskim tych wieków zamierzchłych. Nic bardziej dumnego, ale zarazem bardziej szlachetnego, aniżeli jeden z tych królów aryjskich Indii, stojący na swoim rydwanie wojennym i dowodzący armiami słoni, koni i żołnierzy. Jeden z kapłanów wedyjskich błogosławi w ten sposób króla swojego wobec zebranego tłumu: Sprowadziłem cię pośród nas. Cały lud pragnie cię. Niebo jest mocne, ziemia jest mocna; góry te są mocne; niechaj mocnym będzie też król rodów. W późniejszym zbiorze praw, Manawa — Dharma — Sastra czytamy: „Władcy świata, pełni za-

pału w zwalczaniu się wzajemnym, rozwijają siłę swoją w boju, nie odwracając ani na chwilę twarzy i po śmierci ulatują wprost do nieba", Uważają się w istocie za pochodzących od bogów, za współzawodników ich, gotowych stać się nimi samymi. Posłuszeństwo synowskie, męstwo wojenne w połączeniu z poczuciem wspaniałomyślnego opiekuństwa w stosunku do wszystkich — oto ideał człowieka. Co się tyczy kobiety, epopeja induska, pokorna sługa braminów, wyobraża ją nam jedynie w postaci wiernej małżonki.

Ani Grecja ani narody północne nie wyczarowały w poematach swoich postaci tak subtelnych, tak szlachetnych i tak pełnych uniesienia małżonek, jak namiętna Sita lub czuła Damayanti.

Epopeja indyjska nie mówi nam jednak nic o głębokich tajnikach pomieszania ras, ani o powolnym kiełkowaniu idei religijnych, które wywołały głębokie zmiany w ustroju społecznym Indii wedyjskich. Ariowie, zdobywcy, przedstawiciele rasy czystej, znaleźli się wobec ras mocno skrzyżowanych i znacznie niższych, w których typ żółty, czerwony i czarny pomieszały się w najróżnorodniejszym stosunku. Kultura induska czyni wrażenie ogromnej góry, u której stóp rozpostarła się rasa melanezyjska, na zboczach rasy mieszane, a na szczycie — czyści Ariowie. Brak ścisłego podziału na kasty w epoce pierwotnej umożliwił liczne krzyżowania się wśród tych narodów. Czystość rasy zdobywców psuła się z czasem coraz bardziej; dotychczas jednak zauważyć można przewagę typu aryjskiego w warstwach wyższych, zaś typu mela-

nezyjskiego — w niższych. Z mętnych nizin społeczności induskiej wznosił się zawsze, jak wyziewy dżungli zmieszane z odorem zwierząt, wrzący opar namiętności, mieszanina tęsknicy i okrucieństwa. Obfitość krwi czarnej nadała Indii jej barwę specjalną. Udelikatniła ona i zniewieściła rasę. Cudem jest nieledwie, że pomimo znacznej domieszki krwi czarnej, utrzymać się mogła poprzez tyle przewrotów przewaga światopoglądu rasy białej u szczytu tej kultury. Tak więc podstawa etniczna Indii zarysowuje się, ściśle biorąc, w sposób następujący: z jednej strony geniusz rasy białej z swoim poczuciem moralnym i wzniosłymi dążnościami metafizycznymi; z drugiej geniusz rasy czarnej z jej potęgą namiętności i siłą rozprzęgania. W jaki sposób ujawnia się podwójny ten geniusz w zamierzchłych dziejach religii w Indiach? Najdawniejsze tradycje mówią o dynastii słonecznej i dynastii księżycowej. Królowie dynastii słonecznej utrzymywali, że pochodzą od słońca; inni nazywali się synami księżyca. Ten język symboliczny był jednak tylko wyrazem dwu sprzecznych pojęć religijnych, bowiem oznaczał, że te dwie kategorie władców związane były z dwoma kultami odmiennymi. Kult słońca przypisywał Bogu wszechświata płeć męską. Grupowało się dokoła niego wszystko, co było najczystsze w tradycji wedyjskiej: znajomość ognia świętego i modlitwy, pojęcie ezoteryczne o Bogu najwyższym, cześć dla kobiety, kult przodków, królowie obieralni i patriarchalni. Kult księżyca przypisywał swojemu bóstwu płeć żeńską, pod której znakiem religie cyklu aryjskiego wielbiły zawsze przyrodę, często przyrodę ślepą,

nieświadomą w jej najgwałtowniejszych, najokrutniejszych przejawach. Kult ten skłaniał się ku bałwochwalstwu i czarnoksięstwu, popierał wielożeństwo i tyranię, dogadzające żądzom gminu. — Walka pomiędzy synami słońca i synami księżyca, pomiędzy Pandawami i Kurawami, jest przedmiotem wielkiej epopei induskiej, Mahabharaty, rodzaju perspektywicznego zarysu historii Indii aryjskich, przed ostatecznym wprowadzeniem braminizmu. Walka ta pełna jest bojów zażartych, pełna dziwnych i nieskończonych przygód. W pośrodku olbrzymiej epopei zwycięzcami są Kurawowie, królowie księżycowi. Pandawowie, szlachetni synowie słońca, obrońcy czystych obrządków, są zdetronizowani i skazani na wygnanie. Błąkają się, ukryci w lasach, szukając schronienia u pustelników, noszą odzież zrobioną z kory i kije wędrowców.

Czy wezmą górę nizinne instynkty? Czy potęgi ciemności, uosobione w epopei induskiej przez czarnych Rakshasów odniosą triumf nad świetlanymi Dewami? Czy tyrania zmiażdży wybrańców pod kołami swojego rydwanu wojennego, a cyklon złych żądz czy zmiecie z oblicza ziemi ołtarz wedyjski, czy zagasi święty ogień przodków? Nie, Indie są dopiero u progu swojej ewolucji religijnej. Metafizyczny i organizatorski jej geniusz zajaśnieje w całej pełni w braminizmie dopiero. Kapłani, zastępujący królów i wodzów pod nazwą p u r o h i t a s (przełożeni nad ogniem świętym) stali się już ich doradcami i ministrami. Posiadali oni wielkie majątki i znaczny wpływ. Nie byliby. jednak mogli nadać kaście swojej owej powagi najwyższej, owego stanowiska niezwalczonego, góru-

jącego nawet nad władzą królewską, gdyby nie pomoc innej kategorii ludzi, uosabiających ducha Indii w tym, co jest w nim najoryginalniejszego i najgłębszego. Ludźmi tymi byli pustelnicy.

Od niepamiętnych czasów mieszkali ci asceci w głębi lasów, na brzegach rzek lub w górach, obok jezior świętych. Czasem żyli samotnie, czasem złączeni w bractwa, ale zawsze jednym zespoleni i ożywieni duchem. Są to królowie duchowi, istotni władcy Indii, Oni to, jako spadkobiercy dawnych mędrców, rishi, byli w posiadaniu klucza do tajemnego znaczenia Wedów. żył w nich geniusz ascetyzmu, wiedzy tajemnej, władzy nadziemskiej. Dla zdobycia tej wiedzy znosili wszystko: głód, chłód, piekące słońce, strach przed dżunglą. Bezbronni w swoich szałasach z desek, żyją modłami i rozmyślaniami. Głosem, spojrzeniem przywołują i oddalają węże, uśmierzają lwy i tygrysy. Szczęśliwy, kto zyska ich błogosławieństwo: będzie miał przyjaciół w Dewach! Biada temu, kto ukrzywdzi ich lub zabije: ich klątwa — mówią poeci — ciąży na winnym aż do trzeciego wcielenia. Królowie drżą przed ich groźbami i, rzecz godna uwagi, lękają się ich nawet bogowie. W Ramayanie Vicvamitra, król, który stał się ascetą, zdobywa surowością obyczajów i rozmyślaniami taką władzę, że bogów lęk zdejmuje o ich istnienie. Wówczas zsyła mu Indra najpowabniejszą z Apsar, która kąpie się w jeziorze przed szałasem świętobliwego. Nimfa niebiańska czaruje pustelnika, który ulega pokusie jej wdzięków; ze związku ich rodzi się bohater i dzięki temu istnienie wszechświata zapewnione jest na kilka tysięcy lat. Pod tą przeno-

śnią i przesadą poetycką nietrudno domyśleć się właściwej istoty rzeczy. Jest nią potęga pustelników białej rasy, których duch wieszczy i wola skupiona panują z głębi lasów nad burzliwą duszą Indii.

Z łona takiego bractwa pustelniczego wytrysnąć miał przewrót w ustroju kapłaństwa, który uczynił z Indii najpotężniejszą teokrację. Zwycięstwo władzy duchowej nad władzą ziemską, pustelnika nad królem, które zrodziło potęgę braminizmu, było dziełem jednego z najwybitniejszych reformatorów. Boski ten człowiek, który pogodził dwa walczące z sobą geniusze: rasy białej i rasy czarnej, kulty: słoneczny i księżycowy, stał się rzeczywistym twórcą narodowej religii indyjskiej. Ponadto doktryna potężnego tego geniusza dała światu nową niesłychanej doniosłości ideę. Była to idea słowa bożego, czyli boga wcielonego w człowieku i objawionego przez niego. Tym pierwszym mesjaszem, tym najstarszym synem bożym, był Kryszna.

Dzieje jego żywota niesłychanie są ciekawe, bowiem streszczają i dramatyzują doktrynę bramińską. Pozostały one jednak tylko rozsiane w tradycji, często nieuchwytne, a to z powodu braku siły plastycznej, jaki cechuje geniusz induski. Niejasna i mityczna opowieść Wisznu-Purana zawiera wszakże dane historyczne o Kryszna, o charakterze indywidualnym i wymownym. Nadto Bhagawad-Gita, cudowny fragment, wtłoczony w karty wielkiego poematu, Mahabharaty, który bramini uważają za jedną z najświętszych swoich ksiąg, zawiera przypisywaną mu doktrynę w całej jej czy-

stości. Przy odczytywaniu tych dwu ksiąg, stanęła przede mną jak żywa postać wielkiego twórcy religii indyjskiej. Opowiem zatem dzieje Kryszny na podstawie obu tych źródeł, z których jedno uosabia tradycję gminną, a drugie tradycję wtajemniczonych.

## II

## KRÓL MADURY

Na początku okresu Kali-Yougi, na 3000 lat przed erą naszą (podług choronologii braminów), żądza złota i władzy opanowała świat. W ciągu wieków— mówią mędrcy starożytni — Agni, ogień boski, tworzący świetlane ciało Dewów i oczyszczający dusze ludzkie, zalewał ziemię falami swoimi eterycznymi. Równocześnie jednak owiewało wszystkie serca palące tchnienie Kali bogini żądzy i Śmierci, wychodzącej z otchłani ziemskich na kształt oddechu płonącego. Sprawiedliwość zapanowała wraz z szlachetnymi synami Pandawów, królów słońca, posłusznych głosowi mędrców. Jak zwycięzcy przebaczali oni zwyciężonym i traktowali ich jak równych. Odkąd wszakże synowie słońca wytępieni zostali lub strąceni z tronów, a nieliczni ich potomkowie kryli się w grotach i szałasach pustelników, zapanowała niesprawiedliwość, ambicja i nienawiść. Królowie księżycowi, zmienni i kłamliwi jak gwiazda nocy, której przyjęli godło, wzajem zwalczali się nieubłaganie w bojach nieustannych. Jednemu z nich wszakże udało się wziąść górę nad

wszystkimi innymi i pokonać ich grozą i szczególnymi urokami.

Na północy Indii, na brzegu szerokiej rzeki, jaśniało miasto potężne, o dwunastu pagodach, dziesięciu pałacach i stu wrotach, nad którymi wznosiły się wieże. Wielobarwne sztandary powiewały na wysokich jego murach, podobne do węży skrzydlatych. Była to dumna Madura, niezdobyta jak twierdza Indry. Władcą Madury był Kansa o sercu wykrętnym i duszy nienasyconej. Nie znosił obok siebie nikogo prócz niewolników; zdawało mu się, że posiąść może to tylko, co zmiażdży, a wszystkie ziemie zdobyte niczym mu się wydawały wobec tych, które jeszcze pozostawały do zdobycia. Wszyscy królowie, którzy uznawali kult księżyca hołd mu składali. Ale Kansa marzył o podboju całych Indii, od Lanki aż do Himawatu. Aby osiągnąć zamiar swój, złączył się z Kalayenim, władcą gór Wyndhia, potężnym królem Yawanasów, ludzi o żółtej twarzy. Jako wyznawca bogini Kali, oddawał się Kalayeni ponurym praktykom czarnoksięskim. Nazywano go przyjacielem Rakshasów czyli demonów nocnych i królem wężów, posługiwał się bowiem zwierzętami tymi, aby siać postrach wśród ludów swoich i swoich wrogów. W głębi gęstego lasu znajdowała się świątynia bogini Kali, wydrążona we wnętrzu góry, olbrzymia jaskinia czarna, której krańca nie podobna było dojrzeć i której wyjścia strzegły kolosy o głowach zwierzęcych, wykute w skale. Tam przyprowadzano tych, którzy przychodzili hołd składać Kalayeniemu, aby zyskać od niego moc tajemną. Ukazywał się on wówczas u wejścia do świątyni, w otoczeniu mnóstwa

węży potwornych, owijających się dokoła niego, podnoszących łby na skinienie jego berła. Zmuszał wówczas hołdowników swoich do oddawania czci gadzinom tym, których skłębione syczące łby wiły się ponad jego głową. Sam równocześnie szeptał jakieś zaklęcie tajemnicze. Ci, którzy spełniali wszystkie formuły tego obrządku i korzyli się przed wężami, otrzymywali, jak mówiono, wielkie łaski i wszystko, czego zapragnęli. Zarazem jednak stawali się nieodwołalnie ofiarami Kalayeniego, z bliska i z daleka. Ktokolwiek próbował opierać się jego rozkazom lub też wyzwolić się spod jego władzy, widział przed sobą straszliwą postać czarnoksiężnika, otoczonego gadzinami, których syczące łby okalały go zaciśniętym kręgiem, a ich ślepia paraliżowały magiczną swoją siłą. Kansa prosił potężnego władcę o sojusz. Król Yawanów przyobiecał mu władzę nad światem pod warunkiem, że pojmie córkę jego za małżonkę.

Dumną jak antylopa i zwinną jak wąż była córka króla czarnoksięskiego, piękna Nysumba, strojna w wisiory złote, pobrzękujące na piersi, jak heban czarnej. Twarz jej była jako chmura ciemna o sinawych odblaskach księżycowych, oczy jak błyskawic para, a usta pożądliwe jak krwawy miąższ owocu o białych pestkach. Rzekłbyś, sama Kali ponura, bogini żądzy.

Owładnęła niebawem sercem Kansy, a rozpalając wszystkie namiętności jego, żar płomienny z nich uczyniła. Kansa miał pałac zapełniony kobietami barw wszelkich, żadnej jednak nie uległ poza Nysumbą.

— Obym syna z Tobą spłodził, a uczynię go na-

stępcą moim. Stanę się wówczas władcą ziemi i nie będę się lękał nikogo.

Bezpłodną jednak była Nysumba i serce się jej goryczą przepełniło. Zazdrościła innym kobietom Kansy, których miłość dawała owoce. Żądała od ojca pomnażania ofiar przynoszonych Kali, ale łono jej pozostawało jak piasek gorący, na którym nic zrodzić się nie może. Wówczas rozkazał król Madury dokonać wobec całej ludności miasta wielkiej ofiary ognia i przywołać wszystkie Dewy. Kobiety Kansy i lud cały zgromadziły się na uroczystość. Kapłani bili czołem przed wielkim ogniem i wzywali śpiewami swymi wielkiego Warunę, Indrę, Aswinów i Marutów. Królowa Nysumba zbliżyła się do ognia i rzuciła w płomienie garść kadzidła ruchem wyzywającym, wymawiając magiczne zaklęcia w nieznanym języku. Dym skłębił się gęstszy, buchnęły płomienie i krzyknęli przerażeni kapłani:

— O, królowo, to nie Dewy, ale Rakshasy przez ogień przeszły. Łono twoje pozostanie bezpłodnym.

Zbliżył się z kolei Kansa do ognia i rzekł do kapłana:

— Powiedz zatem, która z moich kobiet urodzi władcę świata?

W tej samej chwili Dewaki, siostra króla, zbliżyła się do ognia. Była to dziewica o sercu prostym i czystym, której wiek dziecięcy upłynął na przędzeniu i tkaniu i która żyła jak we śnie. Ciało jej tylko było na ziemi, dusza zdawała się zawsze przebywać w niebie. Dewaki kornie przyklękła, prosząc Dewy, aby dały syna jej bratu i pięknej Nysumbie. Kapłan spojrzał z kolei na dziewicę i na ogień i nagle zawołał zdumiony:

— O, królu Madury, żaden z twoich synów nie będzie władcą świata! Ten, który nim będzie, zrodzi się z łona tej oto siostry twojej.

Wielkie było przerażenie Kansy i jeszcze większy gniew Nysumby na te słowa. Kiedy król i królowa pozostali sami, rzekła ona do niego:

— Dewaki musi zginąć natychmiast!

— Jakto? — odparł Kansa, — mam-że zgładzić siostrę moją? Jeśli Dewy roztaczają nad nią swoją opiekę, zemsta ich zwróci się przeciwko mnie.

— Dobrze więc, — zawołała pełna wściekłości Nysumba, — niech panuje ona zamiast mnie i niech siostra twoja wyda na świat tego, przez którego zginiesz nędznie. Nie chcę panować wespół z tchórzem, który boi się Dew, wracam więc do ojca mojego, Kalayeni.

Oczy Nysumby miotały ognie, wisiory podskakiwały na jej błyszczącej szyi hebanowej. Padła na ziemię, a piękne ciało jej wiło się jak żmija rozwścieczona. Kansę zagrożonego utratą tej, która rozpłomieniała w nim żądze najgwałtowniejsze, zdjął lęk i ponownie opanowało go pożądanie namiętne.

— Niech i tak będzie! — rzekł — Dewaki zginie, bylebyś ty nie opuściła mnie.

Błysk triumfu zamigotał w oczach Nysumby, fala krwi zalała szkarłatem czarne jej oblicze. Zerwała się jednym skokiem z ziemi, oplotła giętkimi ramionami szyję pokonanego tyrana i muskając go hebanowym swym łonem, z którego aromat bił upajający, szepnęła głosem przyciszonym:

— Złożymy ofiarę Kali, bogini żądzy i Śmierci, a ona da nam syna, który będzie władcą świata.

Tej samej wszakże nocy purohita, kapłan naczelny, ujrzał w widzeniu sennym króla Kansę, dobywającego miecza przeciwko własnej siostrze. Udał się natychmiast po obudzeniu do dziewicy Dewaki, aby uprzedzić ją, że grozi jej śmierć i rozkazał, aby uciekła niezwłocznie do pustelników. Ostrzeżona przez kapłana Dewaki, wyszła w przebraniu pokutnicy z pałacu Kansy i opuściła miasto Madurę bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Wczesnym rankiem wtargnęli żołnierze do sypialni siostry królewskiej, aby zadać jej śmierć, ale znaleźli sypialnię pustą. Król zaczął badać straże miejskie. Odpowiedzieli mu wszyscy zgodnie, że wrota zamknięte były przez noc całą, we śnie wszelako widzieli, jak promień księżyca przebił mur ciemny i po promieniu tym wyszła z grodu niewiasta jakaś...

Kansa zrozumiał, że siła niezwalczona roztacza opiekę swą nad Dewaki.

Od tej chwili padł strach na jego duszę. Siostrę swoją znienawidził nienawiścią śmiertelną.

## III

## DZIEWICA DEWAKI

Kiedy Dewaki, odziana w ukrywające jej piękność ubranie z kory, przestąpiła niezmierzone pustkowie olbrzymich lasów, chwiała się na nogach, wyczerpana znużeniem i głodem. Zaledwie jednak poczuła cień tych lasów czarownych, zakosztowała słodyczy owocu z drzew mangowych i odetchnęła świeżością krynicy, orzeźwiła się jak kwiat omdlały. Weszła pod sklepienie olbrzymie, utworzone z pni potężnych, których gałęzie zapuszczały ponownie korzenie w ziemię, mnożąc do nieskończoności zielone arkady. Długo szła tędy, ochroniona od słońca, jak gdyby wewnątrz ciemnej pagody bez wyjścia. Brzęczenie pszczół, krzyki zakochanych pawi, śpiew kokilasów i tysięcy ptaków pociągał ją wciąż dalej. Drzewa stawały się coraz bardziej olbrzymie, las coraz głębszy i bardziej splątany. Pnie cisnęły się za pniami, liście wznosiły się kopulasto na podkładach liści, jak pylony wciąż potężniejące. Dewaki bądź sunęła naprzód przez krużganki z zieleni, które słońce oblewało kaskadami światła i gdzie leżały kłody pni, obalonych

przez nawałnicę, bądź stawała pod namiotami drzew mangowych, z których zwieszały się girlandy pnączy i spadały deszcze kwiatów. Daniele i pantery przebiegały gęstwinę; gałęzie trzeszczały pod cielskiem bawołów, stada małp przedzierały się z wrzaskiem przez poszycie liści. Szła tak przez dzień cały. Pod wieczór ujrzała pod lasem bambusów nieruchomą głowę mądrego słonia. Spojrzał on na dziewicę rozumnym i opiekuńczym wzrokiem i podniósł trąbę, jak gdyby na powitanie jej. Las przerzedził się nagle i Dewaki ujrzała przed sobą widok, tchnący prawdziwym spokojem i czarem niebiańsko-rajskim.

U stóp jej roztaczało się jezioro usiane kwiatem lotosu i modrych grzybieni: jego lazurowe łono rozwierało się u skraju lasu niby dalszy ciąg nieba. Płochliwe bociany stały na brzegach w nieruchomym rozmarzeniu; dwie antylopy piły wodę fal. Na drugim brzegu wdzięczyło się pod osłoną palm ustronie pustelnika. Cicha światłość różana oblewała jezioro, lasy i schronisko świętych rishi. Na widnokręgu biały szczyt góry Meru wznosił się ponad lawiną lasów. Oddech niewidzialnego strumienia ożywiał rośliny; przyciszony szmer dalekiej kaskady błąkał się w zefirze jak pieszczota lub melodia cicha. Na brzegu jeziora ujrzała Dewaki czółno. Obok niego człowiek w wieku dojrzałym, pustelnik, zdawał się czekać na nią. W milczeniu dał znak dziewczynie, aby wsiadła do czółna i ujął wiosła. W chwili, gdy łódź pomknęła, roztrącając grzybienie, zobaczyła Dewaki łabędzia, płynącego po jeziorze. Samiec łabędzi, który lotem śmiałym sfrunął z powietrza, zataczać zaczął wielkie dokoła

niej kręgi, po czym spuścił się na wodę obok pierwszego łabędzia, samicy, drżąc cały śnieżnym swym upierzeniem. Na ten widok dreszcz głęboki wstrząsnął ciałem Dewaki, która nie wiedziała czemu go przypisać. Ale łódź oparła się już o brzeg przeciwległy i dziewica o oczach barwy lotosu stanęła przed królem pustelników — Wasychtą.

Siedział on na skórze gazeli, a odziewała go skóra czarnej antylopy. Wyglądał raczej na boga niż na człowieka, taką cześć budziła jego postać. Od sześćdziesięciu lat żywił się dzikimi jedynie owocami. Włosy jego i broda były białe jak szczyty Himawatu, skórę miał przejrzystą, spojrzenie jego oczu błędnych zwrócone było w głąb duszy własnej w rozmyślaniu nieustannym. Ujrzawszy Dewaki, wstał i powitał ją tymi słowy: „Dewaki, siostro sławnego Kansy, bądź pozdrowiona pomiędzy nami“. Kierowana przez Mahadewę, władcę najwyższego, opuściłaś padół nędz, aby go zamienić na świat upojeń. Jesteś tu u świętych rishi, panów zmysłów własnych, szczęśliwych z losu swego i pragnących kroczyć tylko szlakiem nieba. Od dawna już czekaliśmy na ciebie, jak noc czeka na świtanie. Jesteśmy okiem Dew, zwróconym na świat, my, którzy żyjemy w głębiach lasów. Ludzie nas nie widzą, ale my widzimy ludzi i patrzymy na ich czyny. Ponury wiek żądz, krwi i zbrodni pokarał ziemię. Wybraliśmy ciebie do spełnienia dzieła wyzwolenia; przez nas wybrały cię Dewy. Bowiem w łonie niewiasty promień wspaniałości boskiej przyjąć ma kształt ludzki“.

W tej chwili wychodzili z pustelni rishi na modły wieczorne. Stary Wasychta nakazał im, aby skłonili

się nisko przed Dewaki. Uczynili jak im kazano i rzekł Wasychta: „Ta będzie matką nas wszystkich, z niej bowiem zrodzi się duch, co ma nas odrodzić“. Po czym, zwracając się ku niej: „Idź, córo moja, rishi powiodą cię do sąsiedniego jeziora, gdzie mieszkają siostry pokutne. Zamieszkasz pomiędzy nimi i spełnią się misteria“.

Dewaki zamieszkała w obrośniętej lianami pustelni, u pobożnych niewiast, karmiących oswojone gazele i oddających się obrządkom obmywania i modlitwom. Dewaki uczestniczyła w składaniu przez nie ofiar. Jedna ze starszych niewiast wprowadzała ją w świat nauk tajemnych. Pokutnice te miały rozkaz przystrajania jej jak królowej we wspaniałe tkaniny wonne i puszczania jej, aby swobodnie błądziła w głębi lasu. A las ten, pełen aromatów przedziwnych, odgłosów i tajemnic, pociągał młodą dziewczynę. Czasem spotykała ona gromady starych pustelników, powracających znad rzeki. Widząc ją, przyklękali, po czym w dalszą szli drogę. Pewnego dnia ujrzała obok źródła, przysłoniętego różowymi kwiatami lotosu, młodego pustelnika, pogrążonego w modłach. Powstał na jej spotkanie, objął ją wzrokiem smutnym i głębokim i oddalił się w milczeniu. Poważne postacie starców, obraz dwóch łabędzi i spojrzenie młodego pustelnika nawiedzały dziewicę w jej rojeniach sennych. Obok źródła stało drzewo odwieczne o szerokich konarach rozłożystych, zwane przez starych rishi „drzewem życia“. Dewaki lubiła spoczywać w jego cieniu. Często usypiała tutaj i śniły jej się widzenia dziwne. Głosy śpiewały spoza liści: „Chwała ci, Dewaki! Przyjdzie on w glorii świetlanej, ten fluid

czysty, wyłoniony z duszy wielkiej, i przed wspaniałością jego zbledną gwiazdy. — Przyjdzie i życie wyzwie śmierć, i odmłodzi krew wszystkich istot. — Przyjdzie od miodu słodszy i amryty, tego napoju bogów dającego nieśmiertelność, czystszy niż jagnię bez skazy i niż usta dziewicy, i wszystkie serca miłością rozpłoną. — Chwała, chwała, chwała ci, Dewaki!" — Czy to pustelnicy, czy Dewy tak śpiewały? Czasem zdawało jej się, że siła jakaś daleka czy obecność czyjaś tajemnicza, jak gdyby ręką niewidzialną wyciągniętą ku niej, do snu ją zmuszała. Wpadała wówczas w sen głęboki, słodki, niepojęty, z którego budziła się zmieszana i niespokojna. Odwracała się, jak gdyby szukając, kto obok niej się znajduje, ale nigdy nie widziała nikogo. Czasem tylko dostrzegała róże rozsypane na jej łożu z liści lub też wieniec lotosu w dłoniach swoich.

Pewnego dnia wpadła Dewaki w głębszy jeszcze sen ekstatyczny. Usłyszała muzykę niebiańską jak ocean harf i głosów boskich. Nagle rozwarło się niebo otchłanią świetlistą. Tysiące promiennych istot patrzyło na nią, a w blasku olśniewającego promienia słońce słońc, Mahadewa, ukazał się jej w postaci ludzkiej. Wówczas „zaćmiona" przez Ducha światów, utraciła przytomność i w zapomnieniu o ziemi całej, w błogości bezgranicznej, poczęła dziecię boskie [20]).

Kiedy siedem księżyców opisało swoje koła zaklęte ponad świętym lasem, rozkazał zwierzchnik nad wszystkimi pustelnikami przywołać Dewaki: „Wola Dew została spełniona" — oznajmił jej. „Poczęłaś w czystości serca i w miłości bożej. Bądź

przez nas pozdrowiona, dziewico i matko. Zrodzi się z ciebie syn, który będzie zbawcą świata. Ale brat twój, Kansa, szuka cię, aby cię zgładzić wraz z płodem słodkim, który nosisz w twoim łonie. Musisz ujść przed nim. Bracia pustelnicy wskażą ci drogę do pasterzy, którzy mieszkają u podnóża góry Meru, pod cedrami pachnącymi, w powietrzu czystym Himawatu. Tam wydasz na świat twojego syna boskiego i nazwiesz go Kryszną błogosławionym. Niechaj nie wie on jednak o pochodzeniu swoim ani twoim, nie mów mu o nim nigdy. Idź bez obawy, czuwamy nad tobą!“ I poszła Dewaki do pasterzy u podnóża góry Meru.

## IV

## MŁODOŚĆ KRYSZNY

U stóp góry Meru rozpościerała się przewiewna dolina, usiana pastwiskami i okolona rozległymi lasami cedrowymi, po których ślizgało się świeże tchnienie Himawatu. Dolinę tę zamieszkiwał lud pasterzy, nad którymi panował patriarcha Nanda, przyjaciel pustelników. Tam właśnie znalazła Dewaki ucieczkę przed prześladowaniem tyrana, Madury, i tam również, w schronieniu Nandy, wydała na świat syna swego Kryszne. Nikt z wyjątkiem Nandy nie wiedział, kim jest nieznajoma i kto był ojcem jej dziecięcia. Niewiasty okoliczne mówiły: „To syn Gandharwów [21]). Bowiem muzycy Indry opiekę swoją roztoczyć musieli nad miłością tej kobiety, która podobna jest do nimfy niebiańskiej, do Apsary. Czarowne dziecię nieznajomej rosło wśród stad i pasterzy pod czujnym okiem matki. Pasterze nazywali je „Promiennym", bowiem sama obecność jego, uśmiech jego i wielkie oczy miały dar promieniowania radości. Zwierzęta, dzieci, kobiety, mężczyźni — wszyscy kochali małego, a on zdawał się kochać cały świat, uśmiechał się do matki,

bawił się z jagniętami i dziećmi, równolatkami, lub rozmawiał ze starcami. Jako dziecko już nie znał Kryszna bojaźni, śmiały był i dokonywał czynów zdumiewających. Czasem spotykano go w lesie, rozciągniętego na mchu, obejmującego młode pantery i trzymającego je za rozwartą paszczę, a one nie śmiały kąsać go. Czasem zapadał nagle w odrętwienie, zamyślał się głęboko, dziwnym ulegał smętkom. Pozostawał wówczas na uboczu i poważny, zatopiony w myślach, patrzył nie odpowiadając. Nade wszystko jednak, nad wszystkich ludzi wszystkie rzeczy ubóstwiał młodą swą matkę, tak piękną, tak promienną, mówiącą mu o niebie Dew, o walkach bohaterskich i rzeczach cudownych, o których opowiadali jej pustelnicy.

Pasterze, wiodący stada swoje pod cedry góry Meru, mówili: „Kim jest ta matka i kim jest jej syn? Mimo że odziana jest jak wszystkie nasze niewiasty, ma wygląd królowej. Cudowne dziecko wychowane jest razem z naszymi, a jednak niepodobne jest do nich. Czyżby to miał być geniusz? Czy bóg może? Kimkolwiek jest, przyniesie nam szczęście".

Kiedy Kryszna miał piętnaście lat, wezwał do siebie zwierzchnik pustelników matkę jego, Dewaki. Pewnego dnia znikła, nie pożegnawszy się z synem. Nie widząc jej, udał się Kryszna do patriarchy Nandy i rzekł:

— Gdzie jest matka moja?

Nanda odparł, pochylając głowę:

— Nie pytaj mnie, dziecko moje. Matka twoja udała się w daleką podróż. Poszła z powrotem do

kraju, z którego przybyła i nie wiem, kiedy powróci.

Kryszna nie odpowiedział nic, — jeno w tak głęboką wpadł zadumę, że wszyscy jego rówieśnicy odsunęli się od niego, jak gdyby lękiem przesądnym zdjęci. Kryszna porzucił towarzyszy swoich, zabawy ich i, w myślach wciąż zatopiony, udał się sam na górę Meru. Błąkał się tak kilka tygodni. Pewnego dnia wszedł na wysoki szczyt zalesiony, z którego roztaczał się widok na łańcuch gór Himawat. Nagle ujrzał przed sobą starca odzianego w białą opończę pustelnika i stojącego pod olbrzymimi cedrami w świetle porannym. Zdawał się mieć sto lat z górą. Śnieżna jego broda i wysokie czoło jaśniały majestatem. Dziecię pełne życia i starzec stuletni patrzyli na siebie wzajem. Oko starca spoczęło z lubością na postaci Kryszny. A Kryszna tak był zachwycony widokiem starca, że oniemiał z podziwu. Jakkolwiek widział go po raz pierwszy, zdawało mu się, że zna go.

— Kogo szukasz? — rzekł wreszcie starzec.

— Matki mojej. —

— Nie ma już jej tutaj. —

— Gdzież ją odnajdę? —

— U Tego, który pozostaje zawsze niezmiennym.

— Ale jakże mam Go znaleźć?

— Szukaj.

— A ciebie czy ujrzę jeszcze?

— Tak, kiedy córa Węża popchnie do zbrodni syna Byka, ujrzysz mnie w świtaniu purpurowym. Zgładzisz wówczas Byka i zmiażdżysz głowę po-

twora. Wiedz, synu Mahadewy, że ty i ja jednością jesteśmy w Nim! Szukaj go, szukaj, szukaj wciąż!

I starzec wyciągnął ręce na znak błogosławieństwa. Potem zawrócił i postąpił kilka kroków naprzód pod wysokimi cedrami, w kierunku Himawatu. Nagle wydało się Krysznie, że majestatyczna postać starca staje się przejrzystą. Po chwili drgnęła ona i znikła wśród roziskrzonych gałązek o cienkich listeczkach, w migotaniu świetlanym [22]).

Gdy wreszcie zeszedł Kryszna z góry Meru, zdawał się jak gdyby przeistoczonym. Moc jakaś nowa promieniowała z jego istoty. Zgromadził towarzyszy swoich i rzekł im: „Chodźmy walczyć z bykami i z wężami; chodźmy bronić dobrych i powalać złych. Z łukiem w ręku i mieczem u pasa Kryszna i jego towarzysze, synowie pasterzy, przeistoczeni w wojowników, zaczęli krążyć po lasach, walcząc z dzikimi zwierzętami. W głębi kniei słychać było wycia hien, szakali i tygrysów, okrzyki triumfalne młodzieńców wobec pokonanych bestii. Kryszna zabijał i poskramiał lwy; staczał boje z królami i wyzwalał narody uciemiężone. Ale w duszy jego gościł wciąż smutek. Jedno tylko w sercu jego żyło głębokie, tajemne pragnienie, z którym się nie zdradzał: odnaleźć matkę i ujrzeć powtórnie dziwnego, boskiego starca. Przypominał sobie słowa jego: „Czyż nie przyobiecał mi, że ujrzę go znów, gdy zmiażdżę łeb potwora? Czy nie powiedział mi, że odnajdę matkę moją obok Tego, który wiecznie pozostaje niezmiennym?“ Daremnie jednak walczył, zwyciężał i zabijał; nie mógł znaleźć promiennej matki swojej ani oglądać powtórnie boskiego star-

ca. Pewnego dnia usłyszał o Kalayenim, królu wężów, i oświadczył się z gotowością walczenia z najstraszliwszym z tych potworów w obecności czarnoksiężnika. Mówiono, że wąż ten hodowany przez króla Kalayeni pożarł już setki ludzi i że spojrzenie jego zmraża lękiem najśmielszych. Na znak dany przez króla Kalayeni wypełzła gadzina sino-zielonej barwy, wyprostowała zwolna straszliwe swoje cielsko, nadęła czub czerwony, a przeszywające oczy jej zamigotały w potwornym łbie, pokrytym łuską lśniącą. „Wąż ten — rzekł Kalayeni — wie niejedno; to demon potężny. Tajemnice swoje wyjawi on temu tylko, kto go zgładzi, ale zabija tych, których pokona. Nie pozostaje ci więc nic innego jak ukorzyć się przed nim, jeśli nie chcesz zginąć w walce szalonej". Słowa te oburzyły Kryszne; czuł on bowiem, że serce jego jest jak ostrze pioruna. Spojrzał na węża i rzucił się na niego, chwytając go za łeb. Człowiek i gadzina stoczyli się na stopnie świątyni. Zanim jednak potwór zdołał opleść go swoimi pierścieniami, odciął mu Kryszna łeb mieczem swoim, i wydostając się spod drgającego jeszcze cielska, wzniósł młody zwycięzca w górę lewą dłonią z gestem tryumfu łeb hydry. Łeb ten żył jednak jeszcze; patrzył wciąż na Krysznę i rzekł doń: „Dlaczego zabiłeś mnie, synu Mahadewy? Czy sądzisz, że znajdziesz prawdę, zabijając żywych? Szaleńcze, znajdziesz ją jedynie, zadając śmierć samemu sobie. Śmierć jest w życiu, a w śmierci jest życie. Strzeż się córy węża i krwi przelanej. Strzeż się! strzeż się!" Mówiąc to, wydał wąż ostatnie tchnienie. Kryszna rzucił łeb jego i odszedł zgrozą zdjęty. Ale Kalayeni rzekł: „Nie mam wła-

dzy nad tym człowiekiem; Kali jedynie mogłaby pokonać go czarami swymi".

Po miesiącu obmywań i modłów nad brzegiem Gangesu, po oczyszczeniu się w blasku słońca i w myśl Mahadewy, udał się Kryszna do kraju swego rodzinnego, do pasterzy z gór Meru.

Księżyc jesienny ukazywał ponad wierzchołkami lasów cedrowych tarczę swoją błyszczącą; powietrze nocy pachniało balsamem dzikich lilii, w których szemrzą pszczoły za dnia. Kryszna, siedząc pod wielkim cedrem na skraju łąki, znużony daremnymi walkami na ziemi, marzył o walkach niebiańskich i o nieskończoności przestworzy. Im więcej myślał o promiennej matce swojej i o boskim starcu, tym marniejszymi i pogardy godnymi wydały mu się czyny jego dziecięce i tym żywiej czuł tęsknotę rzeczy niebiańskich. Całe jego jestestwo przenikał czar, niosący pociechę i wspomnienia boskie. Z głębin serca swego wzniósł hymn wdzięczności dla Mahadewy i rozbrzmiała na ustach jego słodka melodia boska. Gopisy, córy i żony pasterzy, pociągnięte śpiewem tym cudownym, wyszły z domostw swoich. Pierwsze w szeregu dziewczęta, ujrzawszy starców rodzin na drodze, cofnęły się niezwłocznie, udając, że wyszły jedynie, aby rwać kwiaty. Kilka z nich jednak zbliżyło się do Kryszny, wzywając go dwukrotnie po imieniu, po czym uciekły zawstydzone. Kobiety, ośmielając się zwolna, otoczyły Krysznę grupami, jak nieśmiałe a ciekawe gazele, oczarowane śpiewem jego. Ale on pochłonięty snami boskimi, nie widział ich. Podniecane śpiewem, zaczęły niecierpliwić się, że ne zauważył ich obecności. Nichdali, córka Nandy, wpad-

ła, z oczyma zamkniętymi, w stan ekstazy nieomal. Ale Saraswati, siostra jej, śmielsza, przysunęła się tuż blisko do syna Dewaki, otarła się o niego ciałem i szepnęła głosem pieszczotliwym:

— O, Kryszno, — czyż nie widzisz, że słuchamy cię i że nie możemy spać spokojnie w domach naszych? Twoje melodie oczarowały nas, o bohaterze cudowny! I oto w pętach trzyma nas głos twój i nie możemy już obejść się bez ciebie.

— O, śpiewaj jeszcze! — rzekło inne dziewczę; — naucz nas śpiewać melodyjnie!

— Naucz nas tańczyć, — rzekła jedna z niewiast.

Zbudzony z marzeń Kryszna spojrzał dobrotliwie na Gopisy. Zwrócił się do nich ze słodkimi słowy i, ujmując je za ręce, posadził je na trawie, w cieniu wielkich cedrów, w jasnym świetle księżyca. Potem zaczął rozsnuwać przed nimi obrazy, oglądane w duszy własnej: historię bogów i bohaterów, walki Indry i czyny boskiego Ramy. Kobiety i dziewczęta słuchały go z zachwytem. Opowiadania te trwały aż do świtu, a gdy różanopalca jutrzenka wschodziła za górą Meru, a ptaki świergotać zaczęły w gałęziach cedrów, córy i żony pasterzy wróciły do domostw swoich. Nazajutrz wszakże, zaledwie księżyc czarowny ukazał sierp swój, wróciły jeszcze bardziej spragnione słów jego. Widząc, że upajają się opowieściami jego, nauczył je Kryszna, jak mają same śpiewać i wyobrażać przy tym ruchami wzniosłe czyny bohaterów i bogów. Dał jednym harfy o strunach drżących jak dusze, innym cymbały dźwięczne jak serca wojowników, jeszcze innym bębny, łoskot grzmotu naśladujące.

Najpiękniejsze z dziewcząt wybrał, aby tchnąć w nie myśli swoje. Wyciągając ramiona, chodząc i poruszając się w boskim upojeniu, odtwarzały tancerki majestat Waruny, gniew Indry, zabijającego smoka, lub rozpacz opuszczonej Mayi. W ten sposób walki i nieśmiertelna chwała bogów, które Kryszna oglądał w duszy własnej, odradzały się w tych upojonych i przeistoczonych szczęściem kobietach.

Pewnego dnia rozpierzchły się Gopisy: Dźwięki ich instrumentów muzycznych i roześmianych głosów ich śpiewnych zamilkły w oddali. Kryszna pozostał sam pod wielkim cedrem. Przywołał wówczas dwie córy Nandy: Saraswati i Nichdali, które wnet usiadły obok niego. Saraswati otoczyła jego szyję ramionami, aż zadźwięczały zdobiące ją naramienniki, i rzekła: „Nauczyłeś nas śpiewów i tańców uświęconych i tym uczyniłeś nas najszczęśliwszymi z niewiast; będziemy wszakże najnieszczęśliwszymi, jeśli nas opuścisz. Cóż się z nami stanie, kiedy cię już nie ujrzą oczy nasze? O, Kryszno, poślub nas, siostrę moją i mnie, będziemy ci wiernymi małżonkami, a oczy nasze nie zasmucą się utraceniem ciebie“. Gdy Saraswati tak mówiła, zawarła Nichdali powieki, jak gdyby wpaść miała w sen ekstatyczny.

— Dlaczego zamykasz oczy, Nichdali? — zapytał Kryszna.

— Zazdrosna jest — odparła Saraswati ze śmiechem — nie chce widzieć ramion moich, oplecionych dokoła szyi twojej.

— Nie — odrzekła Nichdali zarumieniona; —

zamykam oczy, aby napawać się widokiem twojej postaci, wyrytej w głębi duszy mojej. Kryszno, możesz odejść; nie utracę cię nigdy. — Zamyślił się Kryszna. Rozplótł z uśmiechem ramiona Saraswati, zaciśnięte namiętnie dokoła szyi jego. Potem przyjrzał się uważnie obu kobietom i ujął je obie w swoje ramiona. Przycisnął najpierw usta swoje do ust Saraswati, a potem do oczu Nichdali. W dwu przeciągłych tych pocałunkach zdawał się młody Kryszna zgłębiać wszystkie rozkosze ziemskie i upajać się nimi. Nagle dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

— Piękną jesteś, o Saraswati! — rzekł — ty, której usta mają zapach bursztynu i kwiecia wszelakiego; czarującą jesteś, o Nichdali, ty, której powieki osłaniają oczy głębokie i która umie patrzeć w głąb siebie. Kocham was obie. Jakżebym mógł was poślubić, skoro musiałbym podzielić między was serce moje.

— O! nie pokocha on nigdy! — rzekła Saraswati gniewnie.

— Kochać będę tylko miłością wiekuistą.

Cóż czynić należy, abyś tak pokochał? — rzekła czule Nichdali. Kryszna wstał; oczy jego płomieniały.

— Aby kochać miłością wiekuistą? — powtórzył. — Trzeba, aby zgasło światło dnia, aby piorun wpadł do serca mojego i aby dusza moja uleciała ze mnie w głąb niebios.

W chwili, gdy mówił tak, zdawało się dziewczętom, że postać jego olbrzymieje. Lęk zdjął je nagle przed nim; wróciły do domu płacząc. Kryszna udał

się sam w drogę na górę Meru. Nocy następnej zgromadziły się niewiasty na zwykłe zabawy, daremnie jednak czekały na mistrza. Znikł, pozostawiając im treść jedynie i balsam swej istoty: śpiewy i tańce uświęcone.

V

## WTAJEMNICZENIE

Król Kansa, dowiedziawszy się, że siostra jego, Dewaki, znalazła schronienie u pustelników, gdzie nie mógł jej odszukać, zaczął ich prześladować i tropić jak dzikie zwierzęta. Zniewoliło ich to do cofnięcia się głębiej jeszcze w dzikszą część lasu. Wówczas główny ich kierownik stary Wasychta, chociaż miał już sto lat, udał się w drogę, aby pomówić z królem Madurą. Zdumione straże ujrzały u wrót pałacu ślepego starca, prowadzonego przez gazelę, którą trzymał na smyczy. Przejęci szacunkiem dla rishi, przepuścili go swobodnie. Wasychta zbliżył się do tronu, na którym siedział Kansa obok Nysumby i rzekł:

— Kanso, królu Madury, biada ci, synu Byka, za to, że prześladujesz samotników w świętym lesie. Biada ci, córo Węża, za to, że natchnęłaś go zemstą. Zbliża się dzień waszej kary. Wiedzcie, iż syn Dewaki żyje. Przyjdzie okryty łuską nietykalną, i przepędzi cię sromotnie z tronu. A teraz drżyjcie i spędzajcie dni w lęku; taką karę zsyłają na was Dewy.

Wojownicy, straże, służebni, padli na twarz przed świętym starcem stuletnim, który wyszedł, prowadzony przez swoją gazelę, a nikt nie śmiał tknąć go nawet. Od dnia tego wszakże Kansa i Nysumba myśleć zaczęli, w jaki sposób można byłoby zgładzić tajemnie króla pustelników.

Dewaki nie żyła i nikt, — prócz Wasychty, nie wiedział, że Kryszna jest jej synem. Rozgłos jego czynów doszedł w tym czasie do uszu króla. Pomyślał tedy Kansa: „Potrzebny mi jest człowiek silny, który mógłby mnie bronić. Ten, kto zabił wielkiego węża króla Kalayeni, nie ulęknie się pustelnika". To pomyślawszy, kazał Kansa oznajmić patriarsze Nanda, — aby mu przysłał młodego bohatera, Krysznę, „z którego uczynię kierowcę mojego rydwanu i pierwszego mojego doradcę" — dodał [23]). Nanda powtórzył Krysznie rozkaz królewski, na co odpowiedział Kryszna: „Pójdę!" W duchu wszakże pomyślał: „Czyż król Madury — miałby być owym wiekuiście Niezmiennym? Przez niego dowiem się, gdzie jest moja matka".

Kansa, widząc siłę, zręczność i rozum Kryszny, polubił go i powierzył mu pieczę nad swoim państwem. Nysumba natomiast doznała na widok bohatera z góry Meru dreszczu nieczystych pożądań cielesnych i umysł jej giętki snuć zaczął w błysku myśli zbrodniczej projekt ponury. Bez wiedzy króla przywołać kazała kierowcę rydwanu do swojego gyneceum. Czarnoksięską mocą swą potrafiła odmłodzić się za pomocą płynów, działających ze skutecznością natychmiastową. Syn Dewaki zastał hebanowo-łoną Nysumbę nagą prawie na łożu purpurowym; złote kolce oplatały ramiona jej i nogi

w kostkach; diadem z kamieni drogocennych błyszczał na jej głowie. U stóp jej płonęła kadzielnica miedziana, z której kłębami ulatywały opary wonności upajających.

— Kryszno — rzekła córa króla węży — czoło twoje gładsze jest od śniegu na szczytach Himawatu, a serce twoje jest jak ostrze pioruna. Niewinnością twoją jaśniejesz nad wszystkimi królami świata. Nikt cię tutaj nie poznał; ty sam nie wiesz, kim jesteś. Ja jedna wiem o tym; Dewy uczyniły z ciebie władcę ludzi; ja jedna uczynić mogę z ciebie władcę świata. Chcesz tego?

— Jeśli rzeczywiście mówi ustami twymi Mahadewa — rzekł Kryszna uroczyście — powiesz mi, gdzie jest matka moja i gdzie znajdę wielkiego starca, który przemawiał do mnie pod cedrami góry Meru.

— Matka twoja? — zawołała Nysumba z pogardliwym uśmiechem — o, na pewno nie ja cię o tym pouczę; twojego starca nie znam zupełnie. Szaleńcze! gonisz mary obłędne, a nie widzisz skarbów ziemi, które składam ci w darze. Są królowie, noszący koronę i nie będący królami. Są synowie pasterzy, którzy noszą majestat królewski na swoich czołach i którzy nie znają swojej potęgi. Silny jesteś, młody i piękny; idą za tobą serca. Zabij króla, gdy spać będzie, a ja koroną uwieńczę skroń twoją i będziesz władcą świata. — Bowiem kocham cię! jesteś mi przeznaczony. Tak chcę, tak rozkazuję!

Mówiąc to, powstała królowa, dumna, rozkazująca, dziwny rzucająca urok, straszliwa jak piękny wąż. Stojąc na wspaniałym łożu, cisnęła z oczu po-

sępnych taki snop płomieni żarzących na jasne oczy Kryszny, że zadrżał przerażony. W spojrzeniu jej dojrzał piekło. Dojrzał przepaść świątyni Kali, bogini żądzy i śmierci, i węże kłębiące się w niej w męce wiekuistej konania. I stały się nagle oczy Kryszny, jako dwa sztylety ostre. Przeszyły one królową na wskroś. Bohater z góry Meru zawołał:

— Wierny jestem królowi, który wezwał mnie na swego obrońcę, ale ty zginiesz, wiedz o tym!

Nysumba krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się na łoże, kąsając purpurę pościeli. Cała jej sztuczna młodość zgasła od razu; stara była znów i pomarszczona.

Kryszna wyszedł, pozostawiając ją na pastwę własnej wściekłości.

Król Madury, któremu dniem i nocą nie dawały spokoju słowa pustelnika, rzekł do swego kierowcy rydwanu:

— Odkąd stopa wroga stanęła w moim pałacu, nie mam spokoju na tronie. Diabelski czarownik, Wasychta, żyjący w gęstym lesie, rzucił na mnie swoją klątwę. Od tej chwili nie oddycham swobodnie; starzec ten zatruł mi życie, lecz mając przy sobie ciebie, który nie lękasz się niczego, nie boję się go. Chodź ze mną do lasu przeklętego. Szpieg pewien, który zna wszystkie drogi, zaprowadzi nas do niego. Jak tylko go ujrzysz, pospiesz ku niemu i zadaj mu cios, zanim zdąży wymówić słowo lub spojrzeć na ciebie. A gdy będzie już zraniony śmiertelnie, zapytaj go, gdzie jest syn siostry mojej, Dewaki, i jakie nosi imię. Spokój państwa mojego zależy od tej wiadomości.

— Bądź spokojny — odrzekł Kryszna — nie

przejął mnie lękiem Kalayeni ani wąż Kali. Przed kim mógłbym drżeć teraz? Więc choć potężnym jest ów człowiek, dowiem się, co ukrywa przed tobą.

Król i kierowca jego, przebrani za łowców, pędzili na wozie, zaprzężonym w rwące cwałem konie. Za nimi pospieszał szpieg, który przeszukał las cały. Było to na początku okresu deszczowego. Wody rzek i strumieni wezbrały, drogi i ścieżki zarosły bujnie pleniącą się roślinnością, sznury bocianów znaczyły długie białe smugi na szarym tle chmur. Z chwilą, kiedy doszli do świętego lasu, widnokrąg zaciemnił się, chmury zasnuły słońce, rdzawa mgła wypełniła powietrze. Z ponurego, burzliwego stropu nieba zwisały ciężkie chmury, czepiając się szmatami zwichrzonych wierzchołków lasów.

— Dlaczego — spytał Kryszna króla — zaciemniło się nagle niebo i czemu tak poczerniał las?

— Widzę to — odparł król Madury — to Wasychta, zły samotnik, zaciemnia tak niebo i najeża przeciwko mnie drzewa przeklęte. Czy przeraża cię to, Kryszno?

— Miałżebym bać się, że niebo zmienia oblicze, a ziemia barwę? Nie, nie boję się.

— A więc, naprzód.

— Kryszna zaciął rumaki i rydwan wjechał w obręb głębokiego cienia baobabów. Pędził tak przez czas pewien z szybkością zawrotną. A las stawał się coraz dzikszy i coraz groźniejszy. Błyskawice przeszyły ciemności; ryki gromu wstrząsnęły ziemią i lasami.

— Nigdy jeszcze — rzekł Kryszna — nie wi-

działem nieba tak czarnego, ani drzew tak pogiętych od wichru. Potężnym jest twój czarownik!

— Boisz się, Kryszno, ty, który zabijasz węże, ty, bohaterze z góry Meru?

— Choćby zapaść się miało niebo, a ziemia drgnąć w posadach, nie znam lęku.

— Więc jedźmy dalej!

I znów śmiały kierowca zaciął rumaki i rydwan popędził lotem ptaka. Wtem rozsrożyła się burza z mocą tak straszliwą, że pogięły się najwyższe olbrzymy drzew. Miotany wichrem las zawył rykiem tysięcy szatanów. Piorun spadł obok podróżnych; strzaskany baobab runął, tarasując drogę; konie stanęły, drgnęła ziemia.

— Bogiem chyba być musi wróg twój — rzekł Kryszna — skoro sam Indra ma go w swojej opiece.

— Jesteśmy blisko kresu naszej drogi — wtrącił szpieg królewski. Spójrz na tę aleję zieleni. Na krańcu jej stoi nędzna chata. Tam właśnie mieszka Wasychta, wielki muni, żywiący ptaki, broniony przez gazelę i siejący postrach na dzikie bestie.

Słysząc te słowa, król Madury zbladł śmiertelnie: Jest więc tam? naprawdę? za tymi drzewami?“ I konwulsyjnie chwytając się Kryszny, szepnął cały dygoczący:

— Wasychta! Wasychta! ten, który obmyśla, jak ma mnie zgładzić, jest tam. Widzi mnie z głębi swojego domostwa... oko jego śledzi mnie... Uwolnij mnie od niego!

— Tak, na Mahadewę — rzekł Kryszna — schodząc z rydwanu i przeskakując przez olbrzymi pień baobabu — chcę zobaczyć tego, przed którym tak drżysz cały.

Stuletni muni Wasychta przebywał od roku już w oczekiwaniu śmierci w chacie tej, ukrytej w głębi lasu świętego. Przed śmiercią ciała wyzwolił się z niewoli ciała. Oczy jego zagasły, lecz widział duszą. Skóra jego nie odczuwała już ani ciepła ani zimna, ale umysł jego żył zlany cudownie z duchem najwyższym. Rzeczy tego świata oglądał już tylko poprzez światłości Brahmy, modląc się i rozmyślając nieustannie. Jeden z wiernych uczniów jego przychodził codziennie z pustelni i przynosił mu ziarnka ryżu, którymi się żywił. Gazela, która jadła z jego ręki, ostrzegała go rżeniem przed zbliżaniem się dzikich zwierząt. Wówczas oddalał je szeptaniem zaklęcia mantra i wyciąganiem w ich kierunku kija swego bambusowego o siedmiu węzłach.

Zbliżanie się ludzi, kimkolwiek byliby, widział okiem duszy na odległość kilku mil.

Idąc naprzód po ciemnej alei, stanął Kryszna nagle przed obliczem Wasychty. Król pustelników siedział, skrzyżowawszy nogi na macie słomianej, oparty o mur chaty, w spokoju głębokim. Jego oczy ślepca nieciły ogień iskier wewnętrznych jasnowidzącego. Jak tylko Kryszna spojrzał na niego, poznał w nim od razu „boskiego starca". Radość przepełniła jego serce, duszę przejęła cześć głęboka. Zapominając o królu, o rydwanie i o państwie jego, zgiął kolano przed świętym i hołd mu złożył.

Wasychta zdawał się widzieć go. Bowiem ciało jego, oparte o ścianę chaty, uniosło się w lekkim drganiu; wyciągnął ramiona, aby pobłogosławić przybysza, a wargi jego wyszeptały zgłoskę świętą: AUM [24]).

Przez ten czas król Kansa, nie słysząc krzyku i nie mogąc się doczekać powrotu kierowcy rydwanu, pospieszył w głąb alei. Na widok Kryszny, klęczącego przed świętym pustelnikiem, osłupiał ze zdumienia. Pustelnik zwrócił ku niemu swoje oczy ślepca i podnosząc kij, rzekł:

— O, królu Madury, przychodzisz zabić mnie, bądź pozdrowiony! Bowiem zadając mi śmierć, wyzwolisz mnie z nędzy ciała. Chcesz wiedzieć, gdzie jest syn siostry twojej, Dewaki? ten, który ma pozbawić cię tronu? Oto jest on! Stoi na klęczkach przede mną i przed Mahadewą. To Kryszna, własny twój kierowca. Pomyśl, jak jesteś szalony i przeklęty, bowiem najgroźniejszy wróg twój — to on właśnie. Przywiodłeś go do mnie, abym mu powiedział, że jest owym wybrańcem. Drżyj! Zgubiony jesteś, albowiem dusza twoja piekielna stanie się pastwą demonów.

Kansa z przerażeniem słuchał słów jego. Nie śmiał spojrzeć w twarz starcowi; blady z wściekłości na widok klęczącego wciąż Kryszny, chwycił łuk swój i, napinając go z całych sił, wypuścił strzałę na syna Dewaki. Ale ramię jego drgnęło, pocisk zboczył i strzała utkwiła w piersi Wasychty, który, skrzyżowawszy ręce, czekał na nią jak gdyby w ekstazie.

Krzyk straszny rozległ się, — nie z piersi starca, ale z piersi Kryszny. Usłyszał on świst puszczonej z łuku strzały, ujrzał ją tkwiącą w ciele świętego... i zdało mu się, że przeszyła ona własne jego serce, tak dalece dusza jego zjednoczyła się w tej chwili z duszą rishi. Wraz z tą strzałą ostrą cały ból świata przeszył duszę Kryszny, rozdarł ją do głębi.

Wasychta, ze strzałą tkwiącą w piersi, poruszał jeszcze wargami, szepcząc:

— Synu Mahadewy, dlaczego wydajesz ten okrzyk bólu? Zabić daremnym jest trudem. Strzała nie może dotrzeć do duszy, a ofiara jest zwycięzcą zabójcy. Triumfuj Kryszno, przeznaczenie spełniło się: wracam do Tego, który pozostaje zawsze Niezmiennym. Niech Brahma przyjmie moją duszę. Ale ty, jego wybrany, zbawco świata, wstań! Kryszno! Kryszno!

Kryszna, posłuszny temu głosowi, wstał, chwytając za miecz; chciał zwrócić się przeciwko królowi. Ale Kansa uciekł.

Wtem błysk świetlany rozdarł czarne niebo i Kryszna padł na ziemię, rażony jasnością olśniewającą. A gdy ciało jego pozostało bez czucia, dusza zlana potęgą sympatii z duszą starca, wzniosła się w przestworze. Ziemia ze swymi rzekami, strumieniami, z morzami swymi i lądami, znikła jak kula czarna, a oni obaj ulecieli aż po siódme niebo Dew, ku Ojcu wszystkich istot, słońcu słońc, Mahadewie, boskiemu rozumowi. Pogrążyli się w rozwarty przed nimi ocean jasności, w którego samym środku ujrzał Kryszna matkę swoją promienną, swoją uwielbianą matkę, Dewaki, która z nieopisanie błogim uśmiechem wyciągnęła ku niemu ramiona, przyciągając go do swego łona. Tysiące Dew przylatywało poić się światłością Dziewicy-Matki, ogrzewać się przy tym ognisku niewygasającym. I uczuł Kryszna, że ogarnia go i pochłania miłosne spojrzenie Dewaki. Z głębi serca matki promieniejącej istota jego siała blaski poprzez wszystkie nieba. Uczuł, że jest Synem, duszą Boską wszechświa-

ta, Słowem życia, Słowem twórczym. Stojąc ponad życiem ziemskim, przenikał je bólem przecierpianym, żarem modlitwy i błogością boskiej ofiary [25]).

Kiedy Kryszna ocucił się, gromy huczały jeszcze na niebie, las był ciemny i potoki deszczu zalewały chatę. Gazela lizała krew na ciele przebitego strzałą ascety. „Boski starzec“ był już trupem tylko. Ale Kryszna wstał jak odrodzony. Przepaść dzieliła go od świata i znikomych jego ułud. Danym mu było widzieć wielką prawdę i zrozumieć posłannictwo swoje.

Król Kansa, zdjęty lękiem bez granic, uciekał na rydwanie swoim, gnany przez nawałnicę, a konie jego spinały się, jak gdyby zacinane przez tysiące demonów.

## VI

## DOKTRYNA WTAJEMNICZONYCH

Pustelnicy powitali w Krysznie oczekiwanego i powołanego następcę Wasychty. Odprawiono w świętym lesie S r a d ę, czyli obchód żałobny po wielkim starcu. Po spełnieniu ofiary ognia w obecności najstarszych pustelników, tych, którzy umieją na pamięć trzy Wedy, otrzymał syn Dewaki — na znak władzy rozkazodawczej — kij o siedmiu węzłach. Po dokonaniu obrządku tego udał się Kryszna na górę Meru, aby rozmyślać tam w skupieniu ducha nad nauką swoją i nad drogą zbawienia ludzkości. Rozmyślał tak i umartwiał ciało swoje w ciągu siedmiu lat. Po ich upływie uczuł, że boskością swoją zwyciężył ziemską naturę i że dostatecznie utożsamił się ze słońcem Mahadewy, aby zasłużyć na imię syna Bożego. Wówczas dopiero wezwał do siebie pustelników, nowych i dawnych aby objawić im doktrynę swoją. Ujrzeli oni Krysznę oczyszczonego i wyolbrzymionego, bohater przeistoczył się w świętego; nie utracił on lwiej swej siły, ale zyskał słodycz gołębią. Jako jeden z pierwszych przybył Ardżuna, potomek królów

słonecznych, jeden z Pandawów strąconych z tronu przez Kurawów, królów księżycowych. Młody Ardżuna pełen był ognia, zapał jego ostygał jednak łatwo i łatwo też przeistaczał się w zwątpienie. Przywiązał on się gorąco do Kryszny.

Siedząc pod cedrami góry Meru i mając przed sobą Himawat, zaczął Kryszna głosić uczniom swoim prawdy, niedostępne dla ludzi, żyjących w niewoli zmysłów. Uczył ich doktryny nieśmiertelności duszy, odradzania się jej i pojednania mistycznego z Bogiem. Ciało — mówił on — osłona duszy, która w nim przebywa, jest rzeczą skończoną; ale dusza sama jest niewidzialna, nieważka, niezniszczalna, wiekuista [26]). Człowiek ziemski jest troisty, jak bóstwo, którego jest odzwierciedleniem: intelekt, dusza i ciało. Jeżeli dusza łączy się z intelektem, osiąga ona S a t w ę: mądrość i pokój; jeśli pozostaje w zawieszeniu między intelektem a ciałem, ulega władzy R a j i, namiętności, i wiruje od przedmiotu do przedmiotu, zataczając krąg fatalny, i jeśli zaprzeda się ciału, wpada w T a m ę, obłęd, nieświadomość i śmierć chwilową. Oto, co człowiek każdy widzieć może w sobie samym i dokoła siebie [27]).

— Jaki jest jednak los duszy po śmierci? — zapytał Ardżuna. Czy ulega ona zawsze tym samym prawom, czy też może wyłamać się spod nich?

— Nie wyłamuje się spod nich nigdy i ulega im zawsze, — odparł Kryszna. Na tym polega tajemnica odrodzeń. Podobnie jak głębie nieba rozświetlają promienie gwiazd, tak samo światło tej prawdy rozświetla głębie nieba. „Kiedy ciało zamiera podczas górowania nad niem S a t w y (mądrości), du-

sza ulatuje w sfery owych istot czystych, które poznały Najwyższego. Kiedy zaś zamrze ciało w chwili gdy jest we władzy R a j i (namiętności), dusza wciela się ponownie w istotę przywiązaną do rzeczy ziemskich. Podobnie też, gdy śmierć ciała następuje przy górowaniu T a m y (nieświadomości), zaćmiona przez materię dusza daje się ponownie usidlić istotom obłędnym [28]).

— Słuszne to — rzekł Ardżuna. Poucz nas jednak, co się staje w przeciągu wieków z tymi, którzy szli za głosem mądrości i którzy po śmierci swojej przenoszą się do światów bożych?

— Człowiek — odrzekł Kryszna — którego śmierć zastanie oddającego się praktykom pobożnym, korzysta w ciągu kilku wieków w sferach niebiańskich z nagrody, należnej mu za jego cnotę, a potem powraca na ziemię, wcielony w istotę, należącą do godnej, świętobliwej rodziny. Taki rodzaj odrodzenia w życiu doczesnym trudny jest jednak wielce do uzyskania. Człowiek, na nowo w ten sposób narodzony, posiada w tym samym stopniu zdolność skupiania się i doskonalenia, w jakim posiadał ją w pierwotnym swoim ciele, zaczyna też na nowo pracować nad doskonaleniem się w pobożności [29]).

— A więc — zauważył Ardżuna — dobrzy nawet muszą odradzać się i rozpoczynać na nowo życie cielesne! Powiedz nam wszakże, o władco życia! czy dla człowieka idącego drogą mądrości nie istnieje kres wiecznych odrodzeń?

— Słuchajcie więc, — rzekł Kryszna — a wyjawię wam bardzo wielką i bardzo głęboką tajemnicę, tajemnicę najwyższą, wzniosłą i czystą. Aby

dojść do udoskonalenia, zdobyć należy *wiedzę jedności*, która przewyższa mądrość; należy wznieść się do istoty boskiej, stojącej ponad duszą ponad rozumem nawet. Owóż boska ta istota, ten przyjaciel wzniosły jest w każdym z nas. Bowiem w duszy każdego człowieka mieszka Bóg, niewielu wszakże umie go tam znaleźć. A oto droga zbawienia. Gdy uda wam się dojrzeć w sobie Istotę doskonałą, stojącą ponad światem, postanówcie wyrzec się wroga waszego, który przybiera na siebie postać żądzy. Poskramiajcie wasze namiętności. Rozkosze, których dostarczają wam zmysły, są źródłem i rodzicielem przyszłych cierpień. Nie tylko czyńcie dobro, ale bądźcie dobrymi. Niech pobudka tkwi w czynie, a nie w jego wynikach. Wyrzeczcie się plonu waszych dzieł, ale niech każdy z czynów waszych będzie ofiarą złożoną Najwyższej istocie. Człowiek, który czyni ofiarę z pożądań swoich i z czynów na rzecz istoty, będącej źródłem i twórcą wszechrzeczy, zdobywa ofiarą tą doskonałość. Złączony duchowo z tą istotą, zyskuje ową mądrość, stojącą ponad kultem ofiar, i odczuwa szczęśliwość boską. Ten bowiem, kto w samym sobie odnalazł szczęście i radość i kto światło też w sobie samym odnalazł, zjednoczył się z Bogiem. Wiedzcie zatem, że dusza, która odnalazła Boga, wyzwolona jest z odradzania się i ze śmierci, ze starości, z bólu i pije z krynicy nieśmiertelności [30]).

W ten sposób wyjaśniał Kryszna doktrynę swoją uczniom, wznosząc ich powoli — drogą wewnętrznej kontemplacji — do poznania prawd najwyższych, odsłonionych przed nim samym w piorunowym błysku jego widzenia. Kiedy mówił o Ma-

hadewie, głos stawał się uroczystszym, a twarz rozjaśniał blask promienny. Pewnego dnia Ardżuna, pełen ciekawości i odwagi, rzekł do niego:

— Daj nam ujrzeć Mahadewę w boskiej jego postaci. Czy nie mogą oglądać go oczy nasze?

Powstał wówczas Kryszna i mówić zaczął o Tym, który żyje we wszystkich istotach, przybierając kształtów tysiące, który oczu moc ma niezliczoną i oblicza zwrócone we wszystkie strony, a który wszakże wyższym jest nad nie o cały bezmiar nieskończoności; o Tym, który w bezkresnym nieruchomym ciele swym mieści cały wielokształtny świat ruchomy. „Gdyby w niebiosach rozbłysła naraz światłość tysięcy słońc“ — rzekł Kryszna — przypominałaby ona w słabym zaledwie stopniu świetność jedynej istoty Wszechmocnej“.

Kiedy mówił tak Kryszna o Mahadewie, taki trysnął z oczu jego promień, że uczniowie nie mogli znieść jego blasku i padli do stóp jego. Włosy zjeżyły się z przerażenia na głowie Ardżuny. Nachylając się kornie i składając modlitewnie dłonie, rzekł: „Mistrzu, słowa twoje przerażają nas, nie możemy znieść widoku wielkiej Istoty, jaką przedstawiasz oczom naszym. Obraz ten piorunuje nas“ [81]). A Kryszna mówił dalej: „Słuchajcie, co wieści wam on przez usta moje: Ja i wy mieliście wiele narodzin. Moje znane są mnie tylko, ale wy nie znacie waszych nawet. Jakkolwiek z samej natury mojej nie podlegam narodzinom ani śmierci i jakkolwiek jestem władcą wszystkich istot, rozkazuję jednak naturze własnej i własną potęgą mą czynię się widzialnym. Ilekroć też cnota upadać zaczyna na świecie, a zapanowuje na nim natomiast

grzech i niesprawiedliwość, czynię się widzialnym i dlatego ukazuję się poprzez wieki dla ocalenia sprawiedliwości, zniszczenia zła i przywrócenia cnoty. Kto poznał prawdziwą moją istotę i dzieło moje boskie, nie powraca już do nowych narodzin, lecz powraca do mnie“ [32]).

Mówiąc to, spoglądał Kryszna łagodnie i dobrotliwie na uczniów swoich. Wtedy Ardżuna zawołał:

— Panie! jesteś władcą naszym, jesteś synem Mahadewy! Mówi mi o tym dobroć twoja, twój czar niewypowiedziany bardziej jeszcze niż blask twój przerażający. Nie w wirze bezkresu szukają cię z upragnieniem Dewy; kochają cię one i wielbią, gdy ludzką przybierasz na się postać. Ani pokuta, ani jałmużny, ani Wedy, ani ofiary nie dorównają jednemu spojrzeniu twemu. Jesteś prawdą. Wiedź nas na walki, na boje, na śmierć. Dokądkolwiek zechcesz, pójdziemy za tobą!

Uśmiechnięci i zachwyceni uczniowie cisnęli się do Kryszny, mówiąc:

— Jakże mogliśmy nie widzieć tego wcześniej? Wszak to Mahadewa przemawia przez ciebie.

A on rzekł:

— Oczy wasze nie były otwarte. Wyjawiłem wam wielką tajemnicę. Odsłońcie ją tym tylko, którzy mogą ją zrozumieć. Jesteście wybrańcami moimi; widzicie cel, tłum widzi zaledwie kawałek drogi. A teraz idźcie głosić ludom drogę zbawienia.

## VII

## ZWYCIĘSTWO I ŚMIERĆ

Po udzieleniu nauki uczniom swoim na górze Meru udał się Kryszna wraz z nimi na brzegi Dżamuny i Gangesu, aby nawrócić lud. Wchodził do chat i zatrzymywał się w miastach. Wieczorem na krańcach wiosek zbierał się dokoła niego tłum. Głosił ludowi nade wszystko miłość bliźniego. „Krzywda, którą wyrządzamy bliźniemu naszemu — mawiał — idzie za nami nieodstępnie, jak cień idzie za ciałem naszym. Sprawiedliwy dążyć winien do spełnienia uczynków, opartych na miłości bliźniego, one bowiem zaważą najbardziej na szali bożej. — Jeśli przestawać będziesz z dobrymi, zbędnymi się staną twoje przykłady; nie lękaj się przestawania ze złymi, gdyż tym sposobem sprowadzisz ich na dobrą drogę. — Człowiek cnotliwy podobny jest do drzewa olbrzymiego, którego liczne gałęzie wzrastają prostopadle w ziemię, którego cień dobroczynny daje otaczającym go roślinom świeży powiew życia".

Czasem też mówił Kryszna, którego duszę przepełniał teraz balsam miłości, o zaparciu się samego

siebie i o poświęceniu; mówił głosem słodkim, pociągające wyczarowując przy tym obrazy: „Jak ziemia nosi i podtrzymuje tych, którzy depcą ją nogami i którzy rozdzierają łono jej, aby ją uprawiać,— tak samo i my winniśmy dobrem płacić za złe. — Człowiek zacny paść musi pod ciosami, zadanymi mu przez złych ludzi, jak święte drzewo sandałowe zapachem swoim owiewa topór, który je zrąbał".— Kiedy pół-mędrkowie, niedowiarki i pyszałki żądali od niego, aby im wyjaśnił istotę Boga, takimi odpowiadał zdaniami:

„Wiedza ludzka jest próżnością jedynie; wszystkie dobre jej uczynki ułudą są tylko, jeśli nie umie wiązać ich z Bogiem. — Bóg miłuje pokornych sercem i duchem; nie potrzeba mu niczego innego. — Nieskończoność jedynie i bezkres zdolne są zrozumieć nieskończoność; Bóg tylko zrozumieć może Boga".

Nie były to jedyne prawdy nowe, głoszone przez niego. Zachwycał zwłaszcza i czarował tym, co mówił o Bogu żyjącym, o Wisznu. Pouczał, że władca wszechrzeczy wcielał się niejednokrotnie w ludzi. Objawiał się kolejno w siedmiu rishich, we Wyasie i w Wasychcie. I nadal objawiać się będzie. Wisznu, jak twierdził Kryszna — lubił czasem przemawiać ustami pokornych: żebraka, pokutnicy, dziecięcia. Opowiadał ludowi przypowieść o biednym rybaku, imieniem Durga, który spotkał dziecię umierające z głodu pod cieniem drzewa daktylowego. Dobry Durga, uginając się pod ciężarem własnej niedoli, obarczony liczną rodziną, której nie był w stanie wyżywić, wzruszył się niedolą dziecka i zabrał je z sobą do domu. Słońce już za-

szło, księżyc wschodził nad Gangesem, rodzina cała odmówiła modlitwy wieczorne, a dziecię szepnęło półgłosem: „Owoc kataki oczyszcza wodę; dobre uczynki oczyszczają duszę. Weź sieć, Durgo, łódź twoja kołysze się na Gangesie". Durga zarzucił sieci, które ugięły się pod ciężarem mnóstwa ryb. Dziecię znikło. I tak — mówił Kryszna, — kiedy człowiek o własnej zapomina niedoli , aby myśleć o niedoli bliźnich, objawia się Wisznu i czyni go szczęśliwym w własnym jego sercu".

Przykładami podobnymi głosił Kryszna kult Wisznu. Każdy z wsłuchanych w słowa syna Dewaki szczęśliwy był, że ma Boga tak blisko własnego serca. Sława proroka z góry Meru rozeszła się po całych Indiach.

Pasterze, znający go od małego dziecka i będący świadkami naocznymi jego czynów, wierzyć nie mogli, aby święty ten był owym tak dobrze im znanym bohaterem nieustraszonym.

Stary Nanda nie żył już. żyły wszakże obie jego córki, Saraswati i Nichdali, które kochał Kryszna. Losy jednej i drugiej były odmienne. Saraswati, rozgniewana na Kryszną za to, że ją opuścił, szukała zapomnienia w małżeństwie. Poślubiła człowieka, należącego do wyższej kasty, który pojął ją za jej urodę. Potem pogardził nią i sprzedał jakiemuś waysia czyli kupcowi. Saraswati porzuciła go jednak i stała się kobietą złych obyczajów. Potem dnia pewnego, ogarnięta skruchą i wstrętem do swego życia, rozpacz poczuła w sercu, powróciła do kraju rodzinnego i udała się w tajemnicy do siostry swej, Nichdali. Ta, mająca wciąż w pamięci Kryszną, jak gdyby był zawsze przy niej, pozosta-

ła w stanie dziewictwa i mieszkała razem z bratem swoim, u którego pełniła obowiązki służebnej. Gdy Saraswati opowiedziała jej o swojej niedoli i wyjawiła przed nią swoją hańbę, Nichdali odpowiedziała:

— Siostro moja biedna; ja ci wybaczam, ale mój brat ci nie wybaczy. Kryszna jedynie mógłby cię ocalić.

Promień zabłysnął w zagasłych oczach Saraswati.

— Kryszna! rzekła; co się z nim dzieje?

— Stał się świętym, wielkim prorokiem. Naucza na brzegach Gangesu.

— Chodźmy do niego! — zawołała Saraswati. — I udały się obie siostry w drogę, jedna zniszczona przez żądzę, druga promienna niewinnością, — obie wszakże jedną pochłonięte miłością.

Kryszna nauczał w tej porze wojowników czyli kszatriów. Kolejno bowiem głosił naukę swoją braminom, ludziom należącym do kasty braminów i ludowi. Braminom wyjaśniał ze spokojem wieku dojrzałego głębokie prawdy doktryny swojej, wobec radżów sławił cnoty wojenne i rodzinne w słowach, pełnych ognia młodości; do ludu przemawiał z prostotą dziecięcą o miłosierdziu, o pokorze i o nadziei.

Siedział właśnie za stołem biesiadnym, w gościnie u słynnego pewnego wodza, kiedy dwie niewiasty przyszły prosić o wprowadzenie ich przed oblicze proroka. Ich odzież pokutnic ułatwiła im dostęp do niego. Saraswati i Nichdali skłoniły się do stóp Kryszny i Saraswati pierwsza zawołała:

— Odkąd opuściłeś nas, o Kryszno, pędziłam ży-

cie w błędzie i grzechu; gdybyś chciał jednak, mógłbyś mnie ocalić!... Nichdali dodała:

— O Kryszno, ujrzawszy cię ongi, wiedziałam, że miłość moja dla ciebie będzie wieczną, teraz, kiedy odnajduję cię w całym twym blasku, wiem, że jesteś synem Mahadewy.

I obie ucałowały stopy jego. Radżowie rzekli wówczas:

— Dlaczego, o święty rishi, pozwalasz kobietom tym, aby cię znieważały słowami niedorzecznymi?

Na to odpowiedział Kryszna:

Pozwólcie im wynurzyć przede mną serca swoje; więcej one warte od was. Bowiem w sercu jednej żyje wiara, a w sercu drugiej gości miłość. Grzesznica Saraswati zbawiona jest od tej chwili, albowiem uwierzyła we mnie; cicha Nichdali więcej w milczeniu swoim miłowała prawdę, niż wy wszyscy krzykami waszymi. Wiedzcie otóż, że promienna matka moja, żyjąca w słońcu Mahadewy, nauczy ją tajników miłości wiekuistej, podczas gdy wy wszyscy grzęznąć jeszcze będziecie w mrokach życia nizinnego.

Od dnia tego Saraswati i Nichdali szły nieodstępnie śladem Kryszny wraz z uczniami jego. Natchnione przez niego, nauczały one inne kobiety.

Kansa panował wciąż w Madurze. Od chwili, kiedy zabił starego Wasychtę, nie miał ani chwili spokoju na tronie. Ziściło się proroctwo pustelnika: syn Dewaki żył! Król widział go i poczuł, że wobec potęgi tych oczu słabnie cała jego siła i kruszy się cała jego władza. Drżał jak liść suchy o życie własne i często, mimo, że otaczały go roje straży, odwracał się nagle w przekonaniu, że ujrzy młodego

bohatera, promiennego a straszliwego, u wrót swego pałacu. — I Nysumba również, rozciągnięta na łożu w głębi gyneceum, rozmyślała o utraconej swej potędze. Kiedy powiedziano jej, że Kryszna, który stał się prorokiem, naucza na brzegach Gangesu, namówiła króla, aby wysłał oddział żołnierzy z rozkazem sprowadzenia go związanego. Na widok wysłanych przeciwko niemu żołnierzy uśmiechnął się Kryszna i rzekł do nich:

— Wiem, kim jesteście i w jakim celu przychodzicie. Gotów jestem iść z wami do waszego króla; pierwej jednak opowiem wam o królu niebios, który jest moim królem.

I mówić zaczął o Mahadewie, o blasku jego wspaniałym i o jego objawieniach. Kiedy skończył, złożyli żołnierze broń swoją u stóp Kryszny, mówiąc:

— Nie uprowadzimy ciebie jako jeńca na dwór naszego króla, ale pójdziemy za tobą, do króla twojego.

Pozostali przy nim, a gdy wieść o tym doszła do Kansy, lęk zdjął go wielki. Wtedy poradziła mu Nysumba:

— Wyślij najpierwszych mężów kraju.

Stało się wedle jej rady. Najwybitniejsi mężowie państwa Kansy udali się do miasta, w którym nauczał Kryszna. Przyobiecali nie dawać posłuchu jego mowie.

Na widok wszakże blasku jego spojrzenia, majestatu jego postaci i czci, jaką okazywał mu tłum, nie mogli powstrzymać się od słuchania. Kryszna mówił im o niewoli wewnętrznej tych, którzy czynią źle, i boskiej wolności tych, którzy czynią do-

brze. Radość i zdumienie ogarnęły kszatriów, bowiem poczuli się wyzwolonymi jak gdyby z ciężaru przytłaczającego.

— Zaprawdę wielkim jesteś czarownikiem, — rzekli. Przysięgliśmy, że przyprowadzimy cię przed oblicze króla, zakutego w łańcuchy żelazne; nie możemy jednak tego uczynić, albowiem wyzwoliłeś nas z więzów, jakimi my sami byliśmy spętani.

Powrócili tedy do Kansy i oznajmili mu:

— Nie możemy przyprowadzić ci tego człowieka. Wielkim on jest prorokiem i nie masz powodu lękać się go.

Widząc, że wszystkie próby sprowadzenia Kryszny są daremne, rozkazał król potroić straże i założyć ciężkie łańcuchy żelazne u wszystkich wrót pałacu. Pewnego dnia wszakże usłyszał wielki hałas w mieście, okrzyki radości i triumfu. „To Kryszna wchodzi do miasta. Lud wywala wrota, kruszy łańcuchy żelazne". Na wieść tę chciał Kansa uciekać. Straże zmusiły go jednak do pozostania na tronie.

Kryszna wchodził istotnie w otoczeniu uczniów swoich i licznego zastępu pustelników do Madury, z której murów powiewał las chorągwi i której ulice przepełniała ciżba ludzka, podobna do fal rozkołysanego wiatrem morza. Deszcz wieńców i kwiatów sypał się na jego głowę. Witano go okrzykami zachwytu. U wnijść do świątyń stali bramini, zgromadzeni pod świętymi drzewami bananowymi i witający syna Dewaki, zwycięzcę potwora, bohatera z góry Meru, a nade wszystko proroka Wisznu. Wreszcie, otoczony świetnym orszakiem i witany

jak zbawca przez lud i kszatriów, stanął Kryszna przed królem i królową.

— Przemoc i zło były podstawami twojego panowania — rzekł Kryszna do Kansy, — zasłużyłeś też na tysiące śmierci za to, że zabiłeś świętego starca, Wasychtę. Nie umrzesz jednak jeszcze. Chcę dowieść światu, że nie zabijaniem wrogów odnosi się zwycięstwo nad nimi, ale przebaczeniem im.

— Zły człowieku! — rzekł Kansa, — skradłeś koronę moją i państwo moje. Dopełnij więc swojego dzieła.

— Mówisz jak szaleniec — rzekł Kryszna. — Gdybyś umarł w tym stanie bezrozumu, zakamieniałości i występku, zgubiony byłbyś na wieki w przyszłym życiu. Jeśli natomiast rozumieć zaczniesz szał twój i żałować czynów popełnionych, będąc jeszcze na tym świecie, kara twoja na tamtym będzie zmniejszona, i przyjdzie dzień, w którym, za wstawiennictwem duchów czystych, zbawiony zostaniesz przez Mahadewę.

Nysumba, pochylony nad uchem króla, szepnęła:

— Szaleńcze! Skorzystaj z obłędnej pychy jego. Dopóki żyjesz, pozostaje ci jeszcze nadzieja zemsty.

Kryszna zrozumiał, co powiedziała, chociaż nie słyszał słów jej. Obrzucił ją surowym, pełnym politowania spojrzeniem:

— Nieszczęsna! żądło twoje wciąż zatrute. Czarownico, duchu przewrotny, nic więc nie ma w sercu twoim prócz jadu żmii?... Wyrwij to żądło, albowiem, jeśli nie uczynisz tego, zmuszony będę kiedyś głowę ci rozpłatać. A teraz pójdziesz wraz

z królem na wygnanie, aby tam, pod okiem braminów, odbyć pokutę za zbrodnie swoje.

Po wydarzeniach tych powołał Kryszna, za zgodą wybitnych mężów i ludu, ucznia swojego, Ardżunę, najsłynniejszego potomka królów słonecznych, na króla Madury. Władzę najwyższą złożył w ręce braminów, którzy stali się duchowymi przewodnikami króla. Sam Kryszna zaś pozostał zwierzchnikiem pustelników, stanowiących radę najwyższą braminów. Celem ustrzeżenia rady tej od prześladowań kazał wybudować dla niej i dla siebie miasto obronne wpośród gór, otoczone murem wysokim i zamieszkałe przez ludność wybraną. Miasto owo nosiło nazwę Dwarka. W pośrodku jego stała świątynia wtajemniczonych, której część główna ukryta była pod ziemią [33]).

Kiedy jednak królowie kultu księżycowego dowiedzieli się, że król kultu słonecznego objął tron Madury i że bramini stali się dzięki niemu władcami Indii, złączyli się w sojuszu potężnym, aby obalić go połączonymi siłami. Ardżuna, z kolei, zgromadził dokoła siebie wszystkich królów kultu słonecznego tradycji białej, aryjskiej, wedyjskiej. Kryszna czuwał nad nimi i kierował nimi z głębi świątyni w Dwarce. Dwie armie wrogie stanęły naprzeciw siebie i walka rozstrzygająca była nieunikniona. Ardżuna, nie widząc wszakże mistrza swego obok siebie, uląkł się; duch jego uległ przyćmieniu; odwaga jego osłabła. Pewnego dnia o świcie zjawił się Kryszna przed namiotem króla, ucznia swego.

— Dlaczego — rzekł mistrz głosem surowym — nie rozpocząłeś walki, która ma rozstrzygnąć, czy

synowie słońca czy też synowie księżyca panować mają na ziemi?

— Nie mogę na nic się odważyć bez ciebie — odparł Ardżuna. Spójrz na te dwie armie olbrzymie i na te zastępy, które mają się wzajem mordować.

Ze wzniesienia, na którym stali, władca duchów i król Madury patrzyli na dwie armie niezliczone, ustawione w szyku bojowym, jedna naprzeciw drugiej. Z dala dostrzec można było lśniące zbroje pozłociste wodzów; tysiące żołnierzy, koni i słoni czekały tylko na hasło rozpoczęcia walki. W tej chwili najstarszy z Kurawasów, wódz armii nieprzyjacielskiej, zadął w swój róg morski, w róg wielki, którego grom podobny był do ryku lwa. Na odgłos ten rozległo się na ogromnym placu boju rżenie koni, szczęk zdławiony oręża, warkot bębnów i trąb — co wszystko razem na huk złożyło się potężny. Nie pozostawało już Ardżunie nic czynić innego, jeno wskoczyć na rydwan zaprzężony w białe rumaki i zadąć w konchę swoją jasno-błękitną, aby dać synom słońca hasło rozpoczęcia walki. Głęboka litość zalała jednak serce króla, który rzekł bardzo zgnębiony:

— Ręce opadają mi na widok tych rzucających się na siebie wzajem hord; usta moje wysuszył ogień, ciało moje drży, włos jeży mi się na głowie, skóra moja płonie, a umysł mąci się. Widzę złe wróżby. Bój ten nie zapowiada nic dobrego. Cóż przyjdzie nam z panowania, z rozkoszy, a nawet z życia? Ci, dla których zdobywać pragniemy państwa, rozkosze, radości, stoją tam, gotowi do walki, zapominają o życiu swoim i swoich dostatkach.

Ojcowie, synowie, dziadowie, wnukowie, rodzice, przewodnicy duchowi, zarzynać się wzajem będą. Nie chcę zabijać ich, aby panować nad trzema światami, a tym mniej jeszcze, aby królować na ziemi. Czy zabijanie wrogów może sprawić mi przyjemność? Grzech zabicia wiarołomnych spadnie na nas.

— W jaki sposób — rzekł Kryszna — dotknęła cię klątwa bojaźni, niegodna duszy mędrca, będąca źródłem hańby, która wypędza nas z niebios? Nie bądź zniewieściałym. Powstań.

Ale Ardżuna, zgnębiony i zniechęcony, siedział w milczeniu, a potem oznajmił:

— Nie będę walczył.

— Na to Kryszna, król duchów, ze słabym odparł uśmiechem:

— O, Ardżuno! nazwałem cię królem snu, aby umysł twój czuwał nieustannie. Ale umysł twój usnął i ciało twoje zwalczyło duszę. Płaczesz nad tymi, nad którymi nie należałoby płakać, i słowom twoim brak mądrości. Mądrzy nie opłakują ani żywych ani umarłych. Ja i ty i ci kierownicy ludzi istnieliśmy zawsze i nie przestaniemy istnieć nigdy w przyszłości. Podobnie jak dusza przemieszkując w danym ciele, przeżywa dziecięctwo, młodość i starość, tak samo przeżywać je będzie w innych ciałach. Człowieka rozważnego nie może to stropić. Potomku Bharaty! znoś z jednaką pogodą ducha cierpienie i radość. Ci, którym są one obojętne, zasługują na nieśmiertelność. Ci, którzy dostrzegają właściwą istotę rzeczy, widzą prawdę wiekuistą, panującą nad duszą i ciałem. Wiedz za-

tem, że to, co przenika wszechświat, nie może ulec zniszczeniu. Nikt nie jest w stanie zniszczyć Niewyczerpanego. Istnienie wszystkich tych ciał krótkotrwałe jest, jak ci wiadomo. Jasnowidzący wiedzą również, iż dusza wcielona jest wiekuista, niezniszczalna i nieskończona. Dlatego też idź walczyć, synu Bharaty! Jednako błądzą ci, którzy sądzą, że dusza może zabijac lub może zostać zabitą. Nie zabija ona ani nie może być zabitą. Nie urodziła się i nie może tym samym stracić bytu tego, który zawsze posiadała. Jak ten, kto zrzuca ze siebie stare szaty, aby przywdziać nowe, tak samo dusza wcielona odrzuca ciało swoje, aby wcielić się w inne. Miecz jej nie przetnie, ogień nie spali, ani woda zatopi, ani też powietrze nie wysuszy jej. Trwała, mocna, wiekuista — przenika wszystko. Nie powinny zatem obchodzić cię, o Ardżuno, ani narodziny ani śmierć! Albowiem ten, kto się urodził, umrzeć musi niezawodnie, zaś ten, kto umiera, musiał się narodzić. Spełń powinność twoją bez wahania, albowiem nie ma dla kszatrii nic wyższego ponad walkę w imię słuszności. Szczęśni są wojownicy, którym bitwa zdaje się wrotami otwartymi do raju! Jeśli jednak nie zechcesz stanąć do słusznego boju, popełnisz grzech, zaniedbując obowiązki swoje i narażając dobrą swoją sławę. Wszyscy mówić będą o wiecznej hańbie twojej, a hańba gorszą jest od śmierci człowieka, czczonego powszechnie [24]).

Na te słowa mistrza spłonął Ardżuna wstydem i poczuł, że krew jego królewska nowym zawrzała męstwem. Wskoczył tedy na rydwan swój i dał znak do rozpoczęcia bitwy. Wówczas pożegnał

Kryszna ucznia swojego i opuścił pole walki, albowiem pewien już był zwycięstwa syna słońca.

Rozumiał wszakże, iż, chcąc zniewolić zwyciężonych do przyjęcia religii swojej, musi odnieść nad duszami ich ostatnie zwycięstwo, trudniejsze niż zwycięstwo orężne. Zarówno jak święty Wasychta umarł przebity strzałą, aby móc objawić Krysznie prawdę najwyższą, tak samo musiał Kryszna śmierć ponieść dobrowolną pod ciosami zadanymi mu przez śmiertelnego wroga, aby wpoić w serca przeciwników swoich zasady wiary, którą głosił uczniom swoim i światu.

Wiedział on, że dawny król Madury, nie myśląc bynajmniej o pokucie za grzechy, schronił się do ojca swej żony, króla Kalayeni, władcy wężów. Gnany zemstą, którą podsycała w nim Nysumba, rozkazał szpiegom, aby śledzili Krysznę i uchwycili moment odpowiedni do zadania mu ciosu. Zaś Kryszna czuł, że spełnił posłannictwo swoje i że do ostatecznego przypieczętowania go brak jedynie najwyższej pieczęci ofiary. Przestał więc unikać wroga i krzyżować zamiary jego potęgą woli swojej. Wiedział, że z chwilą, gdy przestanie bronić się siłą swoją tajemną, cios dawno obmyślany dosięgnie go niezawodnie. Ale syn Dewaki pragnął umrzeć z dala od ludzi, w samotności Himawatu. Tam będzie się czuł bliższym matki swojej promiennej, boskiego starca i słońca Mahadewy.

Udał się tedy do pustelni, położonej w najdzikszym i najbardziej samotnym ustroniu, u stóp niebotycznych szczytów Himawatu. Żaden z uczniów nie domyślał się jego zamiaru. Saraswati jedynie i Nichdali wyczytały go z oczu mistrza, wiedzione

›owym czarem przeczuwania, właściwym kobiecie i miłości. Zrozumiawszy, że Kryszna chce umrzeć, padła mu Saraswati do nóg, ucałowała je namiętnie i zawołała:

— Nie opuszczaj nas, mistrzu!

Nichdali spojrzała na niego i rzekła z prostotą:

— Wiem, dokąd idziesz. Kochałyśmy cię, pozwól więc nam iść ze sobą.

A na to Kryszna:

— W niebie moim nie dozna miłość odmowy. Chodźcie więc!

Po długiej podróży doszli prorok i dwie świątobliwe niewiasty do szeregu chatek, ugrupowanych dokoła wielkiego nagiego cedru, na żółtawej skalistej górze. Z jednej strony okalały je olbrzymie szczyty śnieżne Himawatu; z drugiej, w głębi, labirynt gór; w dali — płaszczyzna, państwo Indii, owiane, jak sen, mgłą złotawą. W pustelni tej mieszkało kilku pokutników w odzieży z kory, z włosami skręconymi w snop, z długimi brodami, z członkami wyschłymi palącym tchnieniem wiatru i żarem słońca, obrosłych włosem na skórze pokrytej warstwami błota i kurzu. Kilku z nich wyglądało jak szkielety, obciągnięte zasuszoną skórą. Na widok smutnego miejsca tego zawołała Saraswati:

— Ziemia jest daleka, a niebo milczące. Dlaczegóż o Panie, przywiodłeś nas do tej pustyni, opuszczonej przez Boga i ludzi?

— Módl się — odrzekł Kryszna — jeśli chcesz, aby ziemia przybliżyła się i niebo przemówiło do ciebie.

— Z tobą niebo zawsze jest bliskie, — rzekła Nichdali; ale dlaczego chce nas ono opuścić.

— Syn Mahadewy — oznajmił Kryszna — musi umrzeć przebity strzałą, aby świat uwierzył w słowa jego.

— Wyjaśnij nam tę tajemnicę!

— Zrozumiecie ją po mojej śmierci. Módlmy się.

Przez siedem dni modlili się i dokonywali obmywań. Oblicze Kryszny przeistaczało się często, zdając się promieniować światło. Siódmego dnia o zachodzie słońca ujrzały obie niewiasty łuczników, zbliżających się do pustelni.

— Oto łucznicy Kansy, którzy cię szukają, — rzekła Saraswati; — broń się, mistrzu!

Ale Kryszna, klęcząc pod cedrem, nie przerywał modlitwy. Po chwili nadeszli łucznicy, przypatrując się kobietom i pokutnikom. Twarze prostaczych żołnierzy tych żółte były i czarne. Na widok tonącego w modłach świętego stanęli oszołomieni. Zrazu usiłowali wyrwać go ze stanu ekstazy, zadając mu pytania, lżąc go i ciskając weń kamienie. Nic wszakże nie zdołało zakłócić kamiennego jego spokoju. Zniecierpliwieni rzucili się na niego i uwiązali go do pnia cedru. Kryszna pozwalał wszystko ze sobą robić, jak gdyby pogrążony był we śnie. Potem cofnęli się nieco łucznicy i wzajem podniecając się, zaczęli z odległości ciskać w niego strzały. Gdy przebiła go pierwsza strzała i trysła krew, zawołał Kryszna: „Wasychto, synowie słońca zwyciężyli!“ Kiedy druga strzała świsnęła i wbiła się w jego ciało, rzekł: „Matko moja promienna, niechaj ci, którzy mnie kochają, wejdą wraz ze mną w krąg twoich jasności“. Przy trzeciej szepnął tylko „Mahadewa!“ I potem z imieniem Brahmy na ustach wyzionął ducha.

Słońce zaszło. Zerwał się wicher, zawieja śnieżna zwaliła się ze szczytów Himawatu i padła na ziemię. Niebo zasnuło się chmurami. Wir czarny powionął po górach. Przerażeni tym, co uczynili, uciekli zabójcy, a obie niewiasty, zmartwiałe z przerażenia, padły zemdlone na ziemię, jak gdyby rażone deszczem krwawym.

Ciało Kryszny spalone zostało przez uczniów jego w świętym grodzie Dwarki. Saraswati i Nichdali rzuciły się na stos, aby połączyć się z mistrzem, i w tej samej chwili wydało się tłumowi, że widzi syna Mahadewy, unoszącego się słupem świetlnym z płomieni i pociągającego ze sobą obie swoje małżonki.

Po wydarzeniu tym przyjęła większa część Indii kult Wisznu, który zjednoczył kulty słoneczne i kulty księżycowe w religii Brahmy.

## VIII

## PROMIENIOWANIE DOKTRYNY SŁONECZNEJ

Taka jest legenda o Krysznie, odtworzona w całokształcie swoim w perspektywie dziejowej.

Rzuca ona żywe światło na powstanie braminizmu. Nie podobna oczywiście ustalić na podstawie dokumentów faktycznych, czy poza mitem o Krysznie ukrywa się osobnik rzeczywiście istniejący. Potrójna zasłona, okrywająca wyłonienie się wszystkich religii wschodnich, bardziej jest nieprzenikniona w Indiach niż gdziekolwiek. Bramini bowiem, władcy nieograniczeni społeczności hinduskiej, jedyni przechowywacze tradycji, urabiali ją często i przerabiali w biegu wieków. Słuszność wszakże nakazuje dodać, że wiernie przechowali oni wszystkie jej podstawy i że jeśli nawet doktryna święta rozwinęła się w przebiegu wieków, jądro jej nie zostało nigdy naruszone. Nie moglibyśmy też, jak to czyni większość uczonych europejskich, wyjaśnić postaci takiej, jak Kryszna, słowami: „To bajki rozsiane na tle mitu słonecznego i przetkane fantazją filozoficzną". Nie tworzy się w ten sposób religia, która przetrwała tysiące lat, zrodziła

cudowną poezję, kilka wielkich systemów filozoficznych, oparła się potężnej napaści buddyzmu [35]), najściom mongołów, mahometan, podbojowi angielskiemu i zachowała, w upadku swoim jeszcze, poczucie odwiecznych i wzniosłych swoich początków.

Nie. U źródła wielkiej organizacji stoi zawsze wielki człowiek. Jeśli weźmiemy pod uwagę górującą rolę osobistości Kryszny w tradycji epickiej i religijnej, jeśli uwzględnimy z jednej strony cechy jego ludzkie, a z drugiej jego stałe utożsamianie z Bogiem objawionym czy z Wisznu, musimy uwierzyć, że był on twórcą kultu Wisznu, któremu braminizm zawdzięcza całą swoją wysoką wartość i swój urok. Logika zatem nakazuje przypuścić, że spośród chaosu religijnego i społecznego, jaki stwarzało pierwotne opanowanie Indii przez kulty naturalistyczne i zmysłowe, wyłonił się świetlany reformator, który ożywił czystą doktrynę aryjską ideą trójjedności i słowa bożego objawionego, który przypieczętował dzieło swoje ofiarą życia własnego i nadał tym sposobem Indiom ich ducha religijnego, ich charakter narodowy i ostateczny ustrój.

Znaczenie Kryszny wyda nam się większym jeszcze i prawdziwie wszechświatowym, jeśli zwrócimy uwagę na to, że doktryna jego mieści w sobie dwie idee podstawowe, dwa czynniki twórcze religii i filozofii ezoterycznej. Mówię o doktrynie nieśmiertelności duszy czyli istnień kolejnych w szeregu wcieleń oraz o doktrynie trójjedności czyli Słowa Bożego, objawionego ustami człowieka. Zazna-

czyłem powyżej [36]) doniosłość filozoficzną zasadniczego tego pojęcia, które, jeśli dobrze je zrozumiemy, odezwie się żywym echem we wszystkich dziedzinach wiedzy, sztuki i życia. Muszę się ograniczyć na zakończenie do uwagi historycznej.

Pojęcie, że Bóg, Prawda, Piękno i Dobro nieskończone objawiają się w człowieku uświadomionym z potęgą zbawczą, sięgającą aż do głębin nieba siłą miłości i ofiary, to pojęcie najpłodniejsze ze wszystkich budzi się po raz pierwszy w Krysznie. Uosabia się ono w chwili, kiedy ludzkość, po wyjściu z pierwocin aryjskich, pogrążać się zaczyna coraz bardziej w kulcie materii. Kryszna objawia światu doktrynę Słowa Bożego, której nie zapomni już.

Im głębiej będzie ludzkość odczuwała swój upadek, tym goręcej będzie łaknęła Zbawców i Synów Bożych. Po Krysznie odbywa się niejako potężne promieniowanie doktryny słonecznej poprzez świątynie Azji, Afryki i Europy. W Persji uosabia ją Mitras, pojednawca świetlanego Ormuzda i ponurego Ahrimana; w Egipcie — Horus, syn Ozyrysa i Izydy; w Grecji — Apollin, syn słońca i lutni; Dionizos — wskrzesiciel dusz. Wszędzie bóg słoneczny jest bogiem pośredniczącym, a światło jest zarazem mową życia. Czy nie ona też była źródłem, z którego wytrysnęła idea mesjaniczna? Ideę tę wprowadził bądź co bądź do świata starożytnego Kryszna; dzięki Chrystusowi promieniować ona będzie na świat cały.

Wykażę w dalszym ciągu tej tajemnej historii religii, w jaki sposób doktryna Trójcy świętej wiąże się z doktryną duszy i jej ewolucją, w jaki sposób

i dlaczego jedna jest podłożem i dopełnieniem drugiej. Już na tym miejscu zaznaczyć możemy, że ich punkt styczny jest ośrodkiem żywotnym, świetlanym ogniskiem doktryny ezoterycznej. Jeśli rozpatrywać będziemy wielkie religie Indii, Egiptu, Grecji i Judei od strony ich zewnętrznej jedynie, dostrzeżemy wszędzie rozdźwięki, zabobony, chaos. Kiedy jednak zgłębimy ich symbole, kiedy spróbujemy badać ich tajniki, doszukiwać się idei podstawowej, zapładniającej twórców i proroków — olśni nas światło harmonii przedziwnej. Najróżniejszymi, często zawiłymi nader drogami do tego samego dojdziemy punktu, tak że dotarcie do tajników jednej z tych religii będzie zarazem dotarciem do pozostałych. Będziemy wówczas świadkami dziwnego zjawiska. Stopniowo, coraz szerszy zataczając krąg, wyłoni się w blasku promiennym, spośrodka religii doktryna wtajemniczonych, jak słońce z mgławic je otaczających. Każda religia wyda się jak gdyby planetą odmienną. Przy rozpatrywaniu każdej z nich z odmienną spotykamy się atmosferą i z odmiennym położeniem na mapie nieba, zawsze jednak to samo przyświeca nam słońce.

Kraina wielkich marzycieli, Indie, pogrąża nas wraz z sobą w marzenie o wieczności. Wspaniały, surowy jak śmierć, Egipt, wskazuje nam drogę do życia pozagrobowego. Upajająca Grecja pociąga nas ku pełnym uroku świętom życia i nadaje tajnikom swoim czar form swoich zewnętrznych, pełnych wdzięku lub grozy, swojej duszy żywej i namiętnej. Pytagoras wreszcie sformułuje naukowo doktrynę ezoteryczną, da jej wyraz najpełniejszy może i na mocniejszych niż kiedykolwiek oparty

podwalinach. Platon i szkoła Aleksandryjska byli tylko jej uprzystępniaczami.

W rozdziałach powyższych dotarliśmy do źródła jej w dżunglach Gangesu i pustkowiach Himalajów.

KSIĘGA TRZECIA

# H E R M E S

TAJEMNICE EGIPTU

O, duszo ślepa! Uzbrój się w pochodnię Tajemnic, a wpośród nocy ziemskiej odnajdziesz twojego Sobowtóra świetlanego, twoją Duszę niebiańską. Idź za tym przewodnikiem boskim i niech będzie on Geniuszem twoim. Albowiem dzierży on klucz twoich istnień minionych.

Wsłuchujcie się w siebie samych i patrzcie w nieskończoność Przestrzeni i Czasu. Rozbrzmiewa tam śpiew Gwiazd, głos Liczb i harmonia Sfer.

Słońce każde jest myślą Bożą, a każda planeta odmianą tej myśli. Uciążliwą wędrówkę waszą w dół i w górę po siedmiu planetach i siedmiu ich niebach odbywacie w celu poznania myśli Bożej. Co czynią Gwiazdy? Co mówią Liczby? Co toczą Sfery? — O, dusze zatracone lub zbawione — głoszą, opiewają, toczą — wasze przeznaczenia.

Wezwanie do Wtajemniczonych
(podług Księgi Zmarłych).

## I

## SFINKS

W przeciwieństwie do Babilonu, ponurej twierdzy despotyzmu, był w świecie starożytnym Egipt prawdziwą ostoją wiedzy świętej, szkołą najsłynniejszych jego proroków, ucieczką i wytwórnią najszlachetniejszych tradycji ludzkości. Dzięki dokonanym na olbrzymią skalę wykopaliskom i pracom zdumiewającym, naród egipski znany nam jest obecnie lepiej, aniżeli którakolwiek z cywilizacji, jakie poprzedziły Grecję, odtwarza on nam bowiem dzieje swoje wypisane na kartach z kamienia [37]). Pomniki jego są już odczyszczone, hieroglify odczytane; pozostaje jednak jeszcze praca nad dotarciem do najgłębszych arkanów myśli jego, do doktryny tajemnej kapłanów egipskich. Doktryna ta, uprawiana naukowo w świątyniach, przezornie osłonięta tajemnicą, ukazuje nam duszę Egiptu i zarazem rozwiązuje zagadkę polityki jego i roli górującej w historii świata.

Historycy nasi mówią o faraonach w ten sam sposób, jak o despotach Niniwy i Babilonu. Egipt jest dla nich monarchią absolutną i zaborczą, jak Asy-

ria, i różni się od niej tym tylko, że przetrwał o kilka tysięcy lat dłużej. Czy przychodzi im na myśl, że w Asyrii władza królewska obaliła kapłaństwo, aby użyć je za narzędzie swoje, gdy przeciwnie w Egipcie kapłaństwo kierowało władzą królewską, nie abdykowało nigdy, w najtrudniejszych nawet epokach; narzucało królom swoje zwierzchnictwo; wypędzało despotów i rządziło zawsze narodem. Czy rolę tę zawdzięczało ono wyższości umysłowej, głębokiej i ukrytej mądrości, z którą nigdzie, w żadnym państwie i w żadnej epoce, równać się nie mogła mądrość żadnego z ciał nauczających? Mocno o tym powątpiewam. Nietylko bowiem nie wyciągnęli dziejopisarze nasi żadnego z niezliczonych wniosków, jakie wysnuć należałoby z tego faktu zasadniczego, ale nieomal nie dostrzegają go wcale, a w każdym razie nie przypisują mu żadnego znaczenia. Nie trzeba być jednak koniecznie archeologiem albo językoznawcą, aby zrozumieć, że źródłem nieubłaganej nienawiści wzajemnej Asyrii i Egiptu jest fakt, że dwa te narody uosabiały w świecie dwie przeciwstawne zasady i że naród egipski zawdzięczał przetrwanie swoje przez tak długie wieki podkładowi religijnemu i naukowemu, którego moc okazała się potężniejszą od wszystkich przewrotów. Od epoki aryjskiej, poprzez okres burzliwy, który nastąpił po czasach wedyjskich i trwał aż do podboju perskiego i epoki aleksandryjskiej, to znaczy w ciągu pięciu tysięcy lat z górą, był Egipt warownią czystych i wzniosłych doktryn, których całokształt składa się na ogół nauki zasad i któremu możnaby nadać miano ezoterycznej ortodoksji starożytności. Pięćdzie-

siąt dynastii nastąpiło kolejno po sobie, zaś Nil wzniósł odsepami swoimi grody całe, Fenicjanie najściem swoim zalali kraj, a potem zostali z niego wyparci; wpośród przypływów tych i odpływów historii, pod pozornym bałwochwalstwem swojego zewnętrznego wielobóstwa, utrzymał Egipt dawne podstawy tajemnej swojej teogonii oraz ustrój swój kapłański. Oparł się on wiekom jak piramida z Gizeh, na pół pogrzebana w piaskach, a mimo to nietknięta. Dzięki temu bezruchowi sfinksa, zachowującego swoją tajemnicę, dzięki tej odporności granitu stał się Egipt osią, dokoła której rozwinęła się myśl religijna ludzkości w przejściu z Azji do Europy. Judea, Grecja, Etruria — wszystkie te dusze bytów, które dały podstawy religiom różnorodnym, czerpały źródło natchnień ze starożytnego Egiptu. Mojżesz i Orfeusz stworzyli dwie potężne, przeciwstawne sobie wzajem religie, z których jedną cechował surowy monoteizm, drugą — olśniewające wielobóstwo. Gdzie jednak kształtował się ich geniusz? Gdzie zdobył jeden siłę, energię, odwagę przeistoczenia narodu na poły dzikiego, jak spiż przekuwa się w ogniu? Skąd wziął drugi ów dar magiczny zniewalania bogów do przemawiania, niby lira nastrojona, do dusz tych barbarzyńców oczarowanych? Oczywiście w świątyniach Ozyrysa, w starożytnych Tebach, które wtajemniczeni nazywali grodem słońca czy Arką słoneczną, bowiem w nich było siedlisko syntezy nauki boskiej oraz wszystkich tajników wtajemniczenia.

Co roku, w porze letniego przesilenia, kiedy padają ulewne deszcze abisyńskie, zmienia Nil barwę i przybiera ów odcień krwawy, o którym wspomina

Biblia. Rzeka przybiera aż do jesiennego porównania dnia z nocą i grzebie pod falami swymi widnokrąg brzegów. Wyniosłe wszakże na swoich cokołach granitowych, pod oślepiającymi promieniami słońca, wykute w skałach świątynie, grobowce, pylony, piramidy odbijają wspaniałość ruin swoich w wezbranym jak morze Nilu. Tak samo też kapłaństwo egipskie przetrwało wieki całe, zachowując ustrój swój i symbole swoje, stanowiące niezbadane przez długi czas tajniki jego wiedzy. W świątyniach tych, w tych kryptach i piramidach wypracowana została słynna doktryna Słowa-Światła, Słowa Bożego, które Mojżesz zamknie w złotej swojej arce przymierza i którego Chrystus żywą będzie pochodnią.

Prawda niewzruszona jest sama w sobie; ona jedna przetrwa wszystko; zmienia ona wszakże kształt i siedlisko, a objawienia jej są periodyczne. „Światło Ozyrysa", rozjaśniające niegdyś wtajemniczonym głębie przyrody i sklepienia nieba, zagasło na zawsze w opustoszonych grobowcach. Spełniła się wyrocznia Hermesa: „O Egipcie! Egipcie! nie pozostanie z ciebie nic prócz bajek, które wydadzą się nieprawdopodobnymi przyszłym pokoleniom i nic nie przetrwa z ciebie prócz słów wyciosanych w kamieniu".

Chcielibyśmy jednak, podążając tajemną drogą starożytnego wtajemniczenia egipskiego, o ile pozwala na to intuicja ezoteryczna oraz gubiące się załamywanie promieni światła poprzez osłonę wieków, wskrzesić jeden z promieni tajemniczego tego słońca świątyń.

Zanim jednak przekroczymy ich progi, rzućmy

okiem na wielkie fazy, przez jakie przeszedł Egipt przed Hyksosem.

Cywilizacja egipska, niemal równie stara jak szkielet naszych lądów, sięga początkami swymi okresu starożytnej rasy czerwono-skórych [38]). Olbrzymi sfinks z Gizeh, obok wielkiej piramidy, jej jest dziełem. W czasach, kiedy nie istniała jeszcze Delta (utworzona później przez odsepy Nilu), potworny zwierz symboliczny spoczywał już na wzgórzu granitowym, mając poza sobą łańcuch gór libijskich, a przed sobą fale morskie, rozbijające się u jego stóp, tam, gdzie teraz ciągną się w nieskończoność piaski pustyni. Sfinks, to pierwsze dzieło Egiptu, stał się podstawowym jego symbolem, jego znakiem wyróżniającym. Najstarszy z kapłanów wyrzeźbił to wyobrażenie przyrody spokojnej, groźnej w swojej tajemniczości. Głowa ludzka wyrasta z ciała byka o lwich pazurach i składa orle skrzydła na bokach swoich. To Izys ziemska, przyroda w żywej jedności swych państw. Już bowiem kapłani owi z czasów niepamiętnych wiedzieli i pouczali, że natura ludzka jest wykwitem natury zwierzęcej.

Ta mieszanina byka, lwa, orła i człowieka obejmuje zarazem cztery gatunki zwierzęce z widzenia Ezechiela, symbolizujące cztery zasadnicze żywioły mikro- i makrokosmu: wodę, ziemię, powietrze i ogień — podstawę wiedzy tajemnej. Dlatego też w duszy wtajemniczonych z okresów późniejszych, gdy ujrzą zwierzę święte, leżące na progu świątyń lub w głębi sklepień podziemnych zbudzi się zrozumienie tej tajemnicy: i, jak ów sfinks, zwiną i oni w milczeniu skrzydła ducha swego na prawdzie,

głęboko w niej ukrytej. Już przed Edypem bowiem wiedzieć oni będą, że rozwiązaniem zagadki sfinksa jest człowiek, mikrokosm, czynnik boski, streszczający w sobie wszystkie żywioły i wszystkie siły przyrody. Jedynym więc świadkiem działalności swojej, jaki pozostawiła rasa czerwona, jest sfinks z Gizeh, niezaprzeczony dowód, że postawiła ona wielkie zagadnienie i rozwiązała je na swój sposób.

II

## HERMES

Rasa czarna, która odziedziczyła po czerwonej rasie południowej władanie światem, uczyniła z Górnego Egiptu główny swój przybytek święty. Nazwa Hermesa Totha, tajemniczego pierwszego duchowego przewodnika Egiptu, otwierającego mu drogę do nauk świętych, wiąże się niewątpliwie z pierwszym okresem pokojowego pomieszania rasy białej z rasą czarną w okolicach Etiopii i Górnego Egiptu, na długo przed epoką aryjską. Hermes jest nazwą rodową, jak Manu lub Budda. Oznacza ona zarazem człowieka, kastę i boga. Hermes-człowiek jest pierwszym wielkim egipskim odsłaniaczem tajników; jako kasta jest to stan kapłański, przechowujący tradycje nauki wtajemniczonych; jako bóg—planeta Merkury, zespolona wraz ze sferą swoją z kategorią duchów, boskich odsłaniaczy; Hermes jest słowem, przewodnikiem najwyższym w nadziemskiej dziedzinie wtajemniczenia niebiańskiego. Wszystkie te sprawy związane są w duchowej organizacji świata węzłami ukrytego powinowactwa, jak gdyby nicią niewidzialną. Imię Her-

mesa jest talizmanem, który streszcza i kojarzy w sobie wszystkie; dźwiękiem magicznym, który wywołuje ich obraz. Stąd wielki jego urok. Grecy, uczniowie Egipcjan, nazywali go Hermesem Trismegistem czyli potrzykroć wielkim, albowiem uważany był za króla, prawodawcę i kapłana. Symbolizuje on epokę, w której stan kapłański, stan urzędniczy oraz władza królewska zjednoczone były w jednym ciele rządzącym. Chronologia egipska Manethona nazywa epokę tę panowaniem bogów. Nie było wówczas ani papirusu, ani pisma fonetycznego, istniało natomiast pismo, używające znaków, które wyrażały pojęcia; nauka kapłańska wypisana była pismem hieroglificznym na kolumnach i murach grobowców. Pomnożona znacznie, przeszła ona później do księgozbiorów świątyń. Egipcjanie przypisywali Hermesowi 42 księgi, dotyczące wiedzy tajemnej. Księga grecka, znana pod nazwą Hermesa Trismegitosa, zawiera, przekształcone niewątpliwie, ale niezmiernie cenne szczątki teogonii starożytnej, owego światła, z którego spłynęły pierwsze promienie wiedzy na Mojżesza i Orfeusza. Doktryna Ognia — Początku Wszechrzeczy oraz doktryna Słowa Światła, zawarta w Wizji Hermesa, pozostanie szczytem i ośrodkiem wtajemniczenia egipskiego. Postaramy się odnaleźć ową wizję mistrzów, ową różę mistyczną, rozwijającą się jedynie w mrokach świątyń i w głębi tajników wielkich religii. Słowa Hermesa, nacechowane mądrością starożytną, najlepiej się nadają jako przygotowanie do tego aktu: „Myśl nasza — mówi on do ucznia swego Asklepiosa, — nie byłaby nigdy zdolna wytworzyć sobie pojęcia

Boga i żaden język nie byłby zdolen określić go. To co jest bezcielesne, niewidzialne, nieposiadające kształtu widomego, nie może być uchwycone za pomocą zmysłów; to, co jest wieczne, nie może być mierzone krótką miarą czasu: Bóg jest więc niewypowiedziany. Bóg może, co prawda, udzielić wybranym swoim zdolności wznoszenia się ponad rzeczy przyrodzone i dostrzegania tą drogą promieni jego doskonałości najwyższej, — wybrani ci jednak nie mogą znaleźć słów dla oddania w języku pospolitym bezcielesnej wizji, która wstrząsnęła do głębi ich jestestwem. Mogą oni wyjaśnić ludzkości wtórne przyczyny tworzenia, które dane im było oglądać jako obrazy życia we wszechświecie, pierwotne jednak źródło pozostaje osłonięte mgłą tajemnicy ,,którą dopiero po śmierci naszej zdolni będziemy zgłębić".

Tak mówił Hermes na progu krypt o Bogu nieznanym. Uczniowie, którzy docierali wraz z nim do ich wnętrza, uczyli się poznawać go jako istotę żywą [39]).

Księga mówi o śmierci jego jako o odejściu Boga. ,,Hermes dostrzegał ogół rzeczy, a dostrzegłszy je, zrozumiał, zrozumiawszy zaś, posiadł władzę objawiania i ujawniania. Co powstało w myśli jego, napisał; co napisał, ukrył w znacznej części, milcząc jako mędrzec wielki i mówiąc zarazem, ażeby świat w ciągu całego przyszłego trwania swojego szukać musiał tych rzeczy. I tak nakazawszy bogom, braciom swoim, aby służyli mu za orszak, wzbił się na gwiazdy".

Można w ostateczności traktować dzieje polityczne narodów jako odrębne całości, nie podobna

jednak rozbierać w taki sposób historii ich rozwoju religijnego. Religie Asyrii, Egiptu, Judei, Grecji zrozumieć można jedynie w związku ich ze starożytną religią indo-aryjską. Wzięte oddzielnie przedstawiają one szereg zagadek i szarad; rozpatrywane w całokształcie i z góry, stanowią jeden wspaniały łańcuch rozwojowy, którego wszystkie ogniwa wzajem się zazębiają, uzupełniają i tłumaczą. Słowem, rzec można, że historia jednej religii będzie zawsze ciasną, zabobonną i fałszywą, — prawdziwą będzie jedynie historia religijnego rozwoju ludzkości. Stojąc na tej wyżynie, odczuwa się już tylko prądy, obiegające całą kulę ziemską. Naród egipski, najbardziej niezależny i najbardziej odporny na wpływy zewnętrzne, nie mógł wyzwolić się spod tego prawa powszechnego. Na pięć tysięcy lat przed naszą erą ognisko światła, rozniecone w Iranie przez Ramę, promieniowało na Egipt, stwarzając tutaj prawo Hammona-Râ, Tebańskiego boga słońca. Ustrój ten pozwolił Egiptowi oprzeć się zwycięsko tylu przewrotom. Menes był pierwszym królem, który oparł rządy swoje na sprawiedliwości, pierwszym faraonem, który wprowadził prawo to w czyn. Był on o tyle przezornym, że nie pozbawił Egiptu dawnej jego teologii, która była też jego własną. Wzmocnił on ją jedynie i rozwinął, uzupełniając ją nową organizacją społeczną. Ustrój organizacji tej był następujący: Kapłaństwo czyli nauczanie — na jednym planie, sprawiedliwość — na innym; do nich obu należało kierownictwo kraju; władza królewska pojęta była jako przedstawicielstwo ich, podlegające ich kontroli; u podstaw społeczeństwa stała względnie niezależna gmina

albo powiat czyli „nom“. Takim był ustrój, który nazwać można rządami wtajemniczonych. U szczytu tego gmachu społecznego, jako jego wiązanie stała synteza wiedzy, znana pod nazwą Ozyrysa (O Sir-Is), władcy duchowego. Symbolem jego i gnomonem[40]) matematycznym jest wielka piramida. Faraon, sprawujący władzę zarazem kapłana i króla, różnił się zasadniczo od despoty asyryjskiego, opierającego nieograniczoną władzę swoją na krwi i zbrodni. Faraon był wtajemniczonym, którego skronie wieńczyła korona, a przynajmniej uczniem wtajemniczonych. W ciągu wieków będą faraonowie bronili prawa Barana, symbolizującego w owym czasie prawa sprawiedliwości i sądu międzynarodowego przeciwko Azji, która stała się despotyczną, i Europie, w której panowała anarchia.

Około r. 2200 przed Chr. przebył Egipt najgroźniejszy przełom, jaki może przebyć naród: najście i podbój, połowiczny przynajmniej, dokonany przez obcych. Najście fenickie było wynikiem wielkich walk religijnych w Azji, które pobudziły do buntu masy ludowe przez sianie niezgody w świątyniach. Najście to, pod wodzą królów pasterzy, zwanych Hyksosami, spowodowało zalanie hordami azjatyckimi okolicy Delty i Egiptu Środkowego. Odszczepieńczy królowie wprowadzili do Egiptu wypaczoną kulturę, jońską gnuśność, azjatycki, przepych, obyczaje haremowe, grube bałwochwalstwo. Zagrożony był byt narodowy Egiptu; jego umysłowość znalazła się w niebezpieczeństwie; jego posłannictwo wszechświatowe zachwiane. Posiadał on wszakże duszę żywą, którą był zorganizowany zastęp wtajemniczonych, przechowywaczy dawnej nauki

Hermesa i Ammon-Râ. Jak się zachowała dusza ta? Cofnęła się w głąb swoich przybytków i tam skupiła się bardziej jeszcze w sobie, aby tym skuteczniej oprzeć się wrogowi. Kapłaństwo ukorzyło się pozornie przed zdobywcami i uznało uzurpatorów, którzy wprowadzili kult byka i wołu Apisa. W rzeczywistości wszakże ukryci w świątyniach kapłani przechowywali tam, jako depozyt święty, naukę swoją, swoje tradycje, dawną nieskażoną religię, a wraz z nią nadzieję przywrócenia dynastii narodowej. W tym właśnie okresie rozpowszechnili oni wśród tłumów legendę o Izydzie i Ozyrysie, o poćwiartowaniu tego ostatniego i następnym jego zmartwychwstaniu dzięki synowi jego, Horusowi, który odnaleźć miał członki jego rozproszone i uniesione przez wody Nilu. Podniecali wyobraźnię tłumu uroczystością i świetnością obchodów publicznych. Podtrzymywali jego ukochanie dawnej religii przedstawianiem mu nieszczęść bogini, jej opłakiwania utraty boskiego małżonka oraz nadziei, jaką pokładał w synu, Horusie, boskim pośredniku. Zarazem jednak uważali wtajemniczeni za konieczne osłanianie prawdy ezoterycznej potrójną zasłoną. Szerzeniu kultu Izydy i Ozyrysa sprzyjała umiejętna organizacja wewnętrzna małych i wielkich Tajemnic. Otoczono je nieprzełamanymi niemal zaporami w postaci straszliwych niebezpieczeństw. Wymyślono próby moralne, żądano klątwy milczenia, a kara śmierci nieuchronnie była stosowana w razie, jeśli który z wtajemniczonych zdradził najdrobniejszy chociażby szczegół, dotyczący Tajemnic. Dzięki surowej tej organizacji stało się wtajemniczenie egipskie nie tylko ucieczką i schro-

nieniem doktryny ezoterycznej, ale zarazem warownią odrodzenia narodowego i rozsadnikiem przyszłych religii. W czasie kiedy ukoronowani bezprawni przywłaszczyciele władzy panowali w Memfisie, przygotowywały powoli Teby odrodzenie kraju. Ze świątyni swojej, z arki swojej słonecznej wyszedł zbawca Egiptu, Amos, który wypędził Hyksosów po dziewięciowiekowym ich panowaniu i przywrócił utracone prawa nauce egipskiej oraz kultowi Ozyrysa.

Tym sposobem, na szczęście ludzkości, Tajemnice uratowały duszę Egiptu od zagłady, jaką groziła jej obca tyrania. Tak silną była bowiem dyscyplina, wprowadzona przez kapłanów i tak wielką potęga ich wtajemniczenia, że skupiła się w łonie ich organizacji największa siła moralna, najwyższy dokonał się dobór intelektualny.

Wtajemniczenie w przeszłości oparte było na zdrowszym i podnioślejszym poglądzie na istotę człowieka, aniżeli nasz pogląd obecny. Wychowywanie ciała, duszy i umysłu nie jest traktowane przez nas równomiernie. Nasza wiedza przyrodnicza, skądinąd bardzo posunięta, traktuje duszę i jej rozlanie się we wszechświecie jako pojęcie abstrakcyjne; religia nasza nie zadawala naszych potrzeb umysłowych; a medycyna nasza nie chce nic wiedzieć o duszy i o duchu. Człowiek współczesny szuka przyjemności, nie dającej szczęścia, szczęścia bez nauki i nauki bez mądrości. Starożytność nie uznawała możności odgraniczania tych rzeczy. Miała ona na względzie wszędzie i zawsze potrójną naturę człowieka. Wtajemniczenie polegało na stopniowym wciąganiu całej istoty człowieka na za-

wrotne wyżyny ducha, z których panować mógłby on nad życiem. „Ażeby dojść do doskonałości — mówili mędrcy ówcześni — musi człowiek przekształcić zupełnie swoją istotę fizyczną, moralną i umysłową“. Przekształcenie to uskutecznić można jedynie drogą równoczesnego ćwiczenia woli, intuicji i rozumowania. Przez zupełne uzgodnienie ich może człowiek rozwinąć władze swoje aż do granic nieobliczalnych. Wtajemniczenie budzi uśpione władze duszy. Pogłębiając wciąż studia swoje, nie ustając w usiłowaniach, może człowiek wejść w związek z tajemnymi siłami wszechświata. Prężąc całą potęgę woli, może osiągnąć bezpośrednie duchowe uświadomienie, utorować sobie drogę do zaświatów i stać się zdolnym do wznoszenia się ku nim. Wówczas dopiero będzie mógł powiedzieć, że pokonał los i osiągnął na ziemi już boskie wyzwolenie. Wówczas dopiero stać się może wtajemniczony mistrzem, prorokiem i wywoływaczem duchów, a więc jasnowidzącym i twórcą dusz. Albowiem ten jedynie kto opanował siebie, może panować nad innymi, kto sam jest wolny, może wyzwalać.

Tak zapatrywali się wtajemniczeni w starożytności. Najwięksi z nich żyli i działali zgodnie z tym poglądem. Prawdziwe wtajemniczenie nie było więc bynajmniej czczym tylko rojeniem, ani też prostym nauczaniem, było ono tworzeniem duszy przez nią samą, jej rozwarciem się na wyższej płaszczyźnie, jej rozkwitem w świecie nadziemskim.

Przenieśmy się myślą do epoki Ramzesa, do czasów Mojżesza i Orfeusza, do roku 1300 przed naszą

erą i postarajmy się dotrzeć do głębi wtajemniczenia egipskiego. Pomniki, wyobrażające postaci, księgi hermetyczne, tradycja żydowska i grecka umożliwią poznanie faz wstępnych i wytworzenie sobie pojęcia o najwyższym jego objawieniu.

III

## IZYDA — WTAJEMNICZENIE — PRÓBY

Za panowania Ramzesa dosięgła kultura egipska najwyższego rozkwitu swojej sławy. Faraonowie XX-ej dynastii, uczniowie i obrońcy sanktuariów, bohatersko podtrzymywali walkę z Babilonem. Łucznicy egipscy niepokoili wciąż Libijczyków, Beduinów i Numidyjczyków i odpychali ich w głąb Afryki. Flota licząca czterysta okrętów podążała za ligą odszczepieńców aż do ujść Indusu. Celem skuteczniejszego przeciwdziałania uderzeniom ze strony Asyrii i jej sprzymierzeńców wytknęli Ramzesowie drogi strategiczne aż do Libanu i zbudowali łańcuch twierdz pomiędzy Mageddo i Karkemiszem. Nieskończone karawany przeciągały przez pustynię od Radazji do Elefantyny. Roboty budowlane prowadzone były nieprzerwanie, zatrudniając robotników z trzech lądów. Hypostylowa sala Karnaku, której każda kolumna była wysokości kolumny Vendôme, została doprowadzona do porządku; świątynie w Abydos ozdobiono cudami rzeźby, a dolinę królów zapełniły wspaniałe pom-

niki. Wznoszono gmachy w Bubaście, w Lugzorze, w Speosie Ibsambulu. W Tebach pylon triumfalny sławił wzięcie Kadeszu. W Memfisie wznosiło się Ramesseum, okolone lasem obelisków, posągów i olbrzymich monolitów.

Wpośród gorączkowej tej pracy, tego życia olśniewającego, niejeden cudzoziemiec, pragnący poznać Tajniki i przybywający z dalekich wybrzeży Azji Mniejszej lub z gór Tracji, obierał za cel wędrówki Egipt, do którego ciągnął go rozgłos wspaniałych świątyń. Na widok Memfisu stawał osłupiony. Posągi, widowiska, uroczystości publiczne olśniewały wielkością i przepychem. Po uroczystości namaszczania króla, która odbywała się w zamknięciu świątyni, wychodził z niej faraon, aby ukazać się tłumowi w lektyce dźwiganej przez dwunastu oficerów sztabu głównego, niosących wielkie wachlarze z piór pawich i liści lotosu, osadzone na wysokich tykach. Poprzedzało ich dwunastu młodych lewitów [41]) trzymających haftowane poduszki z oznakami dostojeństwa królewskiego: z berłem sędziów, uwieńczonym głową barana, mieczem, łukiem i mnóstwem zbroi. Poza nim szedł dwór królewski i kolegia kapłańskie w otoczeniu wtajemniczonych w wielkie i w małe misteria. Naczelni kapłani mieli na głowach białe tiary, a napierśniki ich błyszczały ogniem kamieni symbolicznych. Dostojnicy koronni strojni byli w emblematy Jagnięcia, Barana, Lwa, Lilii i Pszczoły, zawieszone na grubych cudownej roboty łańcuchach złotych. Cechy zamykały pochód, niosąc rozwinięte chorągwie i sztandary [42]). W nocy wspaniale przystrojone łodzie obwoziły po sztucznych jeziorach

orkiestry królewskie, wpośród których odcinały się hieratyczne pozy tancerek i lutnistek.

Ten przepych przytłaczający nie był jednak głównym celem dążeń przybysza. Przywiodło go z tak daleka pragnienie przeniknięcia tajników i żądza wiedzy. Opowiadano mu, że w świątyniach Egiptu znajdzie magów i kapłanów, którzy posiedli naukę boską. Przybysz pragnął dotrzeć do tych tajników. Kapłani z kraju jego mówili mu o Księdze umarłych, o tajemnym zwoju, który kładziono mumiom pod głowy jako wiatyk. Na zwoju tym wypisana była w formie symbolicznej historia zagrobowej drogi duszy, celem ułatwienia duchowi przejścia z niebytu do Ra do nieba. „Rozdział ten odnaleziony był w Hermopolis, wypisany pismem błękitnym na alabastrowej płycie, u stóp boga Totha (Hermesa) za czasów króla Menkara, przez księcia Hastatefa podczas podróży jego, mającej na celu oglądanie świątyń. Książe zabrał kamień ten do świątyni królewskiej. O, wielka tajemnico! Po przeczytaniu czystego i świętego rozdziału tego przestał żyć, słyszeć, zbliżać się do kobiet, nie tknął więcej mięsa ani ryby". Ile jednak było prawdy w niepokojących tych opowiadaniach, w tych obrazach hieratycznych, poza którymi ukrywała się straszliwa tajemnica pozagrobowa? Izydzie tylko i Ozyrysowi jest to wiadome — mówiono przybyszowi. Jakimi wszakże byli ci bogowie, o których mówiono z gestem tajemniczym, z palcem na ustach? Ażeby dowiedzieć się tego, pukał przybysz do wrót wielkiej świątyni Teb lub Memfisu.

Służba wprowadzała go pod portyk wewnętrzne-

go dziedzińca, którego ogromne kolumny, podobne do olbrzymich lotosów, podtrzymywały siłą swoją i czystością Arkę słoneczną, świątynię Ozyrysa. Kapłan zbliżał się do wprowadzonego. Majestat rysów jego, spokój, jakim tchnęło jego oblicze, tajemne głębie jego czarnych oczu nieprzeniknionych, acz jaśniejących światłem wewnętrznym, wystarczały już samo przez się do wywołania silnego uczucia niepokoju. Wzrok jego wwiercał się w głąb duszy obcego przybysza. Czuł on, że staje wobec człowieka, przed którym nic nie da się ukryć. Kapłan Ozyrysa zaczynał wypytywać przybyłego o jego miasto rodzinne, o jego rodzinę oraz o świątynię, z której czerpał dotychczas naukę. O ile po krótkim tym ale przenikliwym egzaminie uznany on był za niegodnego dopuszczenia do tajników, milczący ale nieodwołalny gest wskazywał mu drzwi. Jeśli jednak kapłan dostrzegał w ubiegającym się szczere pragnienie prawdy, zapraszał go, aby szedł za nim przez portyki, przez dziedzińce wewnętrzne, potem przez aleję, wyciosaną w skale i nie mającą dachu. Na końcu alei tej, po której obu bokach ustawione były szeregi pomników z jednego kamienia, słupów i sfinksów, stała niewielka świątynia, służąca za wejście do krypty podziemnej. Naturalnej wielkości posąg Izydy zasłaniał drzwi do krypty. Bogini wyobrażona była w postawie siedzącej z księgą zamkniętą na kolanach, w pozie pełnej skupienia i rozmyślań. Twarz jej była osłonięta: pod posągiem był napis:

„Nikt ze śmiertelnych nie uchylił mej zasłony".

— Oto wrota do tajemnej świątyni — oznajmiał kapłan. Spójrz na te dwie kolumny. Czerwona wy-

obraża wzniesienie się ducha ku światłu Ozyrysa; czarna oznacza ugrzęźnięcie jego w materii, upadek ten doprowadzić może do unicestwienia. Ktokolwiek szuka dostępu do nauki naszej i do naszej doktryny, naraża życie swoje. Na słabych i złych czeka tu obłęd lub śmierć; jedynie silni i dobrzy znajdują u nas życie i nieśmiertelność. Wielu nierozważnych przekroczyło te podwoje i nie wyszło z nich żywymi. To przepaść, pochłaniająca wszystkich, z wyjątkiem tych jedynie, którzy są nieustraszeni. Zastanów się więc głęboko nad tym, co chcesz uczynić, nad niebezpieczeństwami, na które się narażasz, i, jeśli nie czujesz w sobie odwagi, która nie ulęknie się żadnych prób, wyrzecz się twojego zamiaru. Bowiem z chwilą, kiedy wrota te zawrą się za tobą, nie będziesz już mógł cofnąć się. Jeśli po przemówieniu tym, przybysz trwał w chęci poznania tajników, odprowadzał go kapłan do wewnętrznego dziedzińca i polecał go służącym świątyni, z którymi przeżyć miał tydzień, poświęcony pełnieniu najniższych posług, słuchaniu hymnów i dokonywaniu obmywań. Zachowywać musiał przy tym bezwzględne milczenie.

Kiedy wreszcie nadszedł wieczór prób, dwaj neokorzy czyli stróże świątyni, prowadzili go do wrót tajemnej świątyni, do czarnego przedsionka, z którego nie było widać wyjścia. Po obu stronach ponurej sieni, oświetlonej pochodniami, spostrzegał przybysz szereg posągów, wyobrażających głowy zwierzęce osadzone na torsach ludzkich, lwy, byki, ptaki drapieżne, węże, a wszystkie one zdawały się szyderczo uśmiechać do niego. Na końcu złowrogiej tej sieni stały, ustawione naprzeciw siebie:

mumia i szkielet. Strażnicy wskazywali nowicjuszowi niemym gestem jamę w murze, przed którą stał. Było to wejście do korytarza tak niskiego, że dostać się można doń było zaledwie na czworakach.

— Możesz jeszcze wrócić — mówił jeden z neokorów. Wrota świątyni jeszcze się nie zawarły. W przeciwnym razie musisz iść tą drogą już bez możności powrotu.

— Zostaję — odpowiada nowicjusz, wysilając całą swoją odwagę.

Po takiej odpowiedzi wręczano mu małą zapaloną lampkę. Neokorowie wracali i zamykali z trzaskiem wrota świątyni. Nie było już wyboru, trzeba było wsunąć się do korytarza. Zaledwie wczołgał się do niego na kolanach, trzymając lampkę w dłoni, rozlegał się z głębi podziemi głos: „Giną tutaj szaleńcy, którzy zapragnęli wiedzy i władzy“. Zdumiewające jakieś urządzenie akustyczne sprawiało, że echo powtarzało słowa te siedmiokrotnie, w dłuższych odstępach. Trzeba było, mimo to, iść naprzód; korytarz rozszerzał się, spadając w dół coraz bardziej pochyło. Wreszcie śmiały podróżnik stawał wobec leja zakończonego jamą. W otworze jego ginął koniec drabiny żelaznej, na którą wchodził i na której ostatnim stopniu przerażony wzrok jego tonął w głębiach przeraźliwej studni. Jego mała lampka naftowa, którą ściskał konwulsyjnie w drżącej dłoni, sączyła skąpe światło w ciemnicy bezdennej. Co czynić? Nad nim powrót niemożliwy; pod nim otchłań czarna, straszliwa noc. W tej chwili rozpaczy dostrzegł na lewo rozpadlinę. Uczepiony jedną ręką o drabinę, drugą wyciągając

przed sobą lampkę, zauważył w rozpadlinie stopnie. Schody — było to zbawienie. Przypadł do nich; piął się w górę, wymykając się z przepaści! Schody, przebijające świdrem skałę, wiły się krętą linią wężową. Pnąc się tak coraz dalej, docierał wreszcie do kraty z brązu, otwierającej dostęp do szerokiej galerii, podtrzymywanej przez wielkie kariatydy. W przejściach między nimi widniały, na murze dwa szeregi fresków symbolicznych. Było ich po jedenaście z każdej strony; lampy kryształowe, umieszczone w dłoniach pięknych kariatyd, rzucały na nie słabe, łagodne światło.

Mag zwany pastoforem (stróż świętych symbolów) otwierał przed nowicjuszem kratę i przyjmował go pełnym życzliwości uśmiechem. Winszował mu szczęśliwego przebycia pierwszej próby, po czym oprowadzając go po galerii, wyjaśniał mu znaczenie świętych malowideł. Pod każdym z nich była zgłoska i cyfra. Dwadzieścia dwa symbole wyobrażały pierwsze dwadzieścia dwa tajniki i tworzyły alfabet nauki tajemnej, a więc, zasady bezwzględne, klucze wszechobejmujące, które kierowane wolą, stają się źródłem najwyższej mądrości i potęgi. Zasady te utrwalały się w pamięci dzięki związkowi ich ze zgłoskami świętego języka oraz z liczbami, które zgłoskom tym odpowiadają. W języku tym każda zgłoska i każda liczba wyrażają prawo troiste, mające odpowiedniki swoje w świecie boskim, w świecie umysłowym i w świecie fizycznym. Jak palec, dotykając strun liry, wywołuje poszczególny dźwięk z całej gamy dźwięków i wprawia we współdrganie wszystkie pokrewne mu

brzmienia, tak samo umysł, rozważający wszystkie właściwości danej liczby lub głos, wymawiający literę z całą świadomością jej znaczenia, powołują do życia siłę, której echo odbija się we wszystkich trzech światach. I tak litera A, odpowiadająca liczbie I, wyobraża w świecie boskim: Istotę bezwzględną: Absolut, z którego wyłaniają się wszystkie twory; w świecie umysłowym — jedność, źródło i syntezę liczb; w świecie fizycznym — człowieka, uwieńczenie istot względnych, który, przez naprężenie wszystkich swoich władz, wznosi się do współśrodkowych sfer nieskończoności. — Tajnik I wyobrażony był u Egipcjan w postaci kapłana w białej szacie, dzierżącego berło i mającego złotą koronę na głowie. Biała szata oznaczała czystość, berło było znakiem władzy, a złota korona — światło wszechogarniające.

Trudno było nowicjuszowi zrozumieć wszystkie te nowe i dziwne rzeczy, które przed nim odsłaniano. Słowa pastofora i piękne te malowidła, patrzące na niego z niewzruszoną powagą bogów, otwierały przed nim nowe, nieznane widnokręgi. Poza każdym z nich dostrzegał w błyskach przelotnych szeregi myśli i obrazów, nagle przez nie wywołanych. Tajemniczy łańcuch przyczyn nasunął mu po raz pierwszy w życiu jego myśl o wnętrzu świata. W ten sposób przechodząc od litery do litery, od cyfry do cyfry, wyjaśniał mistrz uczniowi znaczenie tajników i wiódł go od Izydy Uranii do wozu Ozyrysa, przez wieżę zburzoną do gwiazdy promienistej i wreszcie do korony magów. „A wiedz otóż — mówił pastofor — co oznaczać ma ta

korona: wszelka wola, łącząca się z Bogiem celem objawienia prawdy i sprawowania sprawiedliwości, zyskuje już w ziemskim życiu cząstkę władzy boskiej nad istotami i przedmiotami. Cząstka ta stanowi nagrodę wiekuistą duchów wyzwolonych". Słuchając tych słów mistrza doznawał nowicjusz uczucia zdumienia, lęku i zachwytu zarazem. Były to pierwsze przebłyski światła sanktuarium, a prawda w tych błyskach dostrzeżona zdawała mu się jutrznią boskiego wspomnienia.

Nie był to jednak jeszcze koniec prób. Przy ostatnich słowach swoich otwierał pastofor podwoje, wiodące do nowego wąskiego a długiego przejścia sklepionego, na którego końcu buzowało ognisko gorejące. „Ależ to śmierć!" — wołał nowicjusz, patrząc z drżeniem na swego przewodnika. „Synu mój — odpowiadał pastofor — śmierć przeraża jedynie dusze niedojrzałe. Przeszedłem ongi przez płomień ten niby przez pole różane". I wrota galerii tajników zamykały się za nowicjuszem. Zbliżając się do kręgu ogniowego, spostrzegał on, że ognisko było jedynie złudzeniem wzrokowym, wytworzonym przez lekkie przeplecenie drew żywicznych ułożonych w rozmaitych kierunkach na kratach. Ścieżka wykreślona środkiem pozwalała mu przejść szybko. Po próbie ognia następowała próba wody. Nowicjusz przejść musiał przez martwą czarną wodę przy blasku płonącej nafty, zapalonej za nim w komnacie ognistej. Po odbyciu próby tej przechodził cały dygocący jeszcze, prowadzony przez dwóch przewodników do groty ciemnej, gdzie stało łoże miękkie, tajemniczo oświetlone przyćmionym światłem zawieszonej u stropu lam-

py brązowej. Tu osuszano go, skrapiano ciało jego wytwornymi wonnościami, przyodziewano w cienką bieliznę i pozostawiano samego ze słowami: „Spocznij i czekaj na wielkiego hierofantę“ [43]).

Nowicjusz wyciągał zmartwiałe przebytym trudem członki na puszystym kobiercu łoża. Po tylu doznanych wrażeniach różnolitych słodką wydawała mu się ta chwila spoczynku. Przed oczyma wyobraźni jego przesuwały się wszystkie owe, oglądane przez niego, malowidła święte, wszystkie dziwne postacie, sfinksy i kariatydy. Dlaczego jednak myśl jego powracała wciąż do jednego z tych malowideł, które jawiło mu się niby widziadło na jawie? Widział przed sobą wyraźnie tajnik X wyobrażony w postaci koła zawieszonego na osi swojej pomiędzy dwiema kolumnami. Z jednej strony wznosi się w górę Hermanubis, geniusz Dobra, piękny jak młody efeb; z drugiej Tyfon, geniusz Zła, pada głową na dół w przepaść. Pomiędzy obydwoma, na wierzchu koła, siedzi sfinks, trzymający miecz w szponach.

Niewyraźny szmer muzyki lubieżnej, który, zdało się, wychodził z głębi groty, spędzał to widzenie. Były to lekkie, nieokreślone dźwięki, tchnące smętkiem niewysłowionym, w głąb duszy przenikającym. Wtem dźwięknął mu w uszach brzęk jakiś metaliczny, zmieszany z dźwiękami fletu i z ciężkimi, jak oddech palący westchnieniami. .

Tonąc w marzeniu płomiennym, przymykał oczy. Gdy je otworzył, ujrzał o kilka kroków od łoża swego olśniewające zjawisko, tchnące czarem życia i urokiem szatańskim. Nubijka, spowita w osłony przejrzyste z gazy purpurowej, z kolią amuletów

na szyi, podobna kapłankom misteriów Mylitty, stała, chłonąc go wzrokiem i trzymając w lewej ręce uwitą różami czarę. Uosabiała ona ów typ nubijski, którego odurzająca zmysłowość streszcza w sobie całą potęgę uroku samczego: policzki wydatne, rozszerzone nozdrza, pełne wargi krwiste jak soczysty owoc czerwony. Czarne jej oczy żarzyły się wpółcieniu. Zerwał się nowicjusz, i zdumiony, nie wiedząc, czy lękać się ma czy cieszyć, skrzyżował instynktownie ręce na piersiach. Nubijka szła ku niemu zwolna z oczami spuszczonymi, szepcąc półgłosem: „Boisz się mnie, piękny cudzoziemcze? przynoszę ci nagrodę zwycięzców, zapomnienie bólów, czarę szczęścia... Nowicjusz wahał się; wtedy, jak gdyby owładnięta znużeniem nagłym, siadała Nubijka na jego łożu i topiła w nim wzrok błagalny, który owiewał go falą oddechu palącego.

Lecz biada mu, jeśli ulegnie pokusie. Biada mu, jeśli pochyli się nad ustami tymi, jeśli da się upoić ciężkim aromatem, unoszącym się z tych ramion brunatnych. Jeśli raz tylko dotknie jej dłoni i umoczy usta w tej czarze, zgubiony będzie na wieki... padnie na posłanie opleciony uściskiem żarzącym. Ale po dzikim nasyceniu zmysłów, napój, który wchłonął w siebie z podanej mu czary, pogrąży go w sen kamienny. Po przebudzeniu będzie osamotniony, zdjęty lękiem. Lampa rzucać będzie błyski posępne na zmięte jego łoże. W tej chwili ujrzy przed sobą hierofantę, który mu powie:

— Wyszedłeś zwycięsko z pierwszych zadanych ci prób. Opanowałeś śmierć, ogień i wodę, nie umiałeś jednak opanować samego siebie. Ty, który

wznieść się pragniesz na wyżyny ducha i wiedzy, uległeś pierwszej pokusie zmysłów i wpadłeś w otchłań materii. Kto zaprzedał się w niewolę zmysłów żyje w mrokach niewiedzy. Przeniosłeś mrok nad światło, pozostań więc w mroku. Uprzedziłem cię o niebezpieczeństwach, które czyhają na ciebie. Uratowałeś życie, ale utraciłeś wolność. Pozostaniesz, pod grozą śmierci, niewolnikiem świątyni".

Jeśli jednak nowicjusz miał siłę przewrócić czarę, wylać zawarty w niej napój, i odtrącić kusicielkę, otaczał go wnet orszak dwunastu neokorów, niosących pochodnie i prowadził w triumfie do świątyni Izydy, gdzie czekali na niego zebrani w pełnym zgromadzeniu, ustawieni w półkole i przybrani biało magowie. W głębi rzęsiście oświetlonej świątyni jaśniał olbrzymi posąg Izydy odlany z metalu, ze złotą różą u piersi i z głową uwieńczoną diademem siedmiopromiennym. Do ramion bogini tulił się syn jej, Horus. Stojący pod posągiem hierofanta w szatach purpurowych przyjmował przybysza i odbierał od niego przysięgę milczenia i poddania, popartą klątwami najstraszliwszymi. Po odebraniu przysięgi pozdrawiał go w imieniu całego zebrania jako brata i jako przyszłego wtajemniczonego. Stając wobec dostojnych mistrzów tych, doznawał uczeń Izydy uczucia, że staje wobec bogów. Przerósłszy siebie samego, wkraczał po raz pierwszy w sferę prawdy.

IV

## OZYRYS — ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

A jednak było to zaledwie dopuszczenie na próg poznania prawdy. Teraz bowiem rozpoczynały się dopiero długie lata nauki i przygotowania. Zanim wznieść się miał nowy adept do Izydy Uranii, poznać musiał Izydę ziemską, zdobyć wiedzę fizyczną, wykształcić się w naukach, jej poświęconych. Czas cały poświęcał po części na rozmyślania w ciszy swojej celi, po części zaś na studiowanie hieroglifów w salach i dziedzińcach świątyni rozległej jak miasto oraz na słuchanie wykładów, prowadzonych przez mistrzów. Uczył się poznawania własności minerałów i roślin, dziejów człowieka i narodów, medycyny, architektury i muzyki świętej. Podczas tych długich lat nauki miał nie tylko p o z n a ć a l e s t a ć s i ę! miał z zaparciem się siebie zdobyć się. Mędrcy starożytni wierzyli, iż człowiek wówczas tylko posiąść może prawdę, kiedy staje się ona najistotniejszą częścią składową jego osobowości, wypływem bezpośrednim jego duszy. Pracy tej głębokiej dokonać musiał jednak, pozostawiony własnym zupełnie siłom. Mistrze je-

go żadnej nie okazywali mu w niej pomocy, tak iż często dziwił go ich chłód, ich obojętność. Czuwano nad nim pilnie, zniewalano go, aby stosował się do nieugiętych przepisów, wymagano od niego bezwzględnego posłuszeństwa; nie wyjawiano mu jednak nic co wychodziło poza pewne granice. Na jego pełne niepokoju pytania odpowiadano: „Czekaj i pracuj". Przychodziły na niego wówczas nagle chwile buntu, żalów gorzkich, strasznych podejrzeń. Czy nie stał się ofiarą śmiałych oszustów lub złych czarnoksiężników, którzy opanowali wolę jego w niecnym jakimś celu? Prawda zdawała się uciekać przed nim; bogowie opuścili go; był sam, zaprzedany w niewolę świątyni. Prawda ukazała mu się w postaci sfinksa. Teraz sfinks ten mówił mu: „Jestem zwątpieniem!" I piękne zwierzę skrzydlate o niewzruszonej, kamiennie obojętnej twarzy kobiecej i szponach lwa porywało i unosiło prawdę, aby ją podrzeć na strzępy w palącym piasku pustyni.

Dręczące te zmory opuszczały go wszakże, po czym następowały godziny ukojenia i przeczuć boskich. Przenikał wówczas znaczenie symboliczne prób, którym go poddawano przy wejściu jego do świątyni. Niestety, bowiem, ciemne otchłanie, w które nieomal nie wpadł, mniej były czarne, aniżeli niezgłębiona przepaść prawdy; ogień, przez który przeszedł, mniej był groźny, aniżeli żądze, których żar spalał jeszcze jego ciało; lodowata, mroczna woda, w której był zmuszony pogrążyć się, mniej była zimna, aniżeli zwątpienia, w których tonęła i gubiła się myśl jego w godzinach posępnych. W jednej ze sal świątyni ciągnęły się dwa szeregi

tych samych malowideł świętych, których znaczenie wyjaśniono mu w krypcie podczas owej nocy prób, a które wyobrażały dwadzieścia dwa tajniki. Tajniki te, które odsłaniano na wstępie do nauki okultystycznej, stanowiły właściwe podstawy teologii; ażeby jednak zrozumieć je należało przejść przez całe wtajemniczenie. Od owej nocy żaden z mistrzów nic więcej mu o nich nie wspominał. Pozwalano mu tylko przechadzać się po sali tej i rozmyślać nad owymi znakami. Spędzał w niej długie samotne godziny. Poprzez postaci czyste i jasne jak światło, uroczyste jak wieczność, przesiąkała zwolna w serce jego niedostrzeżona, nieuchwytna prawda. W niemym obcowaniu z milczącymi i bezimiennymi bóstwami tymi, z których każde panować się zdawało nad inną sferą życia, nowych doznawać zaczynał wrażeń: zrazu było to cofanie się w najgłębszą treść duszy własnej, rodzaj oderwania się od świata, które pozwalało mu szybować ponad sprawami ziemskimi. Czasem pytał którego z magów: „Czy nadejdzie dzień, w którym wolno mi będzie napawać się aromatem róż Izydy i widokiem światła Ozyrysa?“ — Na co mag odpowiadał mu: „Nie zależy to od nas. Prawda nie jest dawana. Odnajduje ją człowiek w samym sobie, albo też nie odnajduje jej wcale. Nie możemy uczynić z ciebie wyznawcy jej, musisz stać się nim sam przez się. Kwiat lotosu rośnie pod powierzchnią fal na długo przed rozwinięciem się. Nie przyspieszaj rozkwitu boskiego kwiatu. Jeśli ma on nastąpić, nastąpi we właściwej porze. Pracuj i módl się“.

I uczeń powracał z tęskną radością do studiów swoich i do swoich rozmyślań. Rozkoszował się po-

ważnym i słodkim urokiem tej samotności, w której czuje się tchnienie istoty istot. Tak upływały miesiące i lata. Zdawał sobie sprawę, że dokonywa się w nim samym powolna przemiana, przeistoczenie zupełne. Namiętności, które osaczyły młodość jego, nikły jak cienie, a myśli, które go teraz opanowały uśmiechały się do niego jak przyjaciółki nieśmiertelne. Chwilami odczuwał jak gdyby pochłonięcie swojego ja ziemskiego i narodziny nowej jaźni, czystej i bardziej lotnej. W nastroju tym padał na stopnie świątyni, której podwoje zamknięte były przed nim. W takich chwilach nie było w nim ani buntu, ani pożądania żadnego, ani żalu. Było tylko bezgraniczne poświęcenie duszy Bogom, zupełne oddanie się prawdzie. „O, Izydo — wzywał on w modłach swych — dusza moja jest jedynie łzą oczu twoich, niech więc spadnie ona jako rosa na inne dusze, abym, umierając, mógł czuć ulatający ku tobie aromat ich. Gotów jestem do wszelkiej ofiary“. Po jednej z niemych takich modlitw ukazywała się pogrążonemu w ekstazie uczniowi wychodząca jak gdyby spod ziemi wizja: postać hierofanty w gorących blaskach zachodu. Mistrz zdawał się czytać wszystkie myśli ucznia, przenikać cały dramat jego przeżyć wewnętrznych.

— Synu mój — mówił — zbliża się godzina, w której prawda zostanie ci objawioną. Bowiem przeczułeś ją już, wchodząc w głąb duszy własnej i odnajdując w niej życie boskie. Przyjmiesz udział w wielkim niewypowiedzianym obcowaniu Wtajemniczonych, którego stałeś się godzien czystością twojego serca, ukochaniem prawdy i siłą zaparcia się siebie. Nikt jednak nie może przekroczyć progu

Ozyrysa, zanim nie przeszedł przez śmierć i przez zmartwychwstanie. Będziemy ci towarzyszyli do krypty. Nie lękaj się, albowiem jesteś już jednym z braci naszych.

O zmierzchu kapłani Ozyrysa towarzyszyli z pochodniami w rękach nowemu adeptowi w drodze do niskiej krypty, opartej na czterech słupach, ustawionych na sfinksach. W rogu krypty stał otwarty sarkofag marmurowy [44]).

— Nikt — rzekł hierofanta — nie może uniknąć śmierci, zmartwychwstanie jest przeznaczeniem każdej istoty żyjącej. Adept przechodzi żywy przez grób, aby za życia wejść w krąg światła Ozyrysowego. Legnij więc w grobie tym i oczekuj światła. Nocy tej przekroczysz podwoje Przerażenia i dosięgniesz progu Doskonałości".

Adept kładł się do otwartego grobu; hierofanta wyciągał nad nim rękę, aby pobłogosławić go, po czym orszak wtajemniczonych oddalał się w milczeniu od grobu. Mała, postawiona na ziemi, lampka oświetlała jeszcze mdłym światłem swoim cztery sfinksy, podtrzymujące przysadziste kolumny krypty. Przyciszony, głuchy chór głosów niskich rozbrzmiewa w powietrzu. Skąd przychodzi? To śpiew pogrzebowy!... Cichnie i zamiera, lampka rzuca błysk ostatni, potem gaśnie zupełnie. Adept pozostał sam w ciemnościach; ogarnia go chłód mogilny, mrozi wszystkie jego członki. Przechodzi stopniowo przez wszystkie bolesne uczucia zamierania i wpada w letarg. Wszystkie obrazy życia jego przesuwają się kolejno przed oczyma jego wyobraźni jak coś nierzeczywistego i świadomość je-

go ziemska staje się coraz bardziej zamgloną i rozpierzchłą. W miarę jednak jak czuje zanikanie ciała, oddziela się część lotna jego osoby; wpada on w stan ekstazy...

Cóż to za punkcik jaśniejący, daleki ukazuje się zaledwie dostrzegalny na czarnym tle mroków? Zbliża się, potężnieje, staje się gwiazdą pięciopromienną, mieniącą się wszystkimi barwami tęczy i przebijającą mroki światłem magnetycznym. Teraz jest to już słońce, przyciągające go białością swojego ośrodka ognistego.

Czy to czary mistrzów stwarzają tę wizję? Czy niewidzialne stało się widzianym? Czy to zapowiedź prawdy niebiańskiej, płomiennej gwiazdy nadziei i nieśmiertelności? — Gwiazda niknie, a na miejscu jej rozwiera się pąk kwiatu na tle nocy, kwiatu bezcielesnego, ale wrażliwego i obdarzonego duszą. Rozwiera się on przed nim jak róża biała; rozchyla płatki swoje; widzi jak drgają żywe jej listki jak różowi się kielich jej płomienny. — Czy to kwiat Izydy, mistyczna Róża mądrości, mieszcząca Miłość w sercu swoim? Ale oto ulatnia się ona jak opar wonny. I w tej samej chwili pogrążony w ekstazie czuje muskające go ciepłe tchnienie pieszczotliwe. Mgła zgęszcza się i przybiera kształty coraz wyraźniejsze, wreszcie staje się postacią ludzką.

To postać kobieca, Izys z świątyni tajemnej, ale młodsza promieniejąca uśmiechem, świetlana. Zasłona przejrzysta spowija ją całą a poprzez zasłonę tę przeziera jaśniejące jej ciało. W ręku ma zwój papirusu. Zbliża się zwolna, pochyla się nad

wtajemniczonym, leżącym w grobie, i mówi: Jestem siostrą twoją niewidzialną, duszą twoją boską, a oto księga twojego życia. Zawiera ona karty pełne bytów twoich minionych i białe karty twoich bytów przyszłych. Przyjdzie dzień w którym rozwinę je wszystkie przed tobą. Znasz mnie już teraz. Przywołaj mnie, a zjawię się!" Kiedy wypowiadała słowa te, promień miłości trysnął z jej oczu... O, słodka obecności anielskiego sobowtóra, niewypowiedziana zapowiedź boskości, cudowne zlanie się w nieuchwytnych zaświatach...

Wtem załamuje się wszystko, widzenie zaciera się. Cios straszliwy; Adept czuje, że wtłoczony zostaje znów w ciało swoje, jak gdyby w trupa. Powraca do stanu świadomego letargu: pierścienie żelazne ściskają jego członki, straszliwy ciężar przytłacza mózg jego; budzi się i widzi... że stoi przed nim hierofanta w otoczeniu magów. Otaczają go, podają mu kordiał do picia; — wstaje.

— Zmartwychwstałeś — mówi prorok — chodź święcić wraz z nami uroczystość wtajemniczonych i opowiedz nam o wędrówce twojej ku światłu Ozyrysa. Bowiem jesteś już odtąd jednym z naszych.

Przenieśmy się teraz z hierofantą i nowym wtajemniczonym do obserwatorium świątyni, na tle ciepłych wspaniałości nocy egipskiej. Tam właśnie kapłan naczelny udzielał niedawnemu Adeptowi wielkiego wtajemniczenia, opowiadając mu w i d z e n i e   H e r m e s a.

Widzenie to nie było opisane na żadnym papirusie. Kreślone ono było znakami symbolicznymi na płytach krypty tajemnej, znanej jedynie prorokowi.

Jeden prorok przekazywał ją drugiemu w opowieści ustnej.

— Słuchaj uważnie — mówił hierofanta — bowiem w widzeniu tym zawarta jest wiekuista historia świata i wszechrzeczy.

## V

## WIDZENIE HERMESA [46])

„Pewnego dnia zasnął Hermes po długich rozmyślaniach o początku wszechrzeczy. Ciężka drętwość owładnęła jego ciałem; w miarę wszakże, jak stawało się coraz ociężalszym, duch jego wznosił się w przestworza. Wydało mu się, że olbrzymia Istota jakaś, nieokreślonego kształtu, wzywa go po imieniu.

— Kim jesteś? — zapytał Hermes przerażony.— Jestem Ozyrysem, Rozumem najwyższym i mogę odsłonić przed tobą, wszystkie tajemnice — Czego pragniesz? — Oglądać źródło istnień, o boski Ozyrysie: i poznać Boga. — Stanie się jak pragniesz.

W tej samej chwili uczuł Hermes, że tonie w morzu jasności rozkosznej. W jej falach przejrzystych przepływały czarowne kształty wszystkich istnień. Lecz nagle spadły na niego ciemności przeraźliwe o dziwacznych kształtach pokręconych. Otoczył go chaos wilgotny pełen oparów i ryków ponurych. Równocześnie rozbrzmiał z głębi przepastnej głos jakiś. Był to k r z y k ś w i a t ł a. Za-

razem też z otchłani wilgotnych strzelił w górę, ku wyżynom eterycznym, cienki język ognia.

Hermes wzniósł się wraz z nim i ujrzał się w przestworzach. Chaos rozwikływał się w otchłani; konstelacje gwiazd rozpalały się nad jego głową, a g ł o s ś w i a t ł a wypełniał nieskończoność.

— Czyś zrozumiał, co oglądałeś? — zapytał Ozyrys Hermesa, spętanego w marzeniu swoim sennym i zawieszonego między ziemią a niebem. — Nie — odparł Hermes.

— Dowiesz się zatem. Oglądałeś to, co trwa wiekuiście. Światło które widziałeś najsampierw — to rozum boski, zawierający w sobie zarodek wszechświata oraz pratypy wszystkich istot. Mroki w których byłeś pogrążony, to świat materialny, w którym żyją istoty ziemskie, ludzie. Ale ogień, który w oczach twoich wytrysnął z głębin, to S ł o w o B o ż e. Bóg jest Ojcem, Słowo — Synem, ich połączenie — jest życiem. —

— Jakiż zmysł cudowny powstał we mnie? — rzekł Hermes. — Nie widzę już oczami ciała, ale oczami ducha. Jak to się stało? — O, dziecię prochu — odpowiedział Ozyrys — stało się tak, bowiem Słowo jest w tobie. Tym, co słyszy w tobie, widzi i działa, — jest słowo właśnie, ogień święty, mowa twórcza!

— Skoro tak jest — rzekł Hermes — daj mi oglądać życie światów, drogę dusz, z której przychodzi człowiek i na którą wraca.

— Niech się stanie wedle woli twojej.

Hermes stał się ponownie cięższym niż kamień i spadł poprzez przetworza jak aerolit. Wreszcie ujrzał się na szczycie góry. Panowała noc; ziemia

ciemna była i naga; członki jego ciężyły mu ołowiem. — Wznieś oczy i patrz! — usłyszał głos Ozyrysa.

Spojrzał Hermes i zobaczył widok cudowny. Przestwór nieskończony, niebo gwiaździste rozpinało nad nim siedem sfer świetlanych. Jednym rzutem oka objął siedem nieb, spiętrzonych nad jego głową, jak siedem kul przejrzystych i koncentrycznych, w których ośrodku świetlnym znajdował się on sam. Ostatnią z kul opasywała droga mleczna. W każdej sferze krążyła planeta, której towarzyszył geniusz odmiennego kształtu, znaku i światła. Olśniony Hermes oglądał ich gwiazdy rozsiane i ich ruchy majestatyczne; wtem usłyszał głos:

— Patrz, słuchaj i zrozum. Widzisz siedem sfer życia twojego. Poprzez nie dokonywa się spadek dusz i wznoszenie się ich. Siedem geniuszów — to siedem promieni Słowa — Światła. Każdy z nich poszczególną rządzi sferą Ducha w pewnej fazie życia dusz. Najbliżej ciebie znajduje się geniusz Księżyca o niepokojącym uśmiechu, uwieńczony sierpem srebrnym. Kieruje on narodzinami i śmierciami. Wyzwala dusze z ciał i wciąga je w promień swojego światła. — Ponad nim blady Merkury wskazuje drogę duszom zstępującym lub wznoszącym się dając znak, laską swoją, w której jest siedlisko Wiedzy. — Wyżej jaśnieje Wenus trzymająca zwierciadło miłości, w którym dusze z kolei zapominają o sobie i rozpoznają się — Ponad nią Geniusz Słońca wznosi pochodnię zwycięską wiekuistego Piękna. — Jeszcze wyżej Mars mieczem Sprawiedliwości potrząsa. — Górujący nad całą sferą niebieską Jupiter dzierży berło władzy naj-

wyższej, którą jest Rozum boski. — Na krańcach świata, pod znakami zodiaku, Saturn podtrzymuje glob mądrości wszechświata [45]).

— Widzę — rzekł Hermes, — siedem sfer, obejmujących świat widzialny i niewidzialny; widzę siedem promieni Słowa-Światła, Boga jedynego, który je przenika i rządzi nimi za ich pomocą. Ale jak, o mistrzu mój, dokonywa się wędrówka ludzi poprzez te światy?

— Czy widzisz, — rzekł Ozyrys — ziarenka świetlane spadające ze sfery drogi mlecznej w głąb siódmej sfery? To zarodki dusz. żyją one jak opary lekkie w sferze Saturna, szczęśliwe, beztroskie i nieświadome własnego szczęścia. Spadając ze sfery, przybierają coraz cięższą powłokę. W każdym wcieleniu zyskują nowy zmysł cielesny, przystosowany do środowiska, które zamieszkują. Ich energia żywotna wzrasta; w miarę wszakże wchodzenia ich w ciała coraz bardziej zwarte, zatracają pamięć boskiego swego pochodzenia. Taką drogą dokonywa się upadek dusz, których kolebką jest Eter boski. Coraz bardziej pochłonięte przez materię, coraz bardziej upojone życiem, spadają one snopem iskier ognistych, doznając dreszczu rozkoszy, poprzez sfery Bólu, Miłości i Śmierci aż do ziemskiego swojego więzienia, w którym jęczysz ty sam, trzymany na uwięzi przez płomienny ośrodek ziemi, i w którym życie boskie wydaje ci się marzeniem płonnym.

Czy mogą dusze umierać? — Pyta Hermes.

— Tak, — odpowiada głos Ozyrysa — wiele z nich ginie podczas upadku fatalnego. Dusza jest córą niebios i wędrówka jej jest próbą, przez którą

przechodzi ona. Jeśli w nieokiełzanym swoim ukochaniu materii zatraca ona pamięć swojego pochodzenia, iskra boża, która była w niej i która mogła rozbłysnąć światłem od gwiazdy jaśniejszym, powraca do sfery eterycznej, jako atom bez życia — a dusza rozpada się w odmęcie ślepych żywiołów.

Na te słowa Ozyrysa zadrżał Hermes. Burza grzmiąca spowiła go chmurą czarną. Siedem sfer znikło pod oparami gęstymi: Dojrzał w nich widma ludzkie, wydające dziwne okrzyki, porywane i rozdzierane przez zjawy potworów i zwierząt, wpośród niewypowiedzianych jęków i złorzeczeń.

— Takim jest — rzekł Ozyrys — los dusz niepoprawnie niskich i złych. Ich udręka kończy się wraz z ich zagładą, którą jest utrata świadomości. Ale, patrz, mgły rozwiewają się, siedem sfer ukazuje się znów pod stropem. Spójrz w tę stronę. Czy widzisz rój dusz, który usiłuje wznieść się ku sferom księżycowym? Jedne z nich strącane są ku ziemi jak roje ptaków przez gwałtowne podmuchy burzy. Inne dostają się potężnym rozmachem skrzydeł do sfery wyższej, która wciąga je do swojego obiegu. Dostając się tam, odzyskują możność oglądania rzeczy boskich. Tym razem już jednak nie wystarcza im samo odbicie ich w bezwładnym śnie o szczęściu. Jasnowidzeniem świadomości, którą oświeca ból, pełnią siły woli zdobytej w walce, wchłaniają je w siebie. Stają się świetlanymi, bowiem posiadają w sobie boskość, i wypromieniowują ją w czynach swoich. Wzmocnij zatem duszę swoją, o Hermesie, i rozpogódź twój umysł przyćmiony. Rozjaśnij go oglądaniem tych dalekich wzlotów dusz, które wznoszą się do siedmiu sfer i rozpry-

skują się w nich niby snopy iskier. I ty bowiem podążyć możesz za nimi; wystarcza chcieć, aby wznieść się. Patrz, jak roją się one i zakreślają łuki boskie.

Każda tuli się pod skrzydła ulubionego geniusza swojego. Najpiękniejsze żyją w sferze słonecznej, najpotężniejsze wznoszą się do Saturna. Niektóre wznoszą się aż do Ojca, pomiędzy potęgi, gdyż same są potęgami. Albowiem tam, gdzie wszystko się kończy, wszystko wiekuiście się rozpoczyna; i siedem sfer głosi równocześnie: „Mądrość! Miłość! Sprawiedliwość! Piękno! Wspaniałość! Wiedza! Nieśmiertelność!"

— Oto — zakończył hierofanta, co widział starożytny Hermes i co przekazali nam jego następcy. Słowa mędrca są jak siedem tonów liry, w których zawarta jest cała harmonia wraz z liczbami i prawami wszechświata. Widzenie Hermesa podobne jest do nieba gwiaździstego, którego niezgłębione otchłanie usiane są konstelacjami. Dla dziecka jest to tylko strop niebieski nabity złotymi ćwiekami, dla mędrca — to bezmiar nieskończony, w którym krążą światy zdumiewająco rytmicznie i miarowo. Widzenie to obejmuje liczby wiekuiste, znaki tajemne i klucze czarnoksięskie. Im więcej nauczysz się wpatrywać w nie i im lepiej je będziesz rozumiał, tym bardziej nieskończonymi ci się wydadzą. Bowiem jedno i to samo prawo organiczne rządzi wszystkimi światami".

I prorok świątyni wyjaśniał tekst święty. Mówił, że doktryna Słowa-Światła wyobraża bóstwo w s t a n i e s t a t y c z n y m, w doskonałej jego rów-

nowadze. Wykazywał troistą jego naturę, która jest zarazem rozumem, siłą i materią; duchem, duszą i ciałem, światłem, słowem i życiem. Istota, objawienie i treść są trzema nazwami, z których każda każe się domyślać obu pozostałych. Związek ich stanowi podstawową zasadę boską i rozumową, prawo trójcy w jedności, rządzące wszechświatem.

Doprowadziwszy w ten sposób ucznia swojego do idealnego ośrodka wszechświata, do twórczej zasady Bytu, rozwijał ją mistrz w czasie i przestrzeni, wykazywał jej wielorakie rozkwity. Druga bowiem część widzenia Hermesa przedstawia boskość w stanie dynamicznym, to znaczy w czynnym jej rozwoju, innymi słowy: wszechświat widzialny i niewidzialny, żyjące niebo. Siedem sfer związanych z siedmioma planetami symbolizowało siedem zasad, siedem stanów różnych, przez które każdy człowiek i każda społeczność przejść muszą, w ich ewolucji poprzez system słoneczny. Siedem Geniuszów, czyli siedem Bóstw kosmogonicznych oznaczały duchy wyższe, kierujące wszystkimi sferami, które same wzięły początek z niezmiennej zasady ewolucji. Każdy wielki Bóg był więc dla starożytnego wtajemniczonego symbolem i kierownikiem legionów duchów, odtwarzających prawzór jego w tysiącznych odmianach i mogących, w zakresie swojej władzy, wywierać wpływ na ludzi i na rzeczy ziemskie. Siedem Geniuszów widzenia Hermesa — to siedem Dew Indii, siedem Amshapand Persji, siedmiu wielkich Aniołów chaldejskich, siedmiu Sefirotów (serafów) [47]) Kabały, siedmiu Archaniołów Apokalipsy chrześcijańskiej. Wielka siedmiorakość, ogarniająca wszechświat ujawnia się

nietylko w siedmiu barwach tęczy, w siedmiu tonach gamy, objawia się też ona w ustroju człowieka, który jest trojakim w swej istocie, ale siedmiorakim w swoim rozwoju [48]).

„Dotarłeś zatem — kończył hierofanta — do progu wielkiej tajemnicy. Życie boskie ukazało ci się w postaci mar rzeczywistości. Hermes zapoznał cię z niebem niewidzialnym, ze światłem Ozyrysa, z ukrytym Bogiem wszechświata, żyjącym w milionach dusz, tchnącym życie w globy błąkające się i w ciała będące w okresie kształtowania się. Twoją jest teraz rzeczą, jaką masz obrać drogę aby wznieść się do Ducha czystego. Od tej chwili bowiem należysz do żywych zmartwychwstałych. Pamiętaj, że dwa są zasadnicze klucze wiedzy: „Strona zewnętrzna jest równa wewnętrznej; małe jest takim jak wielkie; istnieje jedno tylko prawo, a ten, kto tworzy, jest Jeden. Nie ma nic małego, ani nic dużego w harmonii boskiej. — To jest klucz pierwszy. A oto drugi: „Ludzie są bogami śmiertelnymi, a bogowie nieśmiertelnymi ludźmi". Szczęśliwy kto rozumie te słowa, bowiem posiada klucz wszechrzeczy. Pomnij, że prawo tajemnicy osłania wielką prawdę. Wiedza zupełna może być wyjawiona tym jedynie braciom naszym, którzy przeszli przez te same próby, przez jakie my przeszliśmy. Należy odmierzać prawdę wedle intelektów, osłaniać ją wobec słabych, których mogłaby ona przyprawić o szał, ukryć ją przed złymi, którzy są w stanie pochwycić jedynie ułamki jej i obrócić je w narzędzia rozkładu. Zamknij ją w sercu twoim i niech przemawia ona przez dzieła twoje. Wiedza będzie siłą twoją, wiara —

twojm mieczem, a milczenie — zbroją twoją nieprzeniknioną".

Wyjawiania proroka Ammon-Râ, otwierające przed świeżowtajemniczonym tak szerokie widnokręgi w głębi własnej jego duszy i we wszechświecie, wywierały niewątpliwie głębokie wrażenie, zwłaszcza że czynione one były w obserwatorium świątyni Tebańskiej, wśród jasnej ciszy nocy egipskiej. U stóp jego, wpośród kęp kaktusów i drzew daktylowych, uśpione były pilony portyków wchodowych kształtu wieżowego, dachy i białe tarasy świątyń. W oddali wielkie monolity [49]), olbrzymie posągi Bogów, obsiadły ciche jeziora niby sędziowie nieprzedajni. Trzy piramidy, geometryczne figury czworościenności i świętej siedmiokrotności ginęły na widnokręgu, zatracając zarysy trójkątów swoich w lekkiej szarości powietrza. Nieprzenikniony strop nieba skrzył się gwiazdami. Jakiemiż nowymi oczami patrzył na te gwiazdy, które mu przedstawiono jako przyszłe jego siedliska. Kiedy wreszcie złoty sierp księżyca wynurzył się z ciemnego zwierciadła Nilu, niknącego na widnokręgu niby długi wąż sinawy, wydało mu się, że widzi barkę Izydy, żeglującą po strumieniu i unoszącą ją ku słońcu Ozyrysa. Przypomniał sobie Księgę Zmarłych, i odsłaniać mu się zaczęło znaczenie wszystkich owych symbolów. Po tym, co widział i czego się dowiedział, mogło mu się zdawać, że jest w mrocznym państwie Amentów [50]), w tajemniczym czyśćcu pomiędzy życiem ziemskim a niebiańskim, w którym zmarli, zrazu niemi i ślepi, odzyskują stopniowo mowę i wzrok. I on też udać się miał w wielką drogę, rozpocząć wędrówkę w nie-

skończoności poprzez światy i byty. Hermes rozgrzeszył go już i uważał za godnego jej. Wyjawił mu słowo wielkiej zagadki: „Jedna jedyna dusza, wielka dusza Wszystkiego zrodziła, mnożąc się, wszystkie dusze, krążące we wszechświecie“.

Zbrojny w wielką tajemnicę, siadał do barki Izydy. Odpływała ona. Wzniesiona w przestworza eteru, płynęła w sferach międzygwiazdowych. Szerokie promienie niezmierzonej jutrzenki przebijały już błękitne osłony widnokręgów nieba, już chór duchów, sławetnych Akhima-Seków, którzy zyskali spoczynek wiekuisty, śpiewał: „Powstań o Ammonie Râ Hermakuti! Słońce duchów! Ci, którzy znajdują się w twojej barce, w najwyższym są uniesieniu! Wydają okrzyki w b a r c e t y s i ą c-leci. Wielki krąg boski uszczęśliwiony jest głoszeniem chwały wielkiej barki, świętej. Uroczystości radosne odbywają się w tajemniczej świątyni. O, powstań Ammonie Râ Hermakuti! Słońce, które tworzy się samo!

A wtajemniczony odpowiadał dumnymi słowami: „Dotarłem do krainy prawdy i łaski bożej, czyniącej ludzi sprawiedliwymi. Zmartwychwstaję jak Bóg żyjący i promienieję w chórze Bogów, zamieszkujących niebo, bowiem jestem z ich rodu“.

Myśli tak dumne i tak śmiałe nadzieje mogły powstawać w duszy adepta w nocne godziny po mistycznym obchodzie zmartwychwstania. Nazajutrz, w alejach, wiodących do świątyni, w oślepiającym świetle dnia, noc ta zdawała mu się sennym już tylko marzeniem. Ale jak niezapomnianym marzeniem była pierwsza ta wędrówka w krainę nieuchwytną i niewidzialną. Odczytywał ponownie na-

pis na posągu Izydy: „żaden śmiertelny nie uniósł mojej zasłony". A przecież uchylił się rąbek zasłony, co prawda, aby znów opaść, po czym zbudził się on na ziemi grobowców. O, jakże dalekim był jeszcze od celu wymarzonego! Długą jest bowiem droga na barce tysiącleci! Danem mu było przynajmniej ujrzeć cel ostateczny. Chociażby nawet widzenie jego miało być sennym jedynie marzeniem, dziecięcym wzlotem wyobraźni, przyćmionej jeszcze oparami ziemskimi, czyż mógł żywić wątpliwość co do innego owego uświadomienia, które zbudziło się w głębi jego duszy? co do tajemniczego owego sobowtóra, tej jaźni niebiańskiej, która ukazała mu się w pięknie swoim promiennym, niby kształt żywy i która przemawia do niego we śnie. Czy była to dusza siostrzana, czy może geniusz jego, a może tylko odblask jego ducha, przeczucie jego bytu przyszłego? Cud i tajemnica. Niewątpliwie, była to rzeczywistość, a jeśli dusza ta była tylko własną jego duszą, była duszą prawdziwą. Wszystko uczyni, aby ją odnaleźć! Gdyby żyć miał miliony lat, nie zapomni boskiej tej godziny, w której danym mu było widzieć właściwą jaźń swoją czystą i promienną [51]).

Wtajemniczenie zostało dokonane. Adept wyświęcony został na kapłana Ozyrysa. Jeśli był Egipcjaninem, pozostawał przy świątyni; jeśli zaś cudzoziemcem, pozwalano mu w pewnych wypadkach wracać do swojego kraju celem wprowadzenia tam kultu lub też wypełnienia jakiejś misji. Zanim wszakże opuszczał świątynię, uroczyście przysięgał jak najgroźniejszymi zaklęciami, że zachowa bezwzględne milczenie w sprawie jej tajem-

nic. Nie wolno mu było nigdy i przed nikim zdradzić tego, co widział i słyszał, ani też wyjawić doktryny Ozyrysa inaczej jak pod potrójną osłoną symbolów mitologicznych lub tajników. Gdyby złamać miał tę przysięgę, śmierć nieuchronna spotkałaby go wcześniej czy później, gdziekolwiek znajdowałby się. Milczenie natomiast stawało się puklerzem jego siły.

Po powrocie na wybrzeża Johji, do gwarnego miasta, zrażony gwałtownymi namiętnościami, błąkający się pośród ciżby ludzi, którzy żyją jak opętańcy, nieświadomi własnej swojej istoty, — powracał często myślą do Egiptu, do piramid, do świątyń Ammon-Râ. Pamięć jego wskrzesała wówczas widzenie w krypcie. I jak tam, w Egipcie, kwiat lotosu kołysze się na wodach Nilu, tak samo unosiła się wizja ta biała ponad bagnistym, odurzającym strumieniem życia ziemskiego. W chwilach wyjątkowych słyszał głos jej, a był to głos światła. Wyczarowując w duszy jego harmonię mistyczną, mówił mu głos ten: „Dusza jest przysłoniętym światłem. Zaniedbywana przyćmiewa się i gaśnie, namaszczona wszakże świętymi olejami miłości, rozpala się i płonie jak lampa nieśmiertelna“.

KSIĘGA CZWARTA

# MOJŻESZ

POSŁANNICTWO IZRAELA

Nie istniało dla niego nic osłoniętego, nic, co okrywałoby zasłoną istotę wszystkiego, co widział.

(Napis pod posągiem Ptahmera, arcykapłana świątyni w Memfis — Muzeum Luwru).

Najtrudniejsza i najbardziej zawiła z ksiąg świętych, Genesis, tyleż zawiera tajemnic, ile wyrazów, a każdy wyraz kryje ich kilka.

Św. Hieronim.

Dziecię przeszłości, zapowiedź przyszłości, księga ta (dziesięć pierwszych rozdziałów księgi Rodzaju) spadkobierczyni całej wiedzy Egipcjan, nosi ponadto w łonie swym zadatki przyszłych nauk. — Wszystko, co przyroda ma najgłębszego i najbardziej tajemniczego, co rozum jest w stanie ogarnąć z cudów, co intelekt posiada najwznioślejszego, — wszystko to zawarte jest w tej księdze.

Fabre d'Olivet. **„Odtworzony język hebrajski“** (Rozprawa wstępna).

# I

# TRADYCJA JEDNOBÓSTWA I PATRIARCHOWIE PUSTYNI

Objawienie jest tak stare jak świadomość ludzka. Jest ono wynikiem natchnienia i sięga zamierzchłej przeszłości. Wystarczy jeden badawczy rzut oka na księgi święte Iranu, Indii i Egiptu, aby nabrać przekonania, że myśli podstawowe doktryny ezoterycznej stanowią ukrytą, ale niemniej żywą ich treść. Żyje w nich dusza niewidzialna, podstawa twórcza wielkich tych religii. Wszystkim prorokom potężnym danem było w pewnym momencie ich życia widzieć promieniowanie prawdy ośrodkowej; ale światło, które z niej wyprowadzali, załamywało się i zabarwiało zależnie od geniusza ich i ich posłannictwa, zależnie od czasu i środowiska. Przeszliśmy przez wtajemniczenie aryjskie wraz z Ramą, bramińskie — z Kryszną, Izydy i Ozyrysa — z kapłanami Tebańskimi. Czy moglibyśmy wobec tego zaprzeczyć, że braminom i kapłanom boga Ammon-Râ nie była znaną zasada duchowa Boga najwyższego, stanowiąca główny dogmat jednobóstwa i jedności przyrody? Niewątpliwie, nie

przypuszczali oni, aby świat zrodził się od razu, jako wynik dzieła chwili czy kaprysu bóstwa, jak to wyobrażali sobie pierwotni nasi teologowie. Naukowo, stopniowo, drogą wyłaniania się i rozwoju, wyprowadzali świat widomy z niewidzialnego, wszechświat z niezbadanych głębin Boga. Pierwotna jedność rodziła dualizm męski i żeński, twórcza dwoistość — żywą trójcę człowieka i wszechświata i tak dalej. Liczby święte tworzyły słowo wiekuiste, rytm i narzędzie boskości. Badane z większą lub mniejszą siłą i jasnością poglądu, wywoływały w umyśle wtajemniczonego pojęcie o budowie wewnętrznej świata na zasadzie zrozumienia własnego ustroju duchowego. W podobny sposób ton właściwy, wydobyty za pomocą uderzenia smyczkiem o płytę szklaną pokrytą piaskiem, rysuje na niej w drobnych rozmiarach — harmonijne formy drgań, napełniających dźwiękowymi swoimi falami rozległe państwo powietrza.

Monoteizm ezoteryczny Egiptu nie wyszedł jednak nigdy poza progi świątyń. Jego nauka święta pozostała przywilejem nielicznej mniejszości. Nieprzyjaciele zewnętrzni kruszyć zaczynali starożytną warownię kultury. W okresie do którego doszliśmy. w XII w. przed Chr. grzęzła Azja w kulcie materii. Indie chyliły się już szybko ku upadkowi. Na brzegach Eufratu i Tygrysu powstawało potężne państwo. Babilon, miasto potwornych rozmiarów oszałamiało kolosalnością swoją ludy koczownicze, wałęsające się dokoła niego.

Królowie asyryjscy głosili, że są władcami czterech stron świata i dążyli do wykreślenia granic państwa swego tam, gdzie kończy się ziemia. Miaż-

dżyli narody, pędzili je masowo na wygnanie, wcielali do swoich armii ludzkich. Brak poszanowania jednostki, brak zasad religijnych, nieokiełznana ambicja cechowały następców Ninusa i Semiramidy. Wiedza kapłanów chaldejskich była głęboka, ale znacznie mniej czysta, mniej wzniosła i mniej owocna niż kapłanów egipskich. W Egipcie nauka cieszyła się najwyższym autorytetem. Kapłaństwo wywierało tam zawsze wpływ hamujący na władzę królewską. Faraonowie pozostawali uczniami kapłanów i nie doszli nigdy do tak ohydnego despotyzmu, jaki cechował królów Babilonu, gdzie — wprost przeciwnie — pokonane kapłaństwo było od początku jedynie narzędziem tyranii. Na jednej z płaskorzeźb Niniwy widać Nemroda, przysadzistego olbrzyma, który rozdziera muskularnym swoim ramieniem młodego lwa, trzymanego w mocnym uścisku. żywy to symbol: w ten właśnie sposób zdusili monarchowie asyryjscy lwa irańskiego, bohaterski naród Zoroastra, wyrzynając jego arcykapłanów i towarzyszy ich — magów, przekupując jego królów. O ile rishi Indyjscy i kapłani egipscy wprowadzili do pewnego stopnia rządy Opatrzności na ziemi dzięki mądrości swojej, rzec można, iż rządy babilońskie były panowaniem Losu, zatem brutalnej i ślepej siły. Babilon stał się w ten sposób tyrańskim środowiskiem anarchii powszechnej, nieruchomym okiem zawieruchy społecznej, ogarniającej Azję; potężnym okiem Losu, zawsze otwartym, czyhającym na narody, aby je pożreć.

Jakże mógł Egipt przeciwstawić się temu potokowi zachłannemu? Omal nie pochłonęli go już Hyksosi. Opierał się bohatersko, nie mogło to je-

dnak trwać wiecznie. Po upływie sześciu wieków nawałnica perska, która nastąpiła po cyklonie babilońskim, zmieść miała z oblicza ziemi świątynie jego i jego faraonów. Zresztą Egipt, posiadający w najwyższym stopniu geniusz wtajemniczania w arkana tajników i utrzymywania duchowych dóbr nabytych, nie miał nigdy ducha prężności i propagandy. Miałyż więc zaginąć wszystkie nagromadzone przezeń skarby jego wiedzy? Znaczna część niewątpliwie została zagrzebana i szkole Aleksandryjskiej udało się wydostać szczątki ich zaledwie. Dwa wszakże narody, różniące się zupełnie rodzajem umysłowości swoich, rozpaliły w ich świątyniach pochodnie swoje o promieniach odmiennych, z których jedna oświetla głębie nieba, a druga oświetla i przekształca ziemię: Izrael i Grecja.

Doniosłe znaczenie narodu izraelskiego dla historii ludzkości uderza na pierwszy rzut oka z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że uosabia on monoteizm; po drugie, że dał początek chrystianizmowi. Opatrznościowy jednak cel posłannictwa Izraela jasnym się staje dla tych jedynie, którzy, badając symbole Starego i Nowego Testamentu, spostrzegają, że mieści się w nich cała tradycja ezoteryczna przeszłości, jakkolwiek w formie często zmienionej — zwłaszcza o ile dotyczy to Starego Testamentu — przez licznych redaktorów i tłumaczy, z których większości obce było ich znaczenie pierwotne. Wówczas dopiero jasną się staje rola Izraela. Naród ten stanowi również ogniwo konieczne pomiędzy starym a nowym cyklem, pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Wynikiem idei jednobóstwa jest zjednoczenie ludzkości pod skrzydłami jednego Boga oraz jednego i tego samego prawa. Dopóki jednak teologie tworzyć sobie będą dziecinne pojęcie o Bogu, a ludzie nauki będą go zapoznawali lub wprost przeczyli jego istnieniu, jedność moralna, społeczna i religijna na naszej planecie pozostanie pobożnym jedynie życzeniem lub też postulatem nauki i religii, niemożliwym do ziszczenia. Możliwą natomiast wyda się ona wówczas tylko, kiedy zasada boska uznana zostanie ezoterycznie i naukowo za klucz świata i życia, człowieka i społeczeństwa w ich rozwoju.

Chrystianizm wreszcie, to znaczy religia Chrystusa, ukaże nam się wówczas tylko w całej swojej wzniosłości i powszechności, kiedy ujawni on nam swoją treść ezoteryczną. Wówczas dopiero pokaże się, że jest on wynikiem wszystkiego, co go poprzedza, jako mieszczący w sobie zasady cele i środki całkowitego odrodzenia ludzkości. Zatem wówczas dopiero, kiedy chrystianizm odsłoni przed nami najgłębsze swoje tajniki, stanie się on tym, czym jest istotnie: religią zapowiedzi i ziszczenia ich, to znaczy wtajemniczenia powszechnego.

Mojżesz, wtajemniczony egipski i kapłan Ozyrysa, był niewątpliwie twórcą monoteizmu. Dzięki niemu zasada ta, ukryta dotychczas pod potrójną zasłoną tajemnicy, wyszła z głębin świątyni, aby wejść w krąg historii. Mojżesz zdobył się na odwagę uczynienia z najwyższej zasady wtajemniczania wyłącznego dogmatu religii narodowej, a zarazem był o tyle przezornym, że wyjawił konsekwencję tego nielicznym tylko wtajemniczonym,

zaś masom narzucił je siłą grozy. Rzecz oczywista, że kierował w tym względzie prorokiem z góry Synaj wzgląd szerszy, branie pod uwagę widnokręgów znacznie dalszych niż przeznaczenie własnego jego narodu. Prawdziwym posłannictwem Izraela, z którego niewielu żydów poza największymi jego prorokami — zdawało sobie sprawę, było stworzenie powszechnej religii ludzkości. Ażeby posłannictwo to mogło zostać spełnionym, musiał zostać pochłoniętym naród, który je uosabiał. Naród żydowski został rozproszony, unicestwiony. Idea Mojżesza i Proroków ostała się i spotęgowała.

Rozwinięta i przekształcona przez chrystianizm, ponowiona przez mahometanizm, jakkolwiek w postaci mniej podniosłej, musiała ona z konieczności narzucić się barbarzyńskiemu Zachodowi, wywrzeć wpływ na Azję nawet. Odtąd już ludzkość nie będzie miała przed sobą innej drogi, chociażby burzyć się miała i walczyć z samą sobą wysiłkami konwulsyjnymi; — zawsze będzie ona krążyła dokoła tej idei ośrodkowej, jak mgławice dokoła słońca, które je wytwarza. Na tym polega wiekopomne dzieło Mojżesza.

Dla urzeczywistnienia tego przedsięwzięcia, najpotężniejszego od czasów przedhistorycznej wędrówki Ariów, znalazł Mojżesz gotowe już narzędzie w plemionach Hebrajczyków, w tych zwłaszcza, które osiedliwszy się w Egipcie, w dolinie Goshen, żyły tu w stanie zawisłości pod nazwą Beni-Jakobów. Miał on też w swoim dziele ustanowienia jednobóstwa poprzedników w osobach koczowniczych królów pokojowych, których przed-

stawia nam Biblia pod mianem patriarchów: Abrahama, Izaaka i Jakuba.

Przyjrzymy się Hebrajczykom tym i tym patriarchom. Postaramy się uwypuklić postać wielkiego ich Proroka na tle miraży pustyni i ciemnych nocy na górze Synaj, wśród których rozlega się ryk gromów legendarnego Jehowy.

Znano ich już od wieków, od tysięcy lat, tych Ibrim, tych koczowników niestrudzonych, wiecznych tych wygnańców [52]). Hebrajowie, pobratymcy Arabów, stanowili, jak wszyscy Semici, produkt dawnego zmieszania rasy białej z rasą czarną. Przeciągali oni wielokrotnie przez północną część Afryki pod mianem Bedonów (Beduinów), ludzi bez dachu i bez łoża, po czym rozbijali namioty swoje w rozległych pustyniach, pomiędzy morzem Czerwonym i zatoką Perską, pomiędzy Eufratem i Palestyną. Ammonici, Elamici czy Edomici — wszyscy ci koczownicy podobni byli wzajem do siebie. Za środek przewozowy służył wszystkim osioł lub wielbłąd, za mieszkanie — namiot, jedynym ich majątkiem były stada, błąkające się jak oni sami i pasące się stale na cudzej ziemi. Niepodległe plemiona te żywiły wstręt — podobnie jak przodkowie ich, Ghiborim, jak pierwotni Celtowie — do ciosanego kamienia, do miast obronnych, do pańszczyzny i do kamiennych świątyń. Mimo to jednak wywierały olbrzymie miasta: Babilon i Niniwaz, kolosalnymi pałacami i tajemnicami, urok nieodparty na tych ludzi na pół dzikich. Wciągnięci do tych więzień kamiennych, chwytani przez żołnierzy królów asyryjskich, wtłaczani przemocą do ich szeregów, upajali się czasem orgiami babi-

lońskimi. Czasem też uwodziły Izraelitów Maobitanki, śmiałe te czarnoskóre kusicielki o oczach jak gwiazdy błyszczących. Pociągały ich one do oddawania czci bożkom ciosanym z kamienia i drzewa, a nawet do uprawiania straszliwego kultu Molocha. Nagle jednak budziła się w nich tęsknota za pustynią i wówczas uciekali. Wracając do dzikich swoich dolin, w których słychać było jedynie ryki dzikich zwierząt, do nieskończonych płaszczyzn, w których kierować się mogli jedynie światłem konstelacji, pod zimnym okiem tych gwiazd, wielbionych przez ich przodków, wstydzili się samych siebie. A jeśli w takich chwilach patriarcha, człowiek natchniony, mówił im o Bogu jedynym, o Elelionie, Aelohimie, Sebaocie, Panu zastępów, który widzi wszystko i karze winowajców, dorosłe te dzieci dzikie i krewkie chyliły głowy i, klękając do modłów, pozwalały kierować sobą jak owieczki.

Powoli też idea wielkiego Aelohima, Boga jedynego, wszechmocnego, wypełniła dusze ich, jak w Padan-Harranie zmierzch zaciera wszystkie nierówności gruntu na niezmierzonej linii widnokręgu, zatapiając barwy i odległości we wspaniałej jednostajności stropu i przetwarzając wszechświat w jednolite morze ciemności, nad którym rozpostarte jest usiane gwiazdami niebo.

Któż to byli owi patriarchowie? Abram, Abraham, czyli ojciec Orham, był królem Uru, miasta chaldejskiego, położonego blisko Babilonu. Asyryjczycy przedstawiali go zgodnie z tradycją — w pozycji siedzącej z miną dobrotliwą [53]). Ta postać prastara występująca w dziejach mitologicznych wszystkich narodów, bowiem cytowana przez Owi-

diusza[54]) jest tą samą, o której mówi Biblia, że wędrowała z kraju Ur do ziemi Chanaańskiej, posłuszna głosowi Przedwiecznego: „Wiekuisty ukazał mu się i rzekł: Jestem bogiem silnym, wszechmocnym. Krocz w prawości przed obliczem moim... Ustanowię przymierze pomiędzy mną a tobą i pomiędzy potomstwem twoim, aby było przymierzem wiekuistym, ażebym był Bogiem twoim i Bogiem potomstwa twojego po tobie“ (Genesis, XVI, 17. XVII, 7).

Ustęp ten, przełożony na język współczesny, oznacza, że wielce starożytny wódz semicki imieniem Abraham, który, jak się zdaje, otrzymać musiał wtajemniczenie z rąk kapłanów chaldejskich, uczuł, że głos wewnętrzny każe mu wieść plemię swoje na Zachód i nakazuje mu cześć dla Aelohima.

Pierwsza sylaba Is imienia Izaaka, zdaje się wskazywać na wtajemniczenie egipskie, natomiast imię Jakuba i Józefa pozwala przypuszczać pochodzenie fenickie. Prawdopodobnym jest bądź co bądź, że ci trzej patriarchowie byli trzema wodzami odrębnych ludów, żyjących w różnych, odległych od siebie epokach. Już znacznie po Mojżeszu złączyła ich legenda izraelska w jedną rodzinę. Z Izaaka zrobiono syna Abrahama, z Jakuba syna Izaaka. Ten sposób symbolizowania ojcostwa duchowego przez ojcostwo fizyczne bardzo był rozpowszechniony u kapłanów starożytnych. Z legendarnej tej genealogii jeden zasadniczy daje się wysnuć wniosek: ciągłość kultu monoteistycznego poprzez wtajemniczonych patriarchów pustyni. Fakt, że ludźmi tymi kierowały głosy wewnętrzne ostrzegawcze, lub że miewali oni objawienia duchowe

w postaci snów, a nawet widzeń na jawie, nie przeczy bynajmniej nauce ezoterycznej, ani powszechnemu prawu psychicznemu, które rządzi duszami i światami. Fakty te przybrały w opowieści biblijnej naiwną formę odwiedzin aniołów, których gości się pod namiotem.

Czy patriarchowie ci mieli głębsze pojęcie o duchowości Boga i o celach religijnych ludzkości? Niewątpliwie. Niedorastając wiedzą pozytywną do poziomu magów chaldejskich i kapłanów egipskich, przewyższyli ich prawdopodobnie podniosłością moralną i szerokością poglądów, będącą wynikiem wolnego życia koczowniczego. Boskiemu porządkowi, jaki zaprowadził Aelohim we wszechświecie, odpowiada u nich ustrój społeczny, oparty na kulcie rodzinnym, na szacunku dla kobiet, na gorącej miłości dla synów, na roztaczaniu opieki nad całym pokoleniem, na gościnności dla obcych. Słowem „wysocy ci ojcowie" są naturalnymi rozjemcami pomiędzy rodziną a pokoleniem. Laska ich patriarchy jest berłem sprawiedliwości. Wywierają wpływ cywilizacyjny i tchną dobrotliwością i pokojem. Tu i owdzie, poprzez legendę o patriarchach przeziera myśl ezoteryczna. Tak np., kiedy w Bethel widzi Jakub we śnie drabinę z Aelohimem u szczytu i aniołami wchodzącymi na jej stopnie i schodzącymi z nich, poznać można w tym widzeniu spopularyzowaną, streszczoną judejską formę widzenia Hermesa i doktryny ewolucji dusz wznoszących się do sfer niebieskich i opadających z nich.

Dwa wersety biblijne ujawniają nam fakt dziejowy wielkiej doniosłości. Mowa w nich o spotkaniu Abrahama z towarzyszem wtajemniczenia. Po zwy-

ciężeniu królów Sodomy i Gomorrhy, udaje się Abraham do Melchysedeka, aby mu złożyć hołd. Miejscem zamieszkania tego króla jest twierdza, która stanie się w następstwie Jerozolimą. „Melchysedek, król Salemu, kazał przynieść chleb i wino. Albowiem był on ofiarnikiem Aelohima, Boga najwyższego. Błogosławi on Abrahama, mówiąc: „Błogosławiony Abram od Boga najwyższego, dzierżawcy nieba i ziemi" (Gen. XIV, 18-19). Król Salemu jest więc arcykapłanem tego samego Boga, co Abraham, który widzi w nim zwierzchnika, mistrza i dzieli z nim chleb i wino w imię Aelohima, co w dawnym Egipcie było znakiem wzajemnego obcowania wtajemniczonych. Istniał zatem węzeł braterstwa, oznaki rozpoznawcze oraz cel wspólny, łączące wielbicieli Aelohima zamieszkałych w głębi Chaldei i w Palestynie, a może nawet i w niektórych świątyniach Egiptu. To sprzysiężenie monoteistyczne czekało już tylko na swojego organizatora.

Tak więc pomiędzy skrzydlatym Bykiem asyryjskim i Sfinksem egipskim, czuwającym z dala nad pustynią, pomiędzy miażdżącą tyranią i nieprzeniknioną tajemnicą inicjacji, posuwają się naprzód wybrane pokolenia Abramitów, Jakobelitów i Beni-Izraelitów. Uciekają one od wyuzdanych uczt babilońskich, przechodzą obok orgii Moabu, potworności Sodomy i Gomorrhy i ohydnego kultu Baala, odwracając się od nich ze wstrętem. Pod opieką patriarchów idzie karawana drogą opromienioną tu i owdzie oazami, znaczoną nielicznymi źródłami i wątłymi palmami. Wije się ona długą, zanikającą wstęgą w bezkresie pustyni, w palących promie-

niach światła dziennego, w purpurze zachodu lub pod płaszczem zmierzchu, a nad wszystkim tym króluje Aelohim. Ani stada, ani kobiety, ani starcy nie znają celu nieskończonej wędrówki. Idą mimo to posłusznym i bezwolnym krokiem wielbłądów. Dokąd idą tak nieustannie? Patriarchowie wiedzą; powie im to Mojżesz.

II

## WTAJEMNICZENIE MOJŻESZA W EGIPCIE — UCIECZKA JEGO DO JETRY

Ramses II był jednym z wielkich władców Egiptu. Syn jego nosił imię Menefty. Zwyczajem egipskim kształcili go kapłani w świątyni Ammon-Râ, w Memfisie, bowiem sztuka panowania uważana była w owym czasie za część sztuki kapłańskiej. Menefta był młodzieńcem skromnym, ciekawym, o inteligencji miernej. Jego pociąg do nauk tajemnych był dość niskiego gatunku, wskutek czego stał się on w następstwie ofiarą czarowników i astrologów pośledniego stopnia. — Jego towarzyszem nauk był młodzieniec o umysłowości silnej, o charakterze dziwnym i zamkniętym w sobie.

Hozarsyf [55]) był kuzynem Menefty, synem księżniczki rodu królewskiego, siostry Ramsesa II. Czy był to syn przybrany czy naturalny? — nie podobna tego dociec [56]). Hozarsyf był nade wszystko synem świątyni, wzrósł bowiem pomiędzy jej kolumnami. Poświęcony przez matkę swoją bogini Izydzie, nosił już w wieku młodzieńczym szaty kapłańskie i w takim charakterze występował na ko-

ronacji faraona, a w procesjach kapłańskich podczas wielkich uroczystości miał na sobie pas kapłański, a w ręku kielich lub kadzielnicę; potem, wewnątrz świątyni, poważny i skupiony, wsłuchany był w hymny święte lub w nauki kapłanów.

Był niskiego wzrostu, miał wygląd pokorny i zamyślony; spod wielkiego czoła patrzyły przenikliwie czarne oczy o orlej bystrości i niepokojącej głębi. Nazywano go „milczącym", tak był zamknięty w sobie, prawie zawsze niemy. Często jąkał się mówiąc, jak gdyby szukał wyrazów lub jak gdyby obawiał się wyjawić swoje myśli. Wydawał się nieśmiałym. Potem nagle wybuchała w jednym słowie, jak błysk gromu, myśl jakaś przerażająca, pozostawiając poza sobą smugę światła. Rozumiano wówczas, że jeśli „milczący" weźmie się kiedykolwiek do dzieła, uczyni to ze straszliwą odwagą. Pomiędzy brwiami jego pogłębiała się już fałda fatalna ludzi, powołanych do zadań przytłaczających swoim ogromem; nad czołem jego zawisła chmura groźna.

Kobiety bały się wzroku młodego tego lewity, wzroku niezgłębionego jak grób, i twarzy jego kamiennej, jak wrota świątyni Izydy. Rzec można, że przewidywały one wroga rodu kobiecego w tym przyszłym przedstawicielu pierwiastka męskiego w religii, w tym, co jest w nim najbezwzględniejszego i najnieprzystępniejszego.

Matka jego, księżniczka rodu królewskiego marzyła dla syna swojego o tronie Faraonów. Hozarsyf był mędrszy od Menefty; mógł żywić nadzieję zyskania tronu przy pomocy kapłanów. Faraonowie wyznaczali, co prawda, następców swoich spomię-

dzy swoich synów; zdarzało się jednak, że po śmierci władcy kapłani unieważniali jego wybór, oczywiście w interesie państwa. Niejednokrotnie odsuwali oni od tronu niegodnych i słabych, aby oddać berło królewskiemu wtajemniczonemu. Już nawet odczuwał Menefta zazdrość o swojego kuzyna; Ramses obserwował go pilnie, niedowierzając milczącemu lewicie.

Pewnego dnia matka Hozarsyfa spotkała syna swojego w Serapeum memfiskim, na olbrzymim placu pełnym obelisków, pilonów trofealnych, który stanowił rodzaj muzeum sławy narodowej pod gołym niebem, dokąd prowadziła aleja sześciuset sfinksów. Na widok królewskiej matki swojej skłonił się młody lewita do ziemi, czekając, wedle zwyczaju, dopóki ona pierwsza nie przemówi.

— Masz przeniknąć tajniki Izydy i Ozyrysa — rzekła. — Przez długi czas nie będę cię widziała, o, synu mój. Nie zapomnij wszakże, iż jesteś ze krwi faraonów i że jestem twoją matką. Rozejrzyj się dokoła siebie... jeśli zechcesz, wszystko to... będzie kiedyś należało do ciebie!

Mówiąc to, obwiodła dokoła gestem wskazującym obeliski, świątynie, Memfis i cały widnokrąg.

Uśmiech pogardliwy przemknął po obliczu Hozarsyfa, gładkim i nieruchomym, jak posąg z brązu.

— Chciałabyś więc — rzekł — abym rządził tym narodem, ubóstwiającym bogów o głowach szakali, ibisów i hijen? Cóż pozostanie za kilka wieków ze wszystkich tych bałwanów?... — Przy tych słowach nachylił się i biorąc garść miałkiego piasku, przepuścił go między cienkimi palcami swo-

imi wobec zdumionej tym ruchem matki: — Tyle oto! — dodał.

— Gardzisz więc religią ojców naszych i nauką naszych kapłanów?

— Przeciwnie! dążę do niej. Ale piramida jest nieruchoma. Należy poruszyć ją z miejsca. Nie będę Faraonem. Ojczyzna moja jest daleko stąd... tam... na puszczy!

— Hozarsyfie! — zawołała księżna tonem wyrzutu — dlaczego bluźnisz? Wiew ognia posiał cię w moje łono, i czuję to, zmiecie cię burza. Wydałam cię na świat i nie znam cię. W imię Ozyrysa, kim jesteś i co zamierzasz czynić?

— Czyż wiadomo to mnie samemu? Ozyrys jedynie wie o tym; może powie mi. Ale daj mi błogosławieństwo twoje, o matko, aby opiekowała się mną Izyda i aby ziemia egipska łaskawą mi była.

Ukląkł Hozarsyf przed matką, skrzyżował kornie ręce na piersiach i pochylił głowę. Matka odpięła kwiat lotosu, który nosiła na czole wedle zwyczaju kobiet ze świątyni i dała mu go powąchać, a widząc, że myśl syna pozostanie wiekuiście tajemnicą dla niej, oddaliła się, szepcąc modlitwy.

Hozarsyf przeszedł zwycięsko przez wszystkie próby, poprzedzające wtajemniczenie Izydy. Hartowna dusza jego i wola żelazna sprawiły, że wydały mu się one zabawką nieledwie. Obdarzony geniuszem matematycznym i umysłem wszechogarniającym, doprowadził do olbrzymiej potęgi sprawność duchową i zdolność operowania liczbami świętymi, których płodny symbolizm i zastosowanie były wówczas nieskończone. Umysł jego, lekceważący rzeczy powierzchowne i przemijające, czuł się

w swoim żywiole jedynie wpośród zasad niewzruszonych. Z wyżyn tych spokojnie i pewnie przenikał wszystko i panował nad wszystkim, nie zdradzając ani pożądań, ani buntu, ani zaciekawienia. Hozarsyf pozostał zagadką zarówno dla matki swojej jak i dla swoich mistrzów. Najbardziej przerażało ich, że był niezłomny i z jednej wykuty bryły jak zasada. Czuli, że nie uda im się ani ugiąć go, ani sprowadzić z raz obranej, dla niego samego nieznanej drogi. Kroczył on po niej tak nieodmiennie, jak krąży ciało niebieskie po niewidzialnej swojej orbicie. Arcykapłan Membra zadawał sobie pytanie, jak wysoko sięgnie ambicja tego młodzieńca, zawarta w duszy jego własnej. Chciał przekonać się o tym. Pewnego dnia niósł Hozarsyf, wraz z trzema innymi kapłanami Ozyrysa, arkę złotą, która poprzedzała arcykapłana na wielkich uroczystościach. Arka ta zawierała dziesięć najtajniejszych ksiąg świątyni, dotyczących magii i sztuki wywoływania duchów.

Kiedy powrócili obaj do świątyni, rzekł Membra do Hozarsyfa:

— Jesteś z krwi królewskiej. Siła twoja i wiedza są ponad wiek twój. Czego pragniesz?

— Niczego, prócz tego — odpowiedział Hozarsyf, kładąc rękę na arce świętej, którą pokrywały błyszczące skrzydła odlanego ze złota krogulca.

— Chcesz zatem zostać arcykapłanem świątyni Ammon-Râ i prorokiem Egiptu?

— Nie; chcę jedynie wiedzieć, co jest zawarte w tych księgach.

— Jakże dowiesz się tego, skoro nikt oprócz kapłana nie może znać ich treści?

— Ozyrys przemawia, jak chce, kiedy chce, i do kogo chce. To, co zawiera arka ta, martwą jest jedynie literą. Jeśli Duch żywy zechce przemówić do mnie, uczyni to.

— Co zamierzasz uczynić w tym celu?

— Czekać i być posłusznym.

Odpowiedzi te, powtórzone Ramsesowi II-mu, spotęgowały jego nieufność. Obawiał się on, aby Hozarsyf nie dążył do objęcia tronu z krzywdą syna jego Menefty. Wydał tedy rozkaz, aby syn jego siostry zamianowany został pisarzem świętym świątyni Ozyrysa. Ważny ten urząd obejmował symbolikę we wszelkich jej postaciach, kosmografię i astronomię; oddalał go wszakże od tronu. Syn królewny poświęcił się z nadzwyczajną gorliwością i najzupełniejszym oddaniem swoim obowiązkom pisarza na usługach świątyni — hierogrammaty, z którymi związana była funkcja nadzorcy rozmaitych nomów czyli prowincji egipskich.

Czy Hozarsyf był istotnie tak dumnym, jak mu przypisywano? Tak, o ile dumą nazwać można, gdy lew uwięziony podnosi głowę i patrzy — poprzez przęsła klatki swojej — na dalekie widnokręgi, nie widząc wcale przyglądających mu się przechodniów. Tak, jeżeli dumą nazwać można, że orzeł na uwięzi drży całym swym upierzeniem i z wyciągniętą szyją i rozpostartymi skrzydłami patrzy na słońce. Jak wszyscy ludzie mocni, powołani do spełnienia wielkich czynów, nie czuł się Hozarsyf zależnym od ślepego Losu; przeświadczony był, że czuwa nad nim tajemnicza Opatrzność, która doprowadzi go do celu.

Podczas pełnienia obowiązków skryba (pisarza)

wysłany został na inspekcję Delty. Hebrajczycy, lennicy egipscy, zamieszkujący w owym czasie dolinę Gossen. obciążeni byli największą pańszczyzną. Ramses II połączył łańcuchem twierdz Peluzjum z Heliopolisem. Wszystkie nomy egipskie miały obowiązek dostarczania zastępów robotniczych do tych olbrzymich prac. I znów najciężej obarczono pod tym względem — Beni-Izraelitów. Pracowali oni zwłaszcza w kamieniołomach i cegielniach. Dumni i niezależni, nie znosili z takim jak tuziemcy poddaniem bata żandarmów egipskich; burzyli się często, a czasem nawet oddawali razy. Kapłan Ozyrysa nie mógł się oprzeć uczuciu sympatii dla tych nieugiętych „o twardym karku“, których Starszyzna, wierna tradycji Abrahamowej, utrzymała bez zastrzeżeń kult jedynego Boga; dla tych ludzi, którzy czcili swoich wodzów, swoich h a g'ów i z a k e n'ów, natomiast opierali się jarzmu i burzyli się przeciwko niesprawiedliwości. Pewnego dnia, widząc żandarma egipskiego, znęcającego się nad bezbronnym Hebrajczykiem, wyrwał okrutnikowi broń i zabił go na miejscu. Czyn ten, dokonany pod wpływem szlachetnego oburzenia, zadecydował o jego życiu. Kapłani Ozyrysa, którzy popełnili zbrodnię zabójstwa, surowo byli sądzeni przez kolegium kapłańskie. Że zaś Faraon podejrzewał już w synu siostry swojej przyszłego przywłaszczyciela tronu, życie Hozarsyfa wisiało na włosku. Wobec tego postanowił on iść na wygnanie, aby tam dobrowolną nałożyć na siebie karę. Pociągała go samotność puszczy, dal nieznana, jego dążenia, przeczucie posłannictwa własnego, a nade wszystko tajemniczy, nieubłagany głos we-

wnętrzny mówił mu: „Idź — tam jest twoje przeznaczenie!“

Poza morzem Czerwonym i półwyspem Synajskim, w krainie Madianitów była świątynia niezależna od kapłanów egipskich. Ziemia ta ciągnęła się szeroką wstęgą zieleni pomiędzy zatoką elamityńską a pustynią Arabii. Z dala poza odnogą morską widać było ciemne zbocza góry Synaj z jej nagim szczytem. Kraj ten, wciśnięty pomiędzy pustynię i morze Czerwone, chroniony przez górę wulkaniczną, odcięty od innych, wolny był od najazdów. Świątynia owa poświęcona była czci Ozyrysa, zarazem jednak czczono tam Boga najwyższego pod nazwą Aelohim.

Bowiem świątynia ta, pochodzenia etiopskiego, była ogniskiem religijnym Arabów, Semitów oraz ludzi rasy czarnej, którzy pragnęli wtajemniczenia. Od wieków już były również Synaj i Horeb tajemniczym środowiskiem kultu jednobóstwa. Sam już widok nagiej i dzikiej wielkości góry, wznoszącej się samotnie pomiędzy Egiptem i Arabią, nasuwał myśl o Bogu jedynym. Liczni Semici odbywali do niej pielgrzymki pobożne celem oddawania czci Aelohimowi. Pozostawali tam po kilka dni, poszcząc i modląc się w pieczarach i przejściach wyżłobionych w zboczach góry Synaj. Przedtem jeszcze oczyszczali się i słuchali nauk w świątyni Madianitów.

W miejscu tym szukał Hozarsyf schronienia.

Arcykapłanem Madianitów, czyli Raglem (dozorcą boskim) był wówczas Jetro [57]). Był to człowiek rasy czarnej [58]), przedstawiciel najczystszego typu rasy etiopskiej, która na 4 czy 5 tysięcy lat

przed Ramsesem panowała w Egipcie i która nie zatraciła swoich tradycji, sięgających najstarszych ras zamieszkałych na kuli ziemskiej. Jetro nie był ani natchnionym, ani też człowiekiem czynu, lecz wielkim mędrcem. Posiadł on skarby wiedzy, nagromadzone zarówno w pamięci swojej, jak w kamiennych bibliotekach swojej świątyni. Nadto był on opiekunem mieszkańców pustyni: Libijczyków, Arabów i Semitów koczowniczych. Wieczni ci tułacze, zawsze ci sami, ze swoim nieuświadomionym dążeniem do Boga jedynego, uosabiali żywioł niezmienny wpośród kultów przemijających i zanikających cywilizacji. Czuło się w nich niejako obecność Wiekuistego, pamięć odległych wieków, wielkie zastępy Aelohima. Jetro był ojcem duchowym tych niepokornych, tych tułaczy, tych niezawisłych. Znał ich duszę, przeczuwał ich przeznaczenie. Kiedy Hozarsyf przyszedł prosić go o schronienie w imię Ozyrysa-Aelohima, przyjął go z otwartymi rękami. Może w tym zbiegu odgadł od razu człowieka wybranego, zrodzonego, aby stać się prorokiem wygnańców, przewodnikiem ludu Bożego.

Hozarsyf chciał poddać się przede wszystkim pokucie, którą prawo wtajemniczonych nakazuje zabójcom. Kapłan Ozyrysa, popełniający zabójstwo, chociażby mimowolne, tracić miał przywilej uprzedniego zmartwychwstania „w świetle Ozyrysa", które zdobył dzięki przebyciu prób wtajemniczania i które wywyższyło go ponad zwykłych ludzi. Aby odpokutować zbrodnię swoją, aby odzyskać światło wewnętrzne, musiał poddać się próbom o wiele okrutniejszym, raz jeszcze przebyć próbę śmierci. Po długotrwałym poście pogrążano pokutnika, za

pomocą napoju specjalnego, w sen letargiczny, po czym składano go do jednego z grobowców w podziemiach świątyni. Pozostawał tam w ciągu dni, czasem nawet tygodni [59]). Przez ten czas miał jakoby odbywać wędrówkę w zaświaty, do Erebu lub do krainy Amenti, gdzie krążą dusze zmarłych, którzy nie są jeszcze oderwani od atmosfery ziemskiej. Szukać tam musiał swojej ofiary, przeżyć jej udręki, uzyskać jej przebaczenie i dopomóc jej do znalezienia drogi do światła. Wówczas dopiero uważano, że odpokutował swoją zbrodnię, wówczas dopiero ciało jego astralne obmyte zostało z plam czarnych, którymi skaził je zatruty oddech i złorzeczenia ofiary. Z tej wędrówki istotnej czy przypuszczalnej łatwo mógł jednak winowajca nie powrócić, i często, kiedy kapłani przychodzili zbudzić pokutnika, zastawali już tylko trupa.

Hozarsyf nie zawahał się poddać tej próbie jak również wielu innym [60]). Pod wrażeniem popełnionej zbrodni zabójstwa zrozumiał zasadniczy, niezmienny charakter pewnych praw moralnych i zdał sobie sprawę z głębokiego zamętu, jaki przekroczenie ich wywołuje na dnie sumienia. Z całym też zaparciem się złożył samego siebie w ofierze Ozyrysowi, błagając, aby Bóg, w razie gdyby powrócić miał do życia ziemskiego, natchnął go siłą objawienia światu zakonu sprawiedliwości. Po obudzeniu się z groźnego letargu w podziemiach świątyni Madianitów, poczuł, że jest innym człowiekiem.

Cała jego przeszłość jak gdyby oderwała się od niego; Egipt przestał być jego ojczyzną; bezmiar pustyni z jej tułaczami koczownikami roztaczał się przed nim jako nowe pole działania.

Patrzył na górę Aelohima na widnokręgu i po raz pierwszy, jak wizja burzy w mgłach spowijających Synaj, błysnęła w umyśle jego idea własnego jego posłannictwa: urobić z tych pokoleń koczujących lud wojowniczy, który będzie przedstawicielem zakonu Boga najwyższego wpośród kultów bałwochwalczych i bezrządu narodów — lud, który przekaże przyszłym wiekom prawdę opieczętowaną w złotej arce wtajemniczenia.

W dniu tym dla zaznaczenia nowej, rozpoczynającej się w jego życiu ery przyjął Hozarsyf imię Mojżesza, co znaczy: Zbawiony.

III

## SEFER-BERESZYT

Mojżesz zaślubił Seforę, córkę Jetry i przebywał przez długie lata przy mędrcu Madianitów. Dzięki tradycjom etiopskim i chaldejskim, które znalazł w świątyni, mógł dopełnić i skontrolować wiedzę, nabytą w świątyniach egipskich, sięgnąć okiem do najstarszych okresów ludzkości i przenieść się drogą indukcji na najdalsze widnokręgi przyszłości. W świątyni Jetry znalazł dwie księgi poświęcone kosmogonii i przytoczone w Księdze Rodzaju: wojny Jehowy i pokolenia Adama. Pogrążył się w studiowaniu ich.

Dzieło, które obmyślał, wymagało wielkiej wytrwałości i mocy. Przed nim już Rama, Kryszna, Hermes, Zoroaster, Fo-Hi stworzyli religię dla ludów; Mojżesz zamierzał stworzyć lud dla religii wiekuistej. Śmiały ten, nowy zupełnie i tak olbrzymi zamiar wymagał podstawy potężnej. W tym właśnie celu napisał Mojżesz swój Sefer-Bereszyt, swoją Księgę Zasad, treściwą syntezę dawnej wiedzy i ramy wiedzy przyszłej, klucz taj-

ników, pochodnię wtajemniczonych, ognisko zestrzelające cały naród.

Spróbujmy rozpatrzeć, czym była Księga Rodzaju w mózgu Mojżesza. Niewątpliwie promieniowała ona w umyśle proroka innym światłem, obejmowała nierównie szersze światy, aniżeli dziecięcy świat i poziomy szmat ziemi, które ukazują nam się w greckim przekładzie Septuaginty [61]) lub w przekładzie łacińskim św. Hieronima!

Współczesny wykład Pisma Świętego rozpowszechnił mniemanie, jakoby Księga Rodzaju nie była dziełem Mojżesza, że prorok ten mógł wcale nie istnieć nawet i być postacią czysto legendarną, sfabrykowaną w cztery lub pięć wieków później przez kapłanów żydowskich, którzy chcieli tym sposobem nadać sobie cechy pochodzenia boskiego. Pogląd swój opiera krytyka współczesna na tej okoliczności, że Księga Rodzaju składa się z odmiennych fragmentów (elohistycznych i jehowistycznych) sklejonych razem i że obecna jej redakcja sporządzona została co najmniej w cztery wieki po epoce, w której Izraelici wyszli z Egiptu.

Ustalone przez krytykę współczesną i posiadane przez nas fakty co do okresu ostatecznej redakcji tekstów, są ścisłe; wnioski wszakże, wyprowadzane z nich przez nią, są dowolne i nielogiczne. Z tego, co Elohista i Jehowista pisali w czterysta łat po wyjściu Hebrejczyków z Egiptu, nie wypływa bynajmniej, aby byli oni twórcami Księgi Rodzaju i aby nie opracowali dokumentu dawniejszego, źle może zrozumianego. Z tego, że Pięcioksiąg daje nam opowieść legendarną o życiu Mojżesza, nie wpływa bynajmniej, aby nie zawierał

on nic prawdziwego. Postać Mojżesza nabiera życia, a całe cudowne jego dzieje stają się zrozumiałymi z chwilą, kiedy zaczynamy przenosić go do rodzimego jego środowiska: do świątyni słonecznej w Memfisie. I wreszcie, głębie samej Księgi Rodzaju odsłaniają się dopiero przy świetle pochodni, zapożyczonych od wtajemniczenia Izydy i Ozyrysa.

Nie podobna zbudować religii bez twórcy jej. Sędziowie, Prorocy, cała historia narodu izraelskiego są dowodem istnienia Mojżesza; Chrystusa nawet nie podobna wyobrazić sobie bez niego. Księga Rodzaju zawiera samą istotę tradycji mozaistycznej. Bez względu na przeistoczenia, jakim uległa, zawierać musi czcigodna mumia ta pod nawarstwieniem pyłu wieków i pod opaskami kapłańskimi, ideę podstawową, żywą myśl, testament proroka izraelskiego.

Naród izraelski skupia się tak samo niezaprzeczenie i tak samo nieuchronnie dokoła Mojżesza, jak ziemia krąży dokoła słońca. —

Ustaliwszy wszakże fakt ten, zbadać należałoby jeszcze, jakie były idee podstawowe Księgi Rodzaju i co przekazać chciał Mojżesz potomności, dając jej tajemny testament w Sefer-Bereszyt. Zagadnienie to może być rozwiązane jedynie ze stanowiska ezoterycznego. Przedstawia się ono w sposób następujący: umysłowość Mojżesza, jako wtajemniczonego egipskiego, musiała stać na wysokości nauki egipskiej, która — podobnie jak nasza — przyjmowała niezmienność praw, rządzących wszechświatem, oraz stopniowy rozwój światów i której pojęcia o duszy i przyrodzie niewidzialnej były rozległe, dokładne i wyrozumowane. Jeśli ta-

ką była wiedza Mojżesza — a jakże mogła nie stać na tej wyżynie wiedza Ozyrysowego kapłana? — jak można ją pogodzić z dziecinnie naiwnymi pojęciami księgi Rodzaju o stworzeniu świata i powstaniu człowieka? Czyżby historia ta, która, jeśli brać ją będziemy dosłownie, wywoła dzisiaj uśmiech na twarzy ucznia szkoły średniej, nie miała zawierać głębokiego znaczenia symbolicznego? I czyżby nie miał istnieć klucz do zrozumienia go? Jakież jest to znaczenie? Gdzie znaleźć klucz do niego?

Klucz ten znajduje się: 1° w symbolice egipskiej, 2° w symbolice wszystkich religii starożytnego cyklu, 3° w syntezie nauki wtajemniczonych, takiej, jaka jest wypływem porównawczego nauczania ezoterycznego, począwszy od Indii wedyjskich aż do wtajemniczonych chrześcijan pierwszych wieków.

Kapłani egipscy — mówią autorzy greccy — mieli trzy sposoby wypowiadania swoich myśli. „Pierwszy był jasny i prosty, drugi — symboliczny język przenośni, trzeci — święty i hieroglificzny. Ten sam wyraz mógł wedle woli ich przybierać znaczenie właściwe, przenośne lub duchowe. Takim był duch ich języka. Heraklit doskonale wyraził tę różnicę, określając ją epitetami: mówiący, znaczący i ukrywający“ [12]).

W naukach teogonicznych i kosmogonicznych używali zawsze kapłani egipscy trzeciego sposobu pisania. Hieroglify ich miały zawsze trzy równoległe wzajem sobie odpowiadające znaczenia. Dwu ostatnich — nie można było zrozumieć bez klucza. Zagadkowy ten i ukryty sposób pisania związany

był z podstawowym dogmatem doktryny Hermesa, w myśl którego jedno i to samo prawo rządzi światem natury, światem ludzkim i światem boskim. Język ten, zdumiewająco zwięzły, niezrozumiały dla prostaków, szczególnie wymowny był dla wyznawców. Za pomocą jednego tylko znaku uzmysławiał on zasady, przyczyny i skutki, promieniujące z bóstwa na ślepą przyrodę, na świadomość ludzką i na świat czystych duchów. Dzięki pismu temu ogarniał wyznawca jednym rzutem oka wszystkie trzy światy.

Nie ulega wątpliwości, wobec poziomu naukowego przygotowania Mojżesza, że pisał on Księgę Rodzaju hieroglifami egipskimi w trojakim znaczeniu. Klucze do zrozumienia jej oraz objaśnienie ustne przekazał on swoim następcom. Kiedy potem, w epoce Salomona, przełożono księgę Rodzaju na język fenicki, kiedy po niewoli babilońskiej Ezdrasz ułożył ją w języku aramejsko-chaldejskim posiadali kapłani żydowscy klucze te w stopniu wielce niedostatecznym. Kiedy wreszcie przyszli greccy tłumacze Biblii, mieli oni już słabe zaledwie pojęcie o znaczeniu ezoterycznym tekstów. Święty Hieronim, tłumacząc tekst hebrajski na język łaciński, nie mógł — pomimo najszczerszych swoich zamierzeń i pomimo wielkiego swojego umysłu — dotrzeć do znaczenia pierwotnego; a gdyby nawet był to uczynił, musiałby zataić je. Słowem, czytając Księgę Rodzaju w przekładach, mamy tylko jej znaczenie pierwotne, niższe. Nawet teologowie i egzegeci, ortodoksi, czy wolnomyśliciele, czy chcą czy nie chcą, widzą tekst hebrajski jedynie poprzez V u l g a t ę. Znaczenie porów-

nawcze i wyższe, to znaczy głębokie i istotne, zatraca się dla nich. Pozostaje ono wszakże tajemniczo ukryte w tekście hebrajskim, którego źródłosłowów szukać należałoby w świętym języku świątyń, przeistoczonym przez Mojżesza. W języku tym każda samogłoska i każda spółgłoska miała znaczenie wszechobejmujące, zależnie od dźwiękowej wartości litery oraz stanu duszy człowieka, który ją wypowiada. Dla ludzi, obdarzonych głębszą intuicją, ukryte znaczenie to wytryska czasem z tekstu, olśniewając ich jak błyskawica; dla wtajemniczonych jaśnieje w budowie fonetycznej słów użytych lub stworzonych przez Mojżesza: w głoskach magicznych, w których wtajemniczony w świątyni Ozyrysa odlewał myśl swoją, jak dźwięczny metal w formie doskonałej. Dzięki badaniu tej fonetyki, noszącej na sobie piętno świętego języka świątyń starożytnych, dzięki kluczom, których nam dostarcza Kabała, i których część sięga Mojżesza, wreszcie dzięki porównawczemu ezoteryzmowi, jesteśmy dzisiaj w możności rozpoznać i odtworzyć prawdziwą Księgę Rodzaju. Tą drogą, myśl Mojżesza wybłyśnie jak złoto z ogniska wieków, z mętów pierwotnej teologii i z popiołów krytyki negatywnej *3).

Dwa przykłady uwydatnią jaskrawie, czym był język święty starożytnych świątyń i w jaki sposób trojakie te znaczenia odpowiadają sobie w symbolach egipskich i w symbolach Księgi Rodzaju. Na licznych nader pomnikach egipskich powtarza się wyobrażenie kobiety uwieńczonej, trzymającej w jednej ręce krzyż — symbol wiecznego życia, w drugiej — berło w kształcie kwiatu lotosu — symbol

wtajemniczenia. Jest to bogini I z y d a. Otóż Izyda ma znaczenie trojakie. W znaczeniu właściwym uosabia ona Kobietę, a tym samym żywioł żeński we wszechświecie. Porównawczo symbolizuje ona przyrodę ziemską z całą jej potęgą twórczą. W najwyższym znaczeniu jest to natura niebiańska, niewidzialna, właściwy żywioł dusz i duchów, światło duchowe, rozum, jedyne źródło wtajemniczenia. — Symbolem, odpowiadającym Izydzie w Księdze Rodzaju i w umysłowości judeo chrześcijańskiej, jest EWA, Hewa, Kobieta wiekuista. Ewa ta jest nie tylko połowicą Adama, jest ona też małżonką Boga. Stanowi ona trzy czwarte jego istoty. Bowiem imię wiekuistego IEVE, które przerobiliśmy niewłaściwie na Jehowa i Jahwe, składa się z przystawki J o d oraz imienia Ewa. Arcykapłan Jerozolimy wymawiał raz do roku imię boskie, wymawiając je litera po literze w sposób taki: J o d, h e. w a u, h e. Pierwsza wyrażała myśl boską [64]) i nauki teogoniczne; trzy litery imienia Ewy wyrażały trzy państwa natury [66]), trzy światy, w które wciela się ta myśl, a tym samym nauki kosmogoniczne, psychiczne i fizyczne, które im odpowiadają [67]).

„Niewypowiedzialny“ zawiera więc w głębokiej treści swojej pierwiastek wiekuiście męski i pierwiastek wiekuiście kobiecy. Nierozerwalna spójnia ich składa się na potęgę jego i jego tajemniczość. Tego właśnie Mojżesz, wróg zaklęty wszelkich podobizn bożych, nie mówił ludowi, zawarł to wszakże w przenośni w składni imienia bożego i wyjaśnił wyznawcom swoim. Tak więc przyroda, osłonięta w kulcie żydowskim, ukryta jest w samym imieniu

Boga. Małżonka Adama, kobieta ciekawa i czarująca winowajczyni, ujawnia nam ukrytą pokrewność swoją z Izydą ziemską i boską, matką bogów, która w głębi łona swojego ukazuje wiry dusz i gwiazd.

Inny przykład. Istotą, odgrywającą wielką rolę w historii Adama i Ewy, jest wąż. Księga Rodzaju nazywa go N a h a s z. Jakie znaczenie miał wąż w świątyniach starożytnych? Tajniki Indii, Egiptu i Grecji odpowiadają na to pytanie jednogłośnie: Wąż, zwinięty kolisto, oznacza życie wszechświata, którego czynnikiem czarodziejskim jest światło astralne. Nadto w znaczeniu głębszym Nahasz oznacza siłę, która wprawia to życie w ruch, siłę przyciągania osobniczego, w której Geoffroy de Saint-Hilaire dopatrywał się przyczyny ciążenia powszechnego. Grecy zwali ją Erosem, Miłością czy Pożądaniem. —

Zastosujmy teraz dwa te znaczenia do historii Adama, Ewy i węża, a zobaczymy, że grzech pierwszego stadła, słynny grzech pierworodny staje się od razu wciągnięciem natury boskiej i przyrody wszechświata z jej państwami, rodzajami i gatunkami do potężnego niewzruszonego koła życia.

Dwa te przykłady umożliwiły nam pierwszy rzut oka na głębiny mojżeszowej Księgi Rodzaju.

Już uchylenie tego rąbka wskazuje nam, czym była kosmogonia dla wtajemniczonego starożytności i co ją odróżniało od kosmogonii we współczesnym znaczeniu tego wyrazu.

Dla nauki współczesnej kosmogonia jest jedynie kosmografią. Znajdziemy w niej opis widzialnego wszechświata oraz badanie łańcucha przyczyn

i skutków fizycznych w danej sferze. Będzie to np. system planetarny Laplace'a, w którym podana jest teoria układu słonecznego jako wynik ruchów planetarnych i wzajemnego oddziaływania planet, co jest czystą hipotezą. Będzie to także historia ziemi, której świadectwem nieodpartym są nawarstwienia gruntu. Nauce starożytnej nie były obce te dzieje rozwoju widzialnego wszechświata, a jeśli nawet jej pojęcia o nim mniej były ścisłe, aniżeli pojęcia nauki współczesnej, sformułowała ona jednak intuicyjnie prawa zasadnicze, tym rozwojem rządzące.

Dla mędrców Indii i Egiptu był to wszakże zewnętrzny tylko pozór świata, jego ruch odbity. Właściwego jego wyjaśnienia szukali oni w jego obrazie wewnętrznym, w jego ruchu pierwotnym i bezpośrednim. Znajdowali je w innym układzie praw, ujawniającym się umysłowi naszemu. Dla wiedzy starożytnej nie był wszechświat nieskończony martwą jedynie materią, podlegającą prawom mechanicznym, lecz całością żywą, rozumną, posiadającą duszę i wolę. Wielki ten żywy twór święty posiadał niezliczone organy, odpowiadające nieskończonym jego władzom. Jak poruszenia ciała ludzkiego są wynikiem duszy myślącej i działającej woli — tak samo w pojęciu nauki starożytnej widzialny układ wszechświata był jedynie odbiciem układu niewidzialnego, to znaczy sił kosmogonicznych i monad duchowych państw, rodzajów, gatunków, które przez nieustanną swoją inwolucję — wstępowanie w materię, powodują ewolucję — rozwój życia. W przeciwieństwie do nauki współ-

czesnej, rozpatrującej jedynie stronę zewnętrzną wszechświata, skorupę ziemską, miała na celu nauka świątyń starożytnych ujawnienie jego strony wewnętrznej, wykrycie tajemnych jego sprężyn. Nie wyprowadzała ona intelektu z materii, lecz materię z intelektu. W jej pojęciu nie rodził się wszechświat ze ślepego krążenia atomów, lecz przeciwnie, drganie duszy wszechświata rodziło atomy. Słowem, drogą jej było zakreślanie kół współśrodkowych, od całości wszechświata do szczegółów, od świata Niewidzialnego do Widzialnego, od Ducha czystego do Substancji organicznej, od Boga do człowieka. Ten porządek zstępny Sił i Dusz, odwrotnie proporcjonalny do porządku wstępnego życia i Ciał, stanowił ontologię czyli naukę zasad umysłowych i był podstawą kosmogonii.

Wszystkie wielkie wtajemniczenia Indii, Egiptu, Judei i Grecji, wtajemniczenie Kryszny, Hermesa, Mojżesza i Orfeusza znały pod rozmaitymi postaciami ten układ zasad, potęg, dusz, pokoleń, zstępujących z pra-przyczyny z Ojca niewypowiedzianego.

Porządek zstępny wcieleń jest współrzędny z porządkiem wstępnym żywotów i stanowi jedyne jego wytłumaczenie. Zstępność (inwolucja) wytwarza rozwój (ewolucję) i tłumaczy ją.

W Grecji świątynie męskie i doryckie, Jupitera i Apollina, zwłaszcza świątynia Delfijska, były jedynymi, które znały dokładnie układ zstępny. Świątynie Jońskie, czyli żeńskie, znały go tylko w przybliżeniu. Ponieważ cała cywilizacja grecka była jońską, nauka i znajomość układu doryckiego zatracały się w niej coraz bardziej. Niezaprzeczonym

jest wszakże faktem, że jej wielcy wtajemniczeni, jej bohaterowie i jej filozofowie, od Orfeusza do Pytagorasa, od Pytagorasa do Platona i od Platona do szkoły Aleksandryjskiej ściśle związani są z tym układem. Wszyscy oni uznali, że duchowym ich przywódcą był Hermes.

Powróćmy do Księgi Rodzaju. W pojęciu Mojżesza, również duchowego syna Hermesa, tworzyło dziesięć pierwszych jej rozdziałów istotną ontologię podług porządku i pokrewności zasad. Wszystko, co się zaczyna, musi mieć koniec. Księga Rodzaju opisuje zarazem ewolucję w czasie i tworzenie w wieczności, jedynie godne Boga.

Zachowuję sobie do *księgi o Pytagorasie* danie żywego obrazu teogonii i kosmogonii ezoterycznej, w ramach mniej oderwanych niż Mojżeszowe i bliższych duchowi współczesnemu. Znaczenie tej kosmogonii pytagorejskiej w myśl wtajemniczenia orficznego i świątyń Apollina będzie — pomimo formy politeistycznej, pomimo nieskończonej różnorodności symbolów, — zupełnie takie same jak proroka Izraela. U Pytagorasa wyjaśniać je będzie do pewnego stopnia naturalne jego dopełnienie: doktryna duszy i jej ewolucji. Uczono jej w świątyniach greckich pod symboliką mytu o Persefonie. Nazywano go także *ziemską i niebieską historią Psyche.* Historii tej, odpowiadającej temu, co chrystianizm nazywa *Odkupieniem,* brak zupełnie w starym Testamencie. Nie dlatego brak jej tam, aby Mojżesz i prorocy nie znali jej, lecz dlatego, że uważali ją za nazbyt wzniosłą do nauczania powszechnego i zachowywali ją dla tradycji ustnej wtajemniczonych. Bo-

ska Psyche pozostanie przez długi czas ukrytą pod symbolami hermetycznymi Izraela, aby potem wcielić się w świetlaną, uduchowioną postać Chrystusa.

Kosmogonię Mojżeszową cechuje szorstka zwięzłość ducha semickiego i ścisłość matematyczna ducha egipskiego. Styl opowiadania przypomina postaci zdobiące wnętrze grobowców królewskich: proste, suche i surowe; twarda ich nagość kryje nieprzeniknioną tajemnicę. Całość przypomina budowle cyklopiczne; tu i owdzie wszakże, jak wybuch lawy spomiędzy zwałów olbrzymich, wytryska myśl Mojżesza z nieokiełznaną gwałtownością ognia pierwotnego spomiędzy niejasnych wersetów tłumaczy. W pierwszych nieporównanie wspaniałych rozdziałach czuje się tchnienie Aelohima, odwracającego jedną po drugiej ciężkie karty wszechświata.

Przed rozstaniem się z nimi, rzućmy raz jeszcze okiem na niektóre z potężnych hieroglifów, będących dziełem proroka z góry Synaj. Niby wrota świątyni podziemnej, otwiera każdy z nich dostęp do galerii prawd tajemnych, oświetlających nieruchomym światłem swoim szeregi światów i czasów. Spróbujmy dotrzeć do nich zapomocą kluczy wtajemniczenia. Postarajmy się poznać dziwne te symbole, te formuły magiczne w ich sile odtwarzającej; poznać je takimi, jakimi widział je wtajemniczony w świątyni Ozyrysa, gdy wytryskiwały one ognistymi zgłoskami z tygla jego myśli.

W krypcie świątyni Jetry siedzi na jednym z sarkofagów Mojżesz, pogrążony w dumaniu samotnym. Mury pokryte są hieroglifami i malowidłami, wyobrażającymi imiona i postaci bóstw wszystkich

ludów na ziemi. Symbole te streszczają historie okresów zamierzchłych i przepowiadają okresy przyszłe. Lampa oliwna, umieszczona na ziemi, słabo oświetla te znaki, z których każdy własnym przemawia językiem. Samotny myśliciel nie widzi nic wszakże ze świata zewnętrznego; szuka w samym sobie Słowa Księgi swojej; formy swojego dzieła, Słowa, które stanie się Czynem. Lampa zgasła. Ale przed oczami jego duszy, w ciemności podziemi, jaśnieje ognistymi zgłoskami wypisane słowo:

IEWE.

Pierwsza litera „I" jest białości światła, — trzy pozostałe błyszczą jak ogień barwny, w którym przelewają się wszystkie kolory tęczy. Jakie życie dziwne w tych literach! W pierwszej dostrzega Mojżesz żywioł męski, Ozyrysa, Ducha twórczego, — w Ewie zdolność poczynania, — Izydę niebiańską, która jest jej częścią.

W ten sposób rozwijają się i układają władze boskie, które mieszczą w sobie wszystkie światy w potędze. Doskonały zespół Ojca i niewysłowionej Matki rodzi Syna, Słowo żywe, tworzące wszechświat. Oto tajemnica tajemnic, niedostępna dla zmysłów, lecz przemawiająca znakiem Wiekuistego, jak Duch przemawia do Ducha. A święty tetragram błyszczy światłem coraz mocniejszym. Mojżesz widzi, jak tryskają z niego wielkimi wybłyskami trzy światy, wszystkie państwa natury i wzniosły układ nauk. Skupia się wówczas pałający wzrok jego na męskim znaku Ducha twórczego. Ducha tego wzy-

wa, aby objawił mu porządek tworzenia i aby wola jego najwyższa natchnęła go siłą zrodzenia własnego jego dzieła, wzorowanego na długim wpatrywaniu się w dzieło Wiekuistego. I oto w mrokach podziemia wybłyskuje inne imię boskie:

AELOHIM.

Oznacza ono dla wtajemniczonego: On — Bogowie, Bóg Bogów[68]).

Nie jest to już Istota zwarta w sobie samej i w Absolucie, lecz władca światów, którego myśl rozkwita milionami gwiazd, ruchomych sfer zawieszonych we wszechświecie. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię“. Niebiosa te były wszakże zrazu tylko pojęciem czasu i przestrzeni bez kresu, w których panowała pustka i milczenie“. „I tchnienie Boga unosiło się nad powierzchnią przepaści“ [69]). Co wyda nasampierw jego łono? Słońce? Ziemię? Mgławicę? Substancję jakąś świata widzialnego? Nie. Tym, co nasampierw zrodziło łono jego, była Aur — Światłość. Ale światłość ta nie jest światłem fizycznym; jest to światłość duchowa, którą zrodziło drgnienie Izydy w łonie Nieskończoności; dusza wszechświata, światło astralne, substancja, która tworzy dusze i w której rozwijają się one jak we fluidzie lotnym, żywioł subtelny, poprzez który przenosi się myśl na przestrzenie nieskończone; światłość boska, która poprzedzała wszystkie słońca i z nich się wyłaniała. Zrazu rozlewa ona się w Bezmiarze; jest to potężny wydech Boga; potem zwiera się ruchem miłosnym w samej sobie, głęboki wdech Przedwiecznego.

W falach eteru boskiego drgają, niby pod osłoną przejrzystą, formy astralne światów i istot. A wszystko to streszcza się dla Maga — proroka w słowach, które wypowiada on i które świecą w ciemnościach zgłoskami błyszczącymi: „RUA AELOHIM AUR“ [70]).

„Niech będzie Światłość i stała się Światłość“. Tchnienie Aelohima jest światłością!

Z łona pierwotnego tego światła niematerialnego wytryskuje pierwszych sześć dni Tworzenia, zatem: nasiona, pierwiastki, kształty, dusze życia wszechrzeczy. To Wszechświat w potędze, przed ukształtowaniem, w Duchu poczęty. A jakież jest ostatnie słowo Tworzenia, formuła, streszczająca Istotę w czynie, Słowo żywe, w którym ujawnia się pierwsza i ostatnia myśl Istoty doskonałej. To:

ADAM EWA.

M ę ż c z y z n a — K o b i e t a. Symbol ten nie wyobraża bynajmniej, jak uczy kościół i jak sądzą nasi wykładacze Pisma świętego, pierwszego stadła ludzkiego na ziemi, ale Boga czynnego we wszechświecie oraz symbol rodzaju ludzkiego; Ludzkość wszechświata poprzez wszystkie nieba. „Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje; stworzył go mężczyzną i niewiastą“. Ta para boska jest słowem powszechnym, którym Jewe objawia własną naturę poprzez światy. Sferą, którą zamieszkuje on pierwotnie i którą Mojżesz ogarnia potęgą myśli swojej, nie jest ogród Edenu, ów legendarny raj ziemski, lecz przejściowa sfera bezkresna Zoroastra, nad — ziemia Platona, powszechne państwo

niebieskie, Heden, Hadama, substancja wszystkich ziem. Ale jaką będzie ewolucja Ludzkości w czasie i przestrzeni? Mojżesz widzi ją w postaci streszczonej w historii upadku. W Księdze Rodzaju Psyche, Dusza ludzka, zwie się A i s z a, odmiana imienia Ewy[71]). Jej ojczyzną jest S z a m a i m, niebo. Żyje ona w nim szczęśliwa w eterze boskim, lecz nieświadoma siebie samej. Cieszy się niebem, nie rozumiejąc go, albowiem, aby zrozumieć je, należy zapomnieć o nim i znów wskrzesić w sobie pamięć jego; aby pokochać je, należy utracić je i odzyskać ponownie. Przez cierpienie tylko zdobędzie ona owo poznanie; dopiero po upadku zrozumie. O ileż głębszym i bardziej tragicznym jest ten upadek, aniżeli ów z Biblii dziecięcej, którą czytamy: Pociągnięta żądzą poznania ku otchłani mrocznej, spada Aisza... Przestaje być duszą czystą, mającą jedynie ciało gwiazdowe i żywiącą się boskim eterem. Przyodziewa się w ciało materialne i wchodzi w krąg pokoleń. Przechodzi nie przez jedno wcielenie, lecz przez setki, tysiące wcieleń, w ciała coraz grubsze, zależnie od planet, które zamieszkuje. Spada ze świata w świat... Spada i zapomina... Czarna zasłona zakrywa oko jej duszy. Tli jeszcze w niej iskierka słabego i bladego jak utracona nadzieja wspomnienia dawnego szczęścia; w grubej tkance materii zatraca się boska świadomość, zaciemnia się pamięć nieba. Z iskierki tej ma się ona odrodzić i przetworzyć.

Tak, Aisza żyje jeszcze w tej parze istot nagich, leżących bezbronnie na ziemi dzikiej, pod wrogim niebem, które rozdziera ryk gromu. Raj utracony? — Przed nią, za nią, bezmiar osłoniętego nie-

ba! Tak rozpatruje Mojżesz pokolenia Adama we wszechświecie [72]), a potem przeznaczenia człowieka na ziemi. Widzi okresy minione i teraźniejszość. W Aiszy ziemskiej, w duszy ludzkości, poczucie Boga jaśniało niegdyś wraz z ogniem Agni, w Krainie Kusz, na zboczach Himalajów.

Lecz oto na wygaśnięciu jest dusza ludzkości, tonąca w bałwochwalstwie, opanowana przez żądze piekielne, zdławiona przez tyranię asyryjską, wpośród ludów zwaśnionych i bogów wzajem się pożerających. Mojżesz przysięga sobie, że ją wskrzesi przez ustanowienie kultu Aelohima.

Ludzkość cała, podobnie jak człowiek każdy, powinnaby być podobizną Iewy. Gdzie jednak znaleźć naród, który będzie jego wcieleniem i żywym słowem ludzkości?

Tedy Mojżesz, powziąwszy myśl księgi swojej i dzieła swojego, zgłębiwszy mroki duszy ludzkiej, wypowiada wojnę Ewie ziemskiej, naturze słabej i zepsutej. Dla zwalczenia jej i podniesienia z upadku wzywa Ducha, Ogień pierwotny i wszechpotężny, Iewe, do którego źródła wzniósł się powtórnie. Czuje, że wybłyski jego rozżarzają go i hartują, jak stal. Jego imię jest Wola.

I w czarnej ciszy podziemia słyszy Mojżesz głos. Wychodzi on z głębin jego sumienia, drga jak światło i mówi: „Idź na górę Pana, na Horeb“.

IV

## WIDZENIE NA GÓRZE SYNAJ

Ciemna była bryła granitowa, tak naga, tak poszarpana biegiem wód pod olśniewającymi potokami słońca, iż rzekłbyś, poryta błyskawicami i wyrzeźbiona przez pioruny. To szczyt Synaju, tron Aelohima, — mówią synowie pustyni. Naprzeciw niej niższa góra, skały Serbalu, dzikie też i urwiste. We wnętrzu ich kopalnie miedzi, pieczary. Pomiędzy dwiema tymi górami ciemna dolina, chaotyczne zbiorowisko głazów, zwane przez Arabów Horeb, czyli Ereb z legendy semickiej. Ponura jest ta dolina smutku, kiedy zapadnie w niej noc, przyspieszona cieniem, kładącym się od Synaju; bardziej jeszcze ponura, kiedy szczyt góry spowije szyszak chmur, spod których groźne strzelają błyski. Wicher straszliwy dmie wówczas w ciasnym przesmyku. Wieść idzie, że Aleohim obala tam śmiałków, którzy ważą się walczyć z nim i ciska ich w przepaście, gdzie roztapiają się nawałnice. Tam również, mówią Madianici, błąkają się złowrogie cienie olbrzymów, R e f a i n, druzgoczące skały i obalające je na tych, którzy próbują we-

drzeć się do miejsca świętego. Tradycja ludowa utrzymuje też, że Bóg Synaju ukazuje się czasem w słupie ognistym, niby głowa Meduzy o orlich lotkach. Biada tym, którzy ujrzą jego oblicze. Widzieć go — znaczy umrzeć.

Tak opowiadali koczownicy wieczorami, siedząc i gawędząc pod namiotem, kiedy wielbłądy i niewiasty sen już zmorzył. Faktem jest, że tylko najśmielsi spośród wtajemniczonych Jetry wspinali się aż do jaskini Serbalu i pozostawali tam szereg dni, poświęconych postom i modlitwom. Mędrcy z Idumei czerpali tam natchnienie. Było to miejsce, poświęcone od niepamiętnych czasów widzeniom nadziemskim, Elohimom czyli duchom świetlanym. Ani jeden kapłan, ani jeden myśliwy nie byłby się zgodził poprowadzić tam pielgrzyma.

Mojżesz szedł nieustraszony w górę przez wąwóz Horebu. Przeszedł on bez lęku w sercu przez dolinę śmierci i przez jej zwaliska skał. Wtajemniczenie ma, jak wszelki wysiłek ludzki, swoje okresy pokory i dumy. Wdzierając się po stopniach góry świętej, stanął Mojżesz u szczytu dumy, bowiem dotarł na wyżyny potęgi ludzkiej. Zdało mu się, że jest zespolony z Istotą najwyższą. Gorejące purpurą słońce chyliło się na złom wulkaniczny Synaju, którego fioletowe cienie słały się już na doliny, kiedy stanął Mojżesz przy wnijściu do pieczary, osłoniętej nędzną roślinnością drzew terpentynowych. Chciał już wejść do środka, gdy wtem olśniła go jasność nagła, która go spowiła dokoła. Wydało mu się, że ziemia pali mu się pod stopami i że góry granitowe zamieniły się w morze płomieni. U wnijścia do groty stała zjawa olśniewająca światłością,

patrząca na niego i zagradzająca mu mieczem drogę. Mojżesz upadł twarzą na ziemię, jak rażony gromem. Wzrok Anioła przeszył go światłem swoim. Cała jego duma prysła w jednej chwili. Wiedziony owym głębokim odczuciem faktów budzącym się w stanie jasnowidzenia, zrozumiał, że świetlana istota owa nakaże mu spełnienie rzeczy strasznych. Chciałby uchylić się od posłannictwa swojego i wczołgać się pod ziemię jak gad nędzny.

Ale głos jakiś zawołał: — Mojżeszu! Mojżeszu!

A on odrzekł: — Otom jest!

— Nie zbliżaj się do tego miejsca. Zzuj sandały ze stóp twoich. Bowiem miejsce, na którym się znajdujesz, ziemią świętą jest.

Mojżesz ukrył oblicze w dłoniach. Lękał się widoku Anioła i spotkania się z jego wzrokiem.

A Anioł rzekł do niego: — Ty, który szukasz Aelohima, czemu drżysz przede mną?

— Ktoś ty?

— Promień Aelohima, Anioł słoneczny, wysłannik Tego, który jest i który będzie.

— Co rozkazujesz?

— Powiesz dzieciom Izraela: Wiekuisty, Bóg ojców waszych, Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakuba posłał mnie do was, aby wywieźć was z kraju niewoli.

— Kim jestem — zapytał Mojżesz — abym wywieść miał dzieci Izraela z Egiptu?

— Idź — rzekł Anioł — bowiem będę z tobą. Rozpalę ogień Aelohima w sercu twoim i położę słowo jego na wargach twoich. Od czterdziestu lat wzywasz go. Głos twój doszedł do niego. Oto biorę

cię jego imieniem. Synu Aelohima, należysz do mnie na zawsze.

A Mojżesz ośmielony zawołał: — Ukaż mi Aelohima! Niech ujrzę jego ogień żywy.

Podniósł głowę. Ale morze ognia znikło i Anioł znikł też jak błyskawica. Słońce zniżyło się na zgasłe wulkany Synaju; cisza śmierci zaległa nad doliną Horebu; Głos, który zdawał się rozbrzmiewać w lazurze i ginąć w nieskończoności, mówił:

„Jestem Ten, który jestem".

Po widzeniu tym czuł się Mojżesz zupełnie złamanym. Przez chwilę wydało mu się, jak gdyby ciało jego strawił ogień Eteru. Ale duch jego był mocniejszy. Kiedy zeszedł ponownie do świątyni Jetry, czuł, że gotów jest do spełnienia dzieła swego. żywa myśl jego kroczyła przed nim, jak Anioł zbrojny w miecz ognisty.

## V

## EXODUS — PUSTYNIA — MAGIA I SZTUKA WYWOŁANIA DUCHÓW — TEURGIA

Zamierzenie Mojżesza było jednym z najniezwyklejszych, najśmielszych, jakie człowiek powziął kiedykolwiek. Wyrwać lud spod jarzma narodu tak potężnego jak egipski; poprowadzić go na podbój kraju zajętego przez ludność wrogą i lepiej uzbrojoną; wieść go przez dziesięć, dwadzieścia czy czterdzieści lat po pustyni, palić go pragnieniem, wyczerpywać głodem; drażnić go, jak rumaka pełnej krwi, strzałami Hetitów i Amalecytów, gotowych rozbić go na miazgę; wyodrębnić go z jego namiotem Wiekuistego, w którym spoczywała arka przymierza, spośród narodów bałwochwalczych, narzucić mu jego różdżką ogniową kult jedynego Boga i wpoić w niego taki lęk przed tym Bogiem, takie ubóstwianie go, aby wcielił się On w niego, aby stał się jego symbolem narodowym, celem wszystkich jego dążeń i jego racją bytu; — takim było niesłychanie śmiałe dzieło Mojżesza.

Wyjście z Egiptu było na długo naprzód obmyślone i przygotowane przez proroka, przez głów-

nych wodzów izraelskich i przez Jetrę. Dla wprowadzenia w czyn swojego zamierzenia skorzystał Mojżesz z chwili, kiedy Menefta, dawny jego towarzysz studiów, obecny faraon, zajęty był odpieraniem groźnego najazdu króla Libijczyków, Mermaiu. Cała armia egipska, skoncentrowana na Zachodzie kraju, nie mogła powstrzymać Hebrajczyków i masowa ich emigracja dokonała się bez przeszkody.

Oto już, Beni-Izrael w drodze. Długi sznur karawan, z mnóstwem wielbłądów objuczonych namiotami, z niezliczonymi stadami bydła, — przygotowuje się do okrążenia morza Czerwonego. Jest ich zrazu tylko kilka tysięcy ludzi. Z czasem rzesze wychodźcze pomnożą „wszelkiego rodzaju ludzie" — mówiąc słowami Biblii: Chanaańczycy, Edomici, Arabowie, Semici różnych szczepów, pociągnięci i olśnieni przez proroka pustyni, który wzywa ich ze wszystkich stron świata, aby urobić ich na swoją modłę. Jądro tego ludu tworzy Beni-Izrael, lud prawy, ale twardy, uparty i buntowniczy. Wodzowie jego, h a g o w i e, wpoili mu kult Boga Jedynego, który stał się u nich wzniosłą tradycją patriarchalną. Lecz u tych natur pierwotnych i gwałtownych jest monoteizm zaledwie uświadomieniem wyższym i niestałym. Gdy tylko budzą się w nich złe ich żądze, instynkt politeizmu, tak zrozumiały u człowieka, bierze znów górę. Wpadają wówczas ponownie w gminne zabobony, w hołdowanie czarnoksięstwu i w bałwochwalcze praktyki narodów sąsiadujących z Egiptem i Fenicją, które Mojżesz będzie zwalczał prawami drakońskimi.

Dokoła proroka rządzącego tym ludem, groma-

dzi się grupa kapłanów pod przywództwem Aarona, brata jego we wtajemniczeniu oraz prorokini, Marii, która uosabia już w Izraelu wtajemniczenie żeńskie. Grupa ta tworzy stan kapłański. Wraz z nimi skupia się dokoła proroka Iewy siedemdziesięciu starszych wybranych lub wtajemniczonych świeckich, którym powierzy Mojżesz doktrynę swoją tajemną oraz tradycję ustną, odda w ich ręce część swojej władzy, uczyni ich parokrotnie uczestnikami natchnień swoich i swoich widzeń.

W środku tej grupy niesiona jest arka złota, której pomysł wziął Mojżesz ze świątyń egipskich, gdzie służyła ona za miejsce ukrywania ksiąg teurgicznych; przekształcił ją jednak na nową modłę, zgodną z osobistymi jego zamierzeniami. Arkę Izraela wieńczą cztery cheruby złote podobne do sfinksów i przypominające cztery stworzenia symboliczne z widzenia Ezechielowego. Jedno ma głowę lwa, drugie — byka, trzecie — orła, a ostatnie — ludzką. Symbolizują one cztery żywioły wszechświata: ziemię, wodę, powietrze i ogień, a także cztery światy, wyrażone przez cztery litery boskiego tetragramu. Skrzydła cherubów okrywają złoty stół arki, t. zw. ubłagalnię. Arka ta stanie się narzędziem zjawisk elektrycznych i świetlnych, które będą dziełem magii Ozyrysowego kapłana. Zjawiska te, wyolbrzymione przez legendę, będą źródłem opowieści biblijnych. W arce złotej mieści się nadto Sefer Bereszyt czyli księga kosmogonii, ułożona przez Mojżesza egipskim pismem hieroglificznym, oraz laska czarnoksięska proroka, nazwana w Biblii różdżką. Zawarta w niej też będzie księga przymierza czyli przykazania

z góry Synaj. Mojżesz nazwie arkę tronem Aelohima; bowiem złożona w niej jest święta tradycja, posłannictwo Izraela, myśl Iewy.

Jaki ustrój polityczny dał Mojżesz ludowi swojemu? Co do tego przytoczyć należy jeden z najciekawszych ustępów Biblii (Exodus). Ustęp ten tym bardziej sprawia wrażenie nader starożytnego i autentycznego, że wykazuje słabe strony Mojżesza, jego dumę kapłańską i skłonność do tyranii teokratycznej, którą pokonywał w sobie etiopski jego mistrz.

„I stało się nazajutrz, że usiadł Mojżesz, aby sądzić lud. I stał lud przed Mojżeszem od poranka aż do wieczora.

A widząc świekier Mojżeszowy wszystko, co on czynił z ludem, rzekł:

— Cóż to jest, co ty czynisz z ludem? czemuż ty sam siedzisz, a lud wszystek stoi przed tobą od poranka aż do wieczora?

Tedy Mojżesz odpowiedział świekrowi swemu: Przychodzi lud do mnie, aby się radził Boga.

Gdy sprawę jaką mają, przychodzą do mnie, a rozsądzam ich, oznajmiając ustawy Boże i prawa jego.

Zatem rzekł świekier Mojżeszowy do niego: Niedobra rzecz, którą ty czynisz.

Na pewno ustaniesz, i ty i lud twój, który jest z tobą, bo nazbyt ciężka to rzecz nad siły twoje; nie będziesz jej mógł ty sam podołać.

Przeto usłuchaj teraz głosu mego, poradzę ci, a będzie Bóg z tobą; stój ty za lud przed Boga, a sprawy odnoś do Boga.

A nauczaj ich też ustaw i praw, oznajmiając im

drogę, którąby chodzić i dzieło, któreby czynić mieli.

Obierz też z całego ludu mężów statecznych, bojących się Boga, mężów prawdomównych, którzyby nienawidzili zysków nieuczciwych, postanów z nich przełożonych, tysiączników, setników, pięćdziesiętników i dziesiętników.

I niech na każdy czas lud sądzić będą: a gdy będzie rzecz wielka, odniosą ją do ciebie, a każdą rzecz małą sądzić będą sami; tedy ulżą tobie, gdy poniosą część ciężaru z tobą.

Jeśli to uczynisz, a rozkaże ci to Bóg, będziesz mógł ostoić się i wszystek lud na miejsce swoje powróci w pokoju.

I usłuchał Mojżesz rady świekra swojego, a uczynił wszystko, jako mu on powiedział" [73]).

Z ustępu tego wynika, że w ustanowionym przez Mojżesza ustroju Izraela władza wykonawcza uważana była za wypływ władzy sądowniczej i podporządkowana kontroli władzy kapłańskiej. Takim był sposób rządzenia, przekazany przez Mojżesza następcom jego w myśl mądrej rady Jetry. Takim też pozostał za Sędziów, od Jozuego do Samuela, aż do przywłaszczenia władzy przez Saula. Czasu królów zatracać zaczęło poniżone kapłaństwo tradycję Mojżeszową, która utrzymana została jedynie przez proroków.

Zaznaczyliśmy już, że Mojżesz nie był patriotą, lecz jedynie poskromicielem ludów, mającym na względzie losy ludzkości całej. Lud Izraelski był dla niego tylko narzędziem, celem jego była religia powszechna i myśl jego ulatywała ponad głowami koczowników w przyszłość. Od wyjścia z Egiptu aż

do śmierci Mojżesza była cała historia narodu Izraelskiego długą walką między prorokiem a jego ludem.

Mojżesz poprowadził plemiona izraelskie nasamplerw na puszczę Synaj, równinę bezpłodną, rozciągającą się u stóp wyżyny, poświęconej przez wszystkich Semitów Aelohimowi i będącej dla samego Mojżesza miejscem objawienia. Na tym samym miejscu, na którym Geniusz proroka owładnął nim, chciał prorok owładnąć ludem swoim i wycisnąć na czole jego piętno Iewy: dziesięcioro przykazań, potężną syntezę prawa moralnego, uzupełnienie prawdy tajemnej, ukrytej w hermetycznej księdze arki.

Nic bardziej tragicznego nad pierwszą tę rozmowę proroka z jego ludem. Zachodziły tam sceny dziwne, krwawe, straszliwe, pozostawiające niby odcisk rozpalonego żelaza na udręczonym ciele Izraela. Łatwo, pod wyolbrzymieniem legendy biblijnej, domyśleć się możliwej rzeczywistości faktów.

Wybrane plemię rozłożyło się obozem na płaskowzgórzu Faranu, u wejścia do dzikiego wąwozu, prowadzącego do skał Serbalskich. Groźny szczyt Synaju góruje nad tym gruntem kamienistym, wulkanicznym, wstrząsanym wybuchami. Wobec wszystkiego zgromadzonego ludu oznajmia Mojżesz uroczyście, że idzie na górę Synaj, aby zasięgnąć rady Aelohima, i że przyniesie stamtąd prawo pisane na tablicy kamiennej. Rozkazał ludowi, by czuwał i pościł i czekał na niego w czystości i modlitwie. Arkę przenośną, którą okrywa namiot cymborium, pozostawia pod ochroną siedemdziesięciu Star-

szych, po czym znika w wąwozie, zabierając jedynie swego wiernego imieniem Jozue.

Mijają dni — Mojżesz nie wraca. Lud niepokoi się zrazu, a potem szemrze: „Przecz było przywodzić nas na tę puszczę okrutną i wydać na łup Amalecytom? Przyobiecał nam Mojżesz, że powiedzie nas do ziemi Chanaańskiej, mlekiem i miodem płynącej, a oto mrzemy na puszczy. Lepsza była niewola w Egipcie, niżli to życie nędzne. Dałby Bóg, abyśmy mieli jeszcze mięsiwa owe, które tam spożywaliśmy. Jeśli Bóg Mojżesza jest prawdziwym Bogiem, niech to okaże, niech rozproszeni będą wszyscy jego wrogowie i niech wnijść nam da natychmiast do ziemi obiecanej". Szemrania te potęgują się wciąż; lud się buntuje; starsi nawet udział w tym biorą.

A oto występuje grupa kobiet, szepczących i szemrających między sobą. Są to Moabitanki, czarnoskóre, o ciałach gibkich i kształtach pełnych, nałożnice czy służebnice wodzów Edonitańskich, sprzymierzonych z ludem Izraelskim. Przypominają sobie, że były kapłankami Astarty i że odprawiały orgie ku czci bogini w świętych lasach kraju rodzinnego. Czują, że wybiła godzina odzyskania utraconej władzy. Przychodzą strojne w złoto i materie jaskrawe, przychodzą z uśmiechem na ustach, niby sznur pięknych wężów, wychodzących spod ziemi i połyskujących w słońcu falistymi kształtami swoimi o metalicznych odblaskach. Przyłączają się do zbuntowanych, wpatrują się w nich wzrokiem płomiennym, oplatają ich ramionami swoimi, na których pobrzękują kolce miedziane, i kuszą ich mową miodną: Kim że jest ów kapłan z Egiptu? Kim

Bóg jego? Umarł pewnie na Synaju. Nie on powiedzie plemiona do Chanaanu. Dzieci Izraela wzywać winny bogów moabitańskich: Belfegora i Astartę! To prawdziwi są bogowie cuda czyniący. Oni to powiodą ich do ziemi Chanaańskiej".

Zbuntowani słuchają mowy Moabitanek; jedni podniecają drugich i oto rozbrzmiewa okrzyk tłumu: „Aaronie, uczyń nam bogi, któreby szły przed nami, bo Mojżeszowi, mężowi temu, który nas wywiódł z ziemi Egipskiej, nie wiemy, co się stało".

Aaron daremnie usiłuje uspokoić tłum. Moabitanki przywołują kapłanów fenickich, przybyłych z karawaną. Ci przynoszą wyciosany z drzewa posąg Astarty i stawiają go na kamiennym ołtarzu. Zbuntowani zmuszają Aarona, grożąc mu śmiercią, aby odlał cielca złotego, jedną z postaci Belfegora. Poświęcają byki i kozły na ofiarę całopalną obcym bogom i zasiadają do jadła i picia. Rozpoczynają się dokoła bałwanów tańce lubieżne, prowadzone przez Moabitanki przy dźwiękach neblów, kinnorów i tułumbasów, wprawianych w ruch przez niewiasty.

Daremnie usiłowało siedemdziesięciu Starszych, wybranych przez Mojżesza, powstrzymać łajaniem to rozprzężenie. Teraz siadają oni na ziemi, nakrywszy głowy workami popiołu. Skupieni dokoła ubłagalni arki, słuchają z przerażeniem dzikich okrzyków, śpiewów lubieżnych, wzywania bogów wyklętych, demonów rozwiązłości i okrucieństwa. Widok tego ludu, tonącego w rozpuście i buntującego się przeciw Bogu swemu, napełnia ich odrazą. Co się stanie z Arką, Księgą i Izraelem, jeśli Mojżesz nie powróci?

Mojżesz wraca jednak. Z długiego swojego zamknięcia się w sobie, z osamotnienia swojego na górze Aelohima przynosi on Zakon wypisany na tablicach kamiennych [74]). Przyszedłszy do obozu, widzi tańce, bachanalie ludu swojego przed posągagi Astarty i Belfegora. Na widok kapłana Ozyrysowego, proroka Aelohima, przerywają się tańce, obcy kapłani uciekają, zbuntowanych opanowuje niepokój. Wre gniew w Mojżeszu jak ogień pożerający. Rozbija tablice kamienne i czuje się, że rozbiłby cały ten lud i że Bóg nim owładnął.

Drży lud Izraelski; na dnie oczu rokoszan, ukryta pod lękiem, czai się nienawiść. Jedno słowo, jeden ruch, zdradzający wahanie się wodza—proroka, a hydra bałwochwalczej anarchii podniesie przeciw niemu tysiące łbów swoich i gradem kamieni zmiecie arkę świętą, proroka i jego ideę. Ale Mojżesz stoi niewzruszenie, a za nim potęgi niewidzialne, które go strzegą. Rozumie on, że należy przede wszystkim wznieść na własne wyżyny dusze siedemdziesięciu wybranych, a przez nich lud cały. Wzywa Aelohima — Iewe, Ducha męskiego, Ogień pierwotny z głębi duszy własnej i z głębi nieba.

— Zbliżcie się do mnie, wy siedemdziesięciu! — woła Mojżesz. — Weźmiecie arkę i udacie się wraz ze mną na górę Bożą. A zaś lud ten niech czeka i drży. Przyniosę mu sąd Aelohima.

Kapłani-lewici wyjmują z namiotu arkę złotą spowitą w zasłony i orszak siedemdziesięciu znika wraz z prorokiem w wąwozie Synaju. Nie wiadomo, kto drży bardziej: czy lewici przed tym, co mają

zobaczyć, czy lud przed karą, którą zawiesił Mojżesz nad ich głowami niby miecz niewidzialny.

— O! gdyby można było wymknąć się ze straszliwych rąk tego kapłana Ozyrysowego, tego proroka nieszczęsnego! — mówią buntownicy. I połowa obozu zwija pospiesznie namioty, siodła wielbłądy i szykuje się do ucieczki. Gdy oto zmierzch dziwny, zasłona kurzawy zaciąga niebo, ostry wiatr dmie od Morza Czerwonego, puszcza przybiera barwę płową i sciemnioną, poza Synajem gromadzą się wielkie chmury. W końcu niebo staje się zupełnie czarnym.

Dmący wiatr nawiewa fale piasku, błyskawice rozdzierają potokami deszczu skłębione dokoła Synaju chmury. Niebawem olśniewa niebo błysk gromu; ryk jego, odbity o ściany wszystkich wąwozów górskich, rozlega się po obozie wielokrotnymi wybuchami, czyniąc łomot przeraźliwy. Lud nie wątpi już, że to gniew Aelohima, wywołany przez Mojżesza. Córki Moabskie znikły. Lud obala bałwany bożków, wodzowie padają na ziemię, dzieci i kobiety kryją się pod brzuchy wielbłądów. Trwa to noc całą, cały dzień. Piorun spada na namioty, zabija ludzi i zwierzęta, i wciąż jeszcze rozlegają się huki gromu.

Ku wieczorowi ścicha burza, chmury dymią się jednak ciągle na szczycie Synaju, a niebo pozostaje czarnym.

Ale oto u wnijścia do obozu ukazuje się ponownie siedemdziesięciu Starszych z Mojżeszem na czele. W mdłym świetle zmierzchu oblicze pro-

roka i jego wybranych promienieje światłem nadziemskim, jak gdyby przynosili oni na twarzach swoich olśniewający odblask wizji wzniosłej. Na arce złotej, na cherubach o skrzydłach ognistych, migoce błysk elektryczny, jak kolumna fosforyzująca. Na ten widok niezwykły starszyzna i lud, mężczyźni i niewiasty, padają z dala na twarz.

— Niech ci, którzy są za Wiekuistym, zbliżą się do mnie — rzekł Mojżesz.

Trzy czwarte starszyzny Izraelskiej skupia się dokoła Mojżesza; rokoszanie ukryci są w swoich namiotach. Wówczas występuje prorok i rozkazuje wiernym swoim wyciąć w pień przywódców buntu oraz kapłanki Astarty, ażeby drżał Izrael po wsze wieki przed Aelohimem, aby pamiętał o Zakonie danym na górze Synaj i jego pierwszym przykazaniu: „Jam jest Przedwiecznym Bogiem twoim, który cię wywiódł z ziemi Egipskiej, z domu niewoli. Nie będziesz miał innego Boga przede mną. Nie czyń sobie obrazu rytego ani żadnego podobieństwa rzeczy tych, które są na niebie i które są w wodach i pod ziemią“.

Tak właśnie na poły grozą i na poły tajemniczością narzucił Mojżesz ludowi swemu zakon swój i swoją religię.

Co wszakże widziało owych siedemdziesięciu na górze Synaj? Piąta Księga Mojżeszowa — Deuteronomium (XXXIII, 2) mówi o ogromnym widzeniu, o dziesięciu tysiącach świętych, którzy pojawili się na Synaju wśród nawałnicy, w jasności Iewy. Czy wszyscy Mędrcy starożytnego cyklu, starożytni wtajemniczeni aryjscy, hinduscy, perscy i egipscy,

wszyscy szlachetni synowie Azji, ziemi Boga, zstąpili aby dopomóc Mojżeszowi w jego dziele i wywarli nacisk rozstrzygający na świadomość jego wyznawców? Potęgi duchowe, czuwające nad ludzkością, są zawsze obecne, zasłona wszakże, która nas od nich oddziela, rozdziera się w rzadkich jedynie momentach i to dla nielicznych tylko wybranych. Niewątpliwie jednak natchnął Mojżesz owych siedemdziesięciu ogniem bożym i energią własnej woli. Stanowili oni pierwszą świątynię, przed świątynią Salomona; świątynię żywą, świątynię ruchomą, serce Izraela, królewskie światło Boga.

Dzięki zajściom na górze Synaj, dzięki masowemu wycięciu zbuntowanych zyskał Mojżesz władzę nad koczowniczymi Semitami, którą utrzymać umiał żelazną ręką. Zajścia podobne, wywołujące z konieczności nowe przeciwdziałanie silnej władzy, powtarzać się musiały podczas pochodów i kontrpochodów ku ziemi Chanaańskiej. Mojżesz, tak samo jak Mahomet, rozwinąć musiał zarazem geniusz proroka, wojownika i organizatora społecznego. Zmuszony był staczać walki ze zniechęceniem, oszczerstwem i knowaniami. Po zdławieniu buntu ludu należało upokorzyć dumę kapłanów-lewitów, chcących dorównać mu znaczenim i uchodzić za wtajemniczonych bezpośrednio przez Iewę; zmiażdżyć należało najniebezpieczniejszych burzycieli porządku w osobach kilku zuchwałych ambitnych wodzów, jak Kore, Datan i Abiram, podsycających bunt ludowy celem obalenia proroka i obwołania króla, co uczynią Izraelici w następstwie z Saulem wbrew oporowi Samuela. Walka ta budzi w Mojżeszu kolejno uczucia oburzenia i litości, czułość

ojcowską i rozjuszenie lwa w stosunku do narodu, który szamoce się pod żelaznym uściskiem jego ducha i który mimo wszystko ulegnie mu. Echo tych przeżyć odnajdujemy w przytaczanych w opowieści biblijnej rozmowach proroka z jego Bogiem, które zdają się ujawniać to, co zachodziło w głębi jego duszy. Według Pięcioksiągu pokonywa Mojżesz zwycięsko wszystkie przeszkody spełnianiem cudów najnieprawdopodobniejszych. Jehowa, pojmowany jako Bóg osobowy, jest zawsze na jego usługi. Ukazuje się on na ubłagalni w postaci obłoku świetlanego zwanego chwałą Pana. Mojżesz sam tylko może się doń zbliżać; niepowołanych czeka tam śmierć. Namiot, w którym mieści się arka, odgrywa w opowieści biblijnej rolę niejako baterii elektrycznej olbrzymich rozmiarów, która, naładowana ogniem Jehowy, poraża masy ludzkie. Wybuch jej zabija za jednym zamachem synów Aarona, dwustu pięćdziesięciu stronników Korego i Datana, wreszcie czternaście tysięcy ludu! Nadto wywołuje Mojżesz w oznaczonej godzinie trzęsienie raczej rozstąpienie się ziemi, która pochłania trzech buntowniczych wodzów z namiotami ich i rodzinami. Opowieść ta tchnie poezją straszliwą o rozmachu imponującym. Tyle jest w niej jednak przesady, cechuje ją charakter tak wyraźnie legendarny, że niedorzecznością byłoby wprost rozważać kwestię jej prawdziwości. Nade wszystko zaś nadaje opowieściom tym charakter egzotyczny wola Boga gniewnego i zmiennego, jaką odgrywa w nich Jehowa. Zawsze gotów on piorunować i niszczyć, gdy przeciwnie Mojżesz uosabia mądrość i miłosierdzie. Podobnie dziecinne i tak niezgodne z poję-

ciem boskości wyobrażenie o istocie Najwyższej równie jest obce świadomości wtajemniczonego przez Ozyrysa jak świadomości Chrystusa.

Olbrzymia ta przesada zdaje się wszakże być wynikiem pewnych zjawisk, związanych z darem czarnoksięskim Mojżesza i znanych już z tradycji świątyń starożytnych. Rozważyć na tym miejscu wypada, co właściwie sądzić należy o rzekomych cudach Mojżesza ze stanowiska teozofii wyrozumowanej oraz wyjaśnionych punktów wiedzy tajemnej. Starożytność nie tylko Mojżeszowi przypisywała zdolność wywoływania napięciem woli potężnych tajemniczych, zjawisk elektrycznych w rozmaitych postaciach. Tradycja chaldejska przypisywała zdolność tę magom, tradycja grecka i łacińska niektórym kapłanom Jupitera i Apollina [75]). W podobnych wypadkach zjawiska te należą istotnie do rzędu elektrycznych. Inna wszakże, bardziej subtelna i bardziej rozlana we wszechświecie siła, którą wielcy wtajemniczeni umieli przyciągać,ześrodkowywać i zużytkowywać, wprowadzać miała tutaj w ruch elektryczność atmosfery ziemskiej. Siła ta nosi u bramanów nazwę a k a s a, magowie chaldejscy zwą ją o g n i e m p i e r w o t n y m, kabaliści średniowieczni w i e l k i m c z y n n i k i e m c z a r n o k s i ę s k i m. W nauce współczesnej mogłaby ona być nazwaną s i ł ą l o t n ą. Można bądź przyciągać ją bezpośrednio, bądź wywoływać za pośrednictwem czynników niewidzialnych, świadomych lub półświadomych, których pełna jest atmosfera ziemska i które umie wykorzystać wola magów. W teorii tej nie ma nic sprzecznego z racjonalistycznym pojmowaniem wszechświata;

jest ona nawet nieodzowną dla wytłumaczenia mnóstwa zjawisk, które bez tego pozostałyby niewytłumaczonymi. Dodać jedynie należy , że zjawiskami tymi rządzą prawa niewzruszone, pozostające zawsze w stosunku do intelektualnej, moralnej i magnetycznej siły adepta.

Rzeczą antyracjonalną i antyfilozoficzną byłoby wprowadzanie w ruch przez jakąkolwiek istotę ludzką praprzyczyny, Boga. Antyracjonalną i antyfilozoficzną byłaby też działalność bezpośrednia praprzyczyny, spowodowana przez ową istotę, co równałoby się utożsamianiu tej ostatniej z Bogiem. Człowiek względnie tylko wznieść się może do Boga myślą, modlitwą, czynem lub ekstazą. Działalność swoją we wszechświecie sprawuje Bóg pośrednio tylko i hierarchicznie na podstawie niezmiennych praw powszechnych, oddających myśl jego, jak również przez członków społeczności ziemskiej i boskiej, którzy są jego częściowymi i stosunkowymi przedstawicielami w bezkresie przestrzeni i czasu.

Ustaliwszy punkty te, uważamy za rzecz zupełnie możliwą, aby Mojżesz, któremu pomocne były opiekujące się nim potęgi duchowe i który posiada w wysokim stopniu zdolność kierowania siłą lotną, mógł posługiwać się arką, jako rodzajem zbiornika,ześrodkowywacza przyciągającego, celem wywoływania zjawisk elektrycznych o sile piorunującej. Odzież lniana, jaką przywdziewał on, jego kapłani i powiernicy, jak również wonności, których używali, izolowały ich skutecznie i broniły przed wybuchami ognia lotnego. Zjawiska te mogły być

wszakże rzadkie tylko i ograniczone. Legenda kapłańska wyolbrzymiła je. Wystarczać musiało Mojżeszowi porażenie za pomocą wyładowania fluidu kilku opornych wodzów lub buntowniczych kapłanów dla steroryzowania i zupełnego poskromienia ludu.

## VI

## ŚMIERĆ MOJŻESZA

Kiedy Mojżesz doprowadził lud swój do Chanaanu, uczuł, że dzieło jego zostało spełnione. Czym był Iewe-Aelohim dla proroka z Synaju? Porządkiem boskim, oglądanym z góry w dół poprzez wszystkie sfery wszechświata i urzeczywistnionym na ziemi widzialnej, na wzór hierarchii niebiańskich i prawdy wiekuistej. Nie, nie nadaremnie oglądał on oblicze Wiekuistego, odzwierciadlające się we wszystkich światach. W Arce spoczywała Księga, a czuwał nad Arką lud silny, żywa świątynia Pana. Kult Boga jedynego ustanowiony został na ziemi; imię Iewy jaśniało głoskami płomiennymi w świadomości Izraela; fale wieków przepływać mogą nad zmienną duszą ludzkości, nie wymażą one z niej wszakże imienia Wiekuistego.

Zdawał sobie Mojżesz sprawę z tego, wezwał więc Anioła Śmierci. Nałożeniem rąk na głowę następcy swojego, Jozuego, pobłogosławił go przed Arką przymierza, aby Duch Boży przeszedł w niego, po czym pobłogosławił ludzkość całą poprzez dwanaście pokoleń Izraela i wstąpił z równin Mo-

abskich na górę Nebo, a towarzyszył mu tylko Jozue i dwaj lewici. Aaron „przyłączony został do ojców swoich“, prorokini Maria tą samą odeszła drogą. Przyszła kolej na Mojżesza.

Jakież były myśli proroka stodwudziestoletniego, kiedy znikł sprzed oczu jego obóz Izraela i kiedy wstąpił na wielką samotnię Aelohima? Czego doświadczył, kiedy mu ukazał Pan wszystką ziemię od Galaad aż do Jerycho, miasta palm? Prawdziwy poeta [76]), oddając po mistrzowsku ten nastrój duszy, wkłada w usta Mojżesza taki okrzyk:

Samotnym życiem gdy, Panie, sie strudzę
Pozwol snem ziemi zasnąć Twemu słudze

Piękne te słowa więcej mówią o duszy Mojżesza, aniżeli komentarze setki teologów. Dusza ta podobna wielkiej piramidzie z Gizeh, potężna, naga i zamknięta jest na zewnątrz, ale kryjąca wielkie tajniki we wnętrzu swoim i mieszcząca w sobie sarkofag, zwany przez wtajemniczonych sarkofagem zmartwychwstania. Stąd przez przejście ukośne dostrzec można było gwiazdę polarną. W taki sam sposób dostrzegł nieprzenikniony umysł Mojżesza spośrodka duszy własnej cel ostateczny wszechrzeczy.

Tak, wszyscy potężni znają samotność, którą stwarza wielkość. Mojżesz wszakże bardziej był od innych samotnym, bowiem idea jego bardziej jeszcze była bezwzględna, bardziej jeszcze od ziemi oderwana. Bóg jego był nade wszystko żywiołem męskim, Duchem czystym. Aby wszczepić go ludziom, musiał wypowiedzieć walkę żywiołowi żeń-

skiemu, bogini Naturze, Hewie, wiekuistej kobiecości, żyjącej w duszy Ziemi i w sercu Człowieka. Walczyć z nią musiał nieustannie i nieubłaganie, nie w celu zniszczenia jej, ale ukorzenia i owładnięcia nią. Cóż zatem dziwnego, że Natura i Kobieta, złączone przymierzem tajemniczym, drżały przed nim? Cóż dziwnego, że cieszyć się będą, gdy odejdzie i czekać tylko będą, aby podnieść głowę, z chwilą, kiedy cień Mojżesza przestanie rzucać na nie przeczucie śmierci? Takimi były niewątpliwie myśli Proroka, kiedy wchodził na nagi szczyt góry Nebo. Nie mógł być kochany przez ludzi, bowiem kochał jedynie Boga. Czy przynajmniej żyć będzie dzieło jego? Czy lud pozostanie wiernym swojemu posłannictwu? O, fatalne jasnowidzenie umierających, darze tragiczny proroków, uchylających w ostatniej godzinie wszystkie zasłony! W miarę jak umysł Mojżesza odrywał się od ziemi, widział straszliwą rzeczywistość przyszłości, widział zdrady Izraela; anarchię, podnoszącą głowę; władzę królewską, która zastąpi Sędziów; zbrodnie Królów, bezczeszczące świątynię Pańską; zakon swój złamany i niezrozumiany; myśl swoją spaczoną, przeistoczoną przez ciemnych lub obłudnych kapłanów; odstępstwa królów, cudzołożenie Judasza z narodami bałwochwalczymi; czystą tradycję i naukę świętą zdławione i proroków, posiadaczy słowa żywego, prześladowanych w głębi puszczy nawet.

Siedząc w pieczarze góry Nebo, przejrzał Mojżesz to wszystko okiem ducha swego. Ale już śmierć dotykała skrzydłem swym jego czoła i kładła mroźną dłoń na jego sercu. Wtedy to serce lwie raz

jeszcze zagrzmieć usiłowało. Rozsrożony na lud swój, wezwał Mojżesz zemstę Aelohima na ręce Judasza. Podniósł ramię swe ciężkie. Jozue i lewici, którzy mu towarzyszyli, z przerażeniem usłyszeli słowa, wychodzące z ust umierającego proroka: „Izrael zdradził swego Boga, niechaj rozproszonym będzie na cztery strony nieba!“

Lewici i Jozue patrzyli ze strachem na mistrza, który już znaku życia nie dawał. Jego ostatnie słowo było przekleństwem. Czy oddał wraz z nim tchnienie ostatnie? Ale Mojżesz otworzył oczy po raz ostatni i rzekł: „Wracajcie do Izraela. A kiedy nadejdzie czas, zbudzi wam Wiekuisty proroka takiego jakim ja jestem, spośród braci waszych, i włoży słowa swoje w usta jego, i prorok ten opowiadać wam będzie wszystko, co przedwieczny mu rozkaże.

„I stanie się, że ktokolwiek nie byłby posłuszny słowom, które on wam powie, Wiekuisty szukać będzie tego na nim“ (Deuteronomium XVIII, 18. 19).

Wypowiedziawszy słowa te prorocze, wyzionął Mojżesz ducha. Czekał już na niego Anioł słoneczny z mieczem ognistym, który ukazał mu się z początku samego na górze Synaj. Uprowadził on go w głąb łona Izydy niebiańskiej, do wnętrza fal światłości owej, która małżonką jest Boga. Z dala od sfer ziemskich mijali obaj kręgi dusz coraz wspanialszych. Wreszcie wskazał mu Anioł Boski ducha tak czarownie pięknego i słodyczy niebiańskiej pełnego, a tak promiennego i świecącego jasnością tak porażającą, że własna jego światłość cieniem zaledwie obok tamtej była. Nie miał on

w dłoni miecza karzącego, lecz palmę ofiarną i zwycięską. Zrozumiał Mojżesz, że Ten dzieło jego spełni i sprowadzi ludzi ku Ojcu niebieskiemu, potęgą pierwiastka Wiekuiście żeńskiego, Łaską Bożą i Miłością najwyższą. I padł Prawodawca na twarz przed Odkupicielem i wielbił Mojżesz Jezusa Chrystusa.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

# PRZYPISY

[1]) Pomniki egipskie z jednego kamienia.

[2]) Porównaj piękne prace Franciszka Lenormant i M. Maspéro.

[3]) Doświadczenie Bella. Rzuca się promień światła na płytkę z selenu, która odsyła światło to na odległość, na inną płytkę z tego samego metalu. Ta druga płytka połączona jest ze stosem galwanicznym, do którego przystosowany jest telefon. Wyrazy, wymawiane za pierwszą płytką, słyszalne są wyraźnie przez telefon, złączony z drugą płytką. Promień światła służył więc za drut telefoniczny. Fale dźwiękowe przeistoczyły się w fale świetlne, te zaś w fale galwaniczne, które z kolei stały się ponownie falami dźwiękowymi.

[4]) Por. piękną pracę Ochorowicza: „O poddawaniu myślowym".

[5]) Transcendentne — przechodzące granice doświadczenia.

[6]) Zawierającego zamkniętą w nich tajemnicę. Pisma hermetyczne, inaczej okultystyczne.

[7]) Agnostycyzm — pogląd filozoficzny, przyjmujący za podstawę niemożność uzasadnienia istnienia Boga.

[8]) Ten podział ludzkości na cztery kolejne rasy pierwotne przyjęty był przez najdawniejszych kapłanów egipskich. Uosabiają je cztery postaci o różnych typach i barwach, przechowane w malowidłach, zdobiących grób Séti I-go w Tebach. Rasa czerwona nosi nazwę Rot: rasa azjatycka, o żółtej barwie skóry — nazwę Amu; rasa afrykańska, czarna — Halasiu: rasa libijsko-europejska, biała, jasnowłosa — Tamahu. (Lenormant: „Historia ludów Wschodu").

[9]) Porównaj historyków arabskich, jak Aboul-Ghazi, hi-

storię genealogiczną Tatarów i Mohammeda Moshen'a, historyka Persów. — William Jones, Asiatic Researches. I. Rozprawy o Tatarach i Persach.

[10]) „Histoire philosophique du genre humain". (Historia filozoficzna rodzaju ludzkiego). T. I. I.

[11]) Wszystkich, którzy mieli sposobność widzenia prawdziwej wizjonerki, uderzyć musiało dziwne podniecenie umysłowe, objawiające się w jej śnie na jawie. Dla tych, którzy nie bywali świadkami podobnych przejawów i którzy mogliby mieć wątpliwości w tym kierunku, przytoczę ustęp z dzieła znanego Dawida Straussa, którego nie można podejrzewać o przesądy. Widział on u przyjaciela swego, Justyna Kernera, słynną „jasnowidzącą z Preworst" i tak ją opisuje: „Wkrótce potem jasnowidząca wpadła w sen magnetyczny. Po raz pierwszy wówczas miałem przed sobą obraz zdumiewającego tego stanu i, rzec mogę, w najczystszej i najpiękniejszej jego postaci. Była to twarz o wyrazie bolesnym, ale wzniosłym i czułym, jak gdyby opromieniona światłem niebiańskim; język jasny, miarkowany, uroczysty, dźwięczny, rodzaj recytatywu; bogactwo uczucia przelewające się na zewnątrz, które możnaby przyrównać do zwojów mglistych oraz świetlanych, to znów ciemnych, prześlizgujących się ponad duszą, lub też do melancholijnych i cichych fal zefiru muskających struny cudownej harfy eolskiej" (Biografia ogólna, art. Kerner).

[12]) Porówn. ostatnią bitwę Ariovista i Cezara w Komentarzach Cezara.

[13]) „Histoire philosophique du genre humain". (Historia filozoficzna rodzaju ludzkiego) T. I.

[14]) Nader znamiennym jest, że Zend-Avesta, księga święta Persów, uważając Zoroastra za natchnionego przez Ormuzda, proroka prawa Bożego, czyni z niego następcę proroka znacznie dawniejszego. Symbolika świątyń starożytnych daje nam tutaj wątek wielkiego objawienia boskiego, snujący się poprzez wszystkich prawdziwych wtajemniczonych i wiążący ich z sobą. Oto ustęp ten:

1. Zarathustra (Zoroaster) zapytał Ahura-Mazdy (Ormuzda, boga światła): Ahura-Mazdo, o święty i stokroć błogosławiony twórco wszystkich istot cielesnych przeczystych;

2. Kto był pierwszym człowiekiem, z którym mówiłeś, ty, któryś jest Ahura-Mazdą?

...4. Wówczas Ahura-Mazda odrzekł: „Z pięknym Yimą, tym, który stał na czele zgromadzenia, godnego pochwały, o czysty Zarathustro";

...13. A ja mu rzekłem: „Czuwaj nad światami, które do mnie należą, uczyń je płodnymi ty, jako ich opiekun.

....17. A ja przyniosłem mu oręż zwycięstwa, ja, który jestem Ahura-Mazdą;

....18 Dzidę złotą i złoty miecz.

....31. Wówczas Yima wzniósł się do gwiazd ku południowi, po drodze, która idzie za słońcem.

....37. Kroczył on po tej ziemi, którą uczynił płodną. Była ona o trzecią część znaczniejszą niż dawniej.

....43. I świetny Yima zebrał zgromadzenie mężów najzacniejszych na słynnej górze Arïyana-Vaeia, stworzonej czystą. Vendidad-Sadé. 2-i Fargard

[15]) Rogi baranie odnaleźć można na głowach mnóstwa postaci na pomnikach egipskich. Ten strój głowy królów i wielkich kapłanów jest oznaką wtajemniczenia kapłańskiego i królewskiego. Stąd też pochodzą dwa rogi tiary papieskiej.

[16]) Brahmani uważali Wedy za główne swoje księgi święte. Znajdują oni w nich naukę nauk. Sam wyraz Weda oznacza wiedzę. Słusznie też miały teksty wedyjskie urok szczególny dla uczonych europejskich. Zrazu widzieli oni w nich tylko poezję patriarchalną; z czasem jednak odkryli w nich nie tylko źródło wielkich mitów indo-europejskich oraz naszych bóstw klasycznych, ale także mądrze ustanowiony kult, głęboko obmyślany system religijny i metafizyczny (patrz Bergaigne: „Religia Wedów", a także piękną, jasną pracę Augusta Bartha: „Religie Indii"). Przyszłość gotuje im może ostatnią niespodziankę, którą będzie odnalezienie w Wedach określenia tajemnych sił przyrody. Nauka współczesna jest już na ich tropie.

[17]) A. Barth. „Religie Indii".

[18]) Barth. „Religie Indii".

[19]) Niezaprzeczonym dowodem, że Soma uosabia pierwiastek bezwzględnie żeński, jest że brahmanowie utożsamiali go później z księżycem. Owóż księżyc uosabia pierwiastek

żeński we wszystkich religiach starożytnych, gdy słońce symbolizuje w nich pierwiastek męski.

[20]) Niezbędna jest tutaj uwaga, dotycząca symbolicznego znaczenia legendy powyższej i początku istotnego tych, którzy nosili w dziejach miano Synów Bożych. W myśl doktryny tajemnej indyjskiej, która była również doktryną wtajemniczonych w Egipcie i w Grecji, dusza ludzka jest córą nieba, ponieważ przed narodzinami swymi na ziemi przeszła przez szereg istnień cielesnych i duchowych. Ojciec i matka płodzą zatem tylko ciało dziecka, zaś dusza jego przychodzi skądinąd. Temu prawu powszechnemu ulegają wszyscy. Najwięksi prorocy, ci nawet, których ustami przemawia Słowo Boże, nie mogą wyzwolić się z niego. W istocie bowiem, z chwilą gdy się przyjmuje istnienie uprzednie duszy, sprawa, kim był ojciec, staje się drugorzędną. Najważniejszą jest rzeczą, czy prorok ów pochodzi ze świata boskiego. Tego zaś dowieść są w stanie prawdziwi synowie Boga zarówno czynami swymi za życia, jak śmiercią swoją. — Wtajemniczeni starożytni nie uważali jednak za właściwe pospolitowania tych spraw. Niektórzy z nich, zjawiający się na świecie jako wysłańcy boscy, byli synami wtajemniczonych, a matki ich bywały w świątyniach, ażeby począć wybrańców.

[21]) Są to geniusze, które w każdej poezji hinduskiej występują jako duchy opiekuńcze małżeństw z miłości.

[22]) Jest to stałe wierzenie w Indiach, że wielcy asceci objawiać się mogą z dala w widomej postaci, wówczas kiedy ciało ich pogrążone jest w śnie kataleptycznym.

[23]) W dawnych Indiach obie te godności pełniła często jedna osoba. Kierowcy rydwanów królewskich byli wielkimi osobistościami i często ministrami monarchy. Przykładów tego mnóstwo jest w poezji hinduskiej.

[24]) We wtajemniczeniu bramińskim oznacza ona: Bóg Najwyższy, Bóg-Duch. Każda z tych liter odpowiada jednej z potęg boskich, jednej z osób Trójcy.

[25]) Legenda o Kryszniе pozwala nam dotrzeć do źródła idei Dziewicy-Matki, Człowieka-Boga i Trójcy. — W Indiach idea ta występuje od początku zaraz w całej przejrzystości symboliki swojej, w głębokim swoim znaczeniu metafizycznym. W księdze V-ej rozdz. II Wisznu-Purana, opo-

wiedziawszy o poczęciu Kryszny przez Dewaki, dodaje: „Nie mógł nikt patrzeć na Dewaki z powodu spowijającej ją światłości, a ci, którzy oglądali jej wspaniałość, czuli, że rozum ich mąci się; bogowie, dla śmiertelnych niewidzialni, nieustannie głosili chwałę jej, odkąd Wisznu wcielony był w jej łono". Mówili oni: „Ty jesteś ową Prakriti bezbrzeżną i lotną, która nosiła niegdyś Brahmę w swoim łonie; stałaś się później boginią Słowa, siłą Twórcy wszechrzeczy i matką Wed. O ty, istoto wiekuista, zawierająca w materii swojej istotę wszechrzeczy stworzonych, byłaś samą twórczością, byłaś ofiarą, z której powstało wszystko, co rodzi ziemia; jesteś drzewem, którego tarcie ogień nieci. Jak Aditi, jesteś matką bogów; jak Diti, jesteś matką Datiów, ich wrogów. Jesteś światłem, które rodzi dzień, jesteś pokorą, matką prawdziwej mądrości, jesteś polityką królów, matką porządku; jesteś pożądaniem, z którego wytryska miłość, jesteś zadowoleniem, z którego czerpie siły rezygnacja; jesteś uświadomieniem, z którego bierze początek nauka; jesteś cierpliwością, matką odwagi; całe sklepienie niebieskie i gwiazdy są twoimi dziećmi; z ciebie powstaje wszystko, co istnieje... Zeszłaś na ziemię, aby zbawić świat. Zmiłuj się nad nami, o, bogini, i okaż się łaskawą dla wszechświata, bądź dumną, że nosisz w swym łonie boga, który podtrzymuje świat".

Ustęp ten świadczy, że bramini utożsamiali matkę Kryszny z materią wiekuistą, z istotą wszechrzeczy, z pierwiastkiem żeńskim w przyrodzie. Uczynili z niej drugą osobę Trójcy boskiej, troistości pierwotnej nieobjawionej. Ojciec, N a r a, (wiekuiście — Męski pierwiastek); Matka, N a r i (wiekuiście — Żeński pierwiastek) i Syn, W i r a d i (Słowo Twórcze) — taki jest układ władz boskich. Innymi słowy: pierwiastek umysłowy, pierwiastek plastyczny i pierwiastek tworzący. Wszystkie trzy razem stanowią ową n a t u r a n a t u r a n s Spinozy. Świat zorganizowany „n a t u r a n a t u r a t a" jest dziełem Słowa twórczego, które objawia się z kolei w trzech postaciach: B r a h m a — duch — odpowiada światu boskiemu, W i s z n u — dusza — światu ludzkiemu, S i w a — ciało — przyrodzie zmysłowej. W trzech tych światach pierwiastek męski i pierwiastek żeński (duch i materia) jednakowo są czynne: a pierwiastek wiekuiście żeński objawia się równocześnie w przyrodzie ziemskiej, ludzkiej i bo-

skiej Izys jest troistą. Cybela również. — Tak pojęta, jak widzimy, troistość podwójna: Boga i wszechświata, obejmuje podstawy i ramy teodycei i kosmogonii (systemu sprawiedliwości bożej i ustroju wszechświata). Zaznaczyć należy, że idea ta wyszła z Indii. Przyjęły ją wszystkie świątynie starożytne, wszystkie religie wielkie oraz kilka najwybitniejszych systemów filozoficznych. W czasach apostołów i w pierwszych wiekach chrześcijaństwa czcili wtajemniczeni chrześcijanie pierwiastek żeński przyrody widzialnej i niewidzialnej pod mianem Ducha Świętego, wyobrażonego w postaci gołąbka, symbolu siły żeńskiej, we wszystkich świątyniach Azji i Europy. Mimo że kościół ukrył i zatracił klucz tych tajników, znaczenie ich przechowało się w tych symbolach.

[26]) Wyjawienie tej doktryny, którą przyjął później Platon, znajduje się w 1-ej księdze Bhagawadgity w postaci dialogu między Kryszną i Ardżuną.

[27]) Księga XIII do XVIII Bhagawadgity.

[28]) Ibid. ks. XIV.

[29]) Ibid. ks. V.

[30]) Bhagawadgita, passim.

[31]) Patrz ustęp o przeobrażeniu Kryszny w ks. XI Bhagawadgity. Można ją porównać z przeobrażeniem Chrystusa, Mat. XVII. Patrz ks. VIII niniejszego dzieła.

[32]) Bhagawadgita, ks. IV. Cf. Schlegel i Wilkins.

[33]) Wisznu-Purana, ks. V rozdz. XXII i XXX mówią o mieście tym w sposób dość przejrzysty: „Postanowił tedy Kryszna zbudować twierdzę, w której pokolenie Yadu znalazłoby schronienie bezpieczne, a zarazem tak pewne, że kobiety nawet mogłyby jej bronić. Wysokie mury chroniły Dwarkę, zdobiły ją ogrody i zbiorniki wody, czyniąc ją równie wspaniałą jak Amarawati, miasto Indry. W mieście tym obronnym zasadził on drzewo Parijata, którego zapach balsamiczny rozchodził się najszerszymi kręgami w dal. Wszyscy ci, co się doń zbliżali, zyskiwali możność przypominania sobie uprzedniego swego istnienia". Drzewo to musi być widocznie symbolem wiedzy boskiej i wtajemniczenia, tym samym, który odnajdujemy w tradycji chaldejskiej i który przeszedł stąd do genezis hebrajskiej. Po śmierci Kryszny miasto zostaje zatopione, drzewo wraca do nieba jedynie tyl-

ko świątynia pozostaje. O ile wszystko to ma znaczenie historyczne, znaczy ono dla tych, którzy znają arcysymboliczny i ostrożny język Hindusów, że tyran jakiś kazał zrównać miasto z ziemią i że wtajemniczanie odbywało się coraz bardziej w ukryciu.

[34]) Początek Bhagadwadgity.

[35]) Wielkość Sakya-Muni tkwi w boskiej jego dobroci, w jego reformie moralnej i w przewrocie społecznym, jaki spowodował on obaleniem skostniałych kast. Budda wstrząsa podwalinami braminizmu w sposób podobny, jak protestantyzm uczynił to przed trzystu laty w stosunku do katolicyzmu: zmusił go do skupienia całej energii, do walki i do odrodzenia się. Ale Sakya-Muni nie dodał nic do doktryny ezoterycznej braminów, rozgłosił tylko niektóre jej części. Psychologia jego jest w gruncie rzeczy taka sama, jakkolwiek obiera drogę odmienną. (Patrz Schuré: Legenda o Buddzie, Revue des Deux-mondes 1 lipca 1885).

Jakkolwiek Budda nie figuruje w tej książce, nie zapoznajemy bynajmniej doniosłego znaczenia jego w łańcuchu wielkich wtajemniczonych, uczyniliśmy to jedynie ze względu na specjalny plan pracy niniejszej. Pod tym względem należałoby zająć się Buddą dwukrotnie, raz przy Pytagorasie w którego osobie rozwinąłem doktrynę powtórnego wcielenia i ewolucji dusz; z drugiej strony przy Chrystusie, który pierwszy ogłosił, dla Wschodu zarówno jak dla Zachodu, ideę braterstwa i miłości bliźniego.

Co się tyczy wielce zresztą ciekawej i zasługującej na przeczytanie książki Esoteric Buddhism M. Sinnett'a, której powstanie przypisują niektórzy domniemanym wyznawcom, zamieszkującym obecnie Tybet, nie mogą nie widzieć w niej nic, poza zręczną kompilacją braminizmu i buddyzmu z niektórymi myślami Kabały i Paracelsa oraz pewnych danych nauki współczesnej.

[36]) Porównaj uwagę o Dewaki z powodu widzenia Kryszny.

[37]) Champollion: „L'Egypte sous les Pharaons"; Bunsen: „Aegyptische Alterthümer"; Lepsius „Denkmäler"; Paul Pierret: „Le Livre des morts": François Lenormant: „Histoire des peuples de l'Orient": Maspéro: „Histoire ancienne des peuples de l'Orient" etc.

[38]) W jednym z napisów IV-ej dynastii mowa jest o sfinksie, jako o pomniku, którego powstanie ginie w pomroce dziejów, a który odnaleziony został przypadkowo za panowania tego księcia, zakopany pod piaskiem pustyni, gdzie spoczywał zapomniany w ciągu długich pokoleń. Fr. Lenormant: „Histoire d'Orient" II. 55. — Owóż IV-a dynastia przenosi nas na 4000 lat przed Chrystusem. Łatwo ocenić wobec tego starożytność Sfinksa!

[39]) Naukowa teologia wtajemniczonych — mówi M. Maspéro — jest monoteistyczną od czasu pierwszych Faraonów. W tekstach, odnoszących się do tej epoki, znajdujemy twierdzenie o zasadniczej jedności boskiej, wypowiedziane w sposób stanowczy i wyraźny. „Bóg jest jeden i jedyny, ten, który istnieje jako duch utajony; Bóg jest i był od początku, był wówczas, gdy nikt inny nie istniał. On istniał, gdy nic innego nie istniało, a co istnieje w niebie i na ziemi, On stworzył po swoim przyjściu do bytu. Jest On zarazem Ojcem, Matką i Synem, On rodzi, lecz nigdy nie był zrodzony. On jest wieczny i nieskończony, On stwarza lecz nigdy nie był stworzony. Nieskończoność, wiekuistość, niezawisłość, wola wszechpotężna, dobroć bezgraniczna — są jego własnością. „Stwarza On własne członki, które są Bogami" — mówią stare teksty. Każdy z tych wtórnych bogów, uważanych za tożsamość Boga Jedynego, może stworzyć nowy typ, z którego wyłonią się z kolei i tą samą drogą inne typy niższe. — „Histoire ancienne des peuples de l'Orient".

[40]) Gnomon — przyrząd używany przez astronomów starożytnych do oznaczenia wysokości ciał niebieskich.

[41]) Lewici — młodzieńcy pochodzenia kapłańskiego.

[42]) Malowidła ścienne świątyń w Tebach, odtworzone w książce Franciszka Lenormant oraz rozdział o Egipcie w „Mission des Juifs". Saint-Yves d'Alveydre'a.

[43]) Hierofanta — kapłan, który przewodniczył mysteriom Eleuzyńskim.

[44]) Archeologowie przez długi czas dopatrywali się w sarkofagu wielkiej piramidy w Giseh grobu króla Serostrysa, na wiarę Herodota, który nie był wtajemniczonym i któremu kapłani egipscy powierzali jedynie opowieści ludowe oraz fraszki drobne. Królowie egipscy mieli groby swoje gdzie indziej. Dziwaczna budowa wewnętrzna piramidy

świadczy, że musiała ona służyć jako miejsce obrzędów wtajemniczenia oraz tajemnych praktyk kapłanów Ozyrysa. Odnaleźć w niej można Studnię Prawdy, przez nas opisaną, schody, wiodące w górę, salę tajników... Komnata zwana Królewską, w której mieści się sarkofag, była tą właśnie, do której wprowadzano adepta w przeddzień wielkiego wtajemniczenia. Taka sama budowa cechowała wielkie świątynie środkowego i górnego Egiptu.

[45]) Widzenie Hermesa stanowi początek księgi Hermesa Trismegistosa pod nazwą Poemandres. Starożytna tradycja egipska doszła do nas w zmienionej nieco przeróbce aleksandryjskiej.

Próbowałem odtworzyć zasadniczy ten fragment doktryny hermetycznej w znaczeniu najwyższego wtajemniczenia oraz syntezy ezoterycznej, jaką on przedstawia.

[46]) Rozumie się, że Bogowie ci inne nosili nazwy w języku egipskim. Ale siedem Bóstw kosmogonicznych ma odpowiedniki swoje we wszystkich mitologiach co do znaczenia swojego i swoich właściwości. Wspólnym ich źródłem jest starożytna tradycja ezoteryczna. Zachowujemy nazwy łacińskie, ponieważ utrzymała je tradycja zachodnia: czynimy to dla większej jasności.

[47]) Jest 10 Sefirotów w Kabale. Pierwsze trzy wyobrażają boską trójcę, siedem pozostałych rozwój wszechświata.

[48]) Damy tutaj nazwy egipskie tego siedmiorakiego ustroju człowieka, powtarzającego się w Kabale: Chat — ciało materialne, Anch — siła żywotna, Ka — ciało astralne: Hati — dusza zwierzęca i Bai — dusza rozumowa, Checybi — dusza duchowa, Kou — duch boski, odpowiadający greckiemu.

Rozpatrzenie tych idei podstawowych doktryny ezoterycznej znajdziemy w księdze Orfeusza, a zwłaszcza u Pytagorasa.

[49]) Monolity — obeliski lub kolumny, wykute z jednej bryły kamiennej.

[50]) Amentis — dosłownie ukrywający, u Egipcjan piekło, grecki Hades Amentis odprowadzał dusze, wylatujące ustami, w kształcie ptaka, z ciała ludzkiego przed tron Ozyrysa, który wraz z 42 sędziami wyrokował o czynach nieboszczyków.

[51]) W myśl doktryny egipskiej człowiek w życiu doczesnym miał jedynie świadomość duszy zwierzęcej i duszy rozumowej, zwanych h a t i i b a ï. Część wyższa jego istoty, dusza duchowa i duch boski, c h e ć y b i i k o u istnieją w nim w stanie nieświadomego zarodka i rozwijają się w życiu pozaziemskim, kiedy on sam staje się O z y r y s e m.

[52]) I b r i m znaczy „ci z tamtej strony, ci stamtąd, ci którzy przeszli przez rzekę". — R e n a n, Historia narodu Izraelskiego.

[53]) R e n a n: „Naród Izraelski".

[54]) R e x i t Achaemenias pater Orchamus, isque.
Septimus a prisco numeratur origine Belo.
Vide: Metam. IV. 212.

[55]) Pierwsze imię Mojżesza (Manethon cytowany przez Filona).

[56]) W opowieści biblijnej (Exod. II, 1-10) występuje Mojżesz jako żyd z pokolenia Lewi, znaleziony i przybrany przez córkę Faraona w sitowiu Nilu, gdzie podstęp matki złożył go celem zmiękczenia serca księżniczki i uratowania dziecka od prześladowania, przypominającego Herodowe. — Manethon natomiast, kapłan egipski, któremu zawdzięczamy objaśnienia najdokładniejsze w sprawie dynastii Faraonów, potwierdzone dzisiaj przez napisy na pomnikach. Otóż Manethon utrzymuje, że Mojżesz był kapłanem Ozyrysa. Strabon, czerpiący wyjaśnienia swoje z tego samego źródła, to znaczy od kapłanów egipskich, stwierdza to samo. — Źródło egipskie ma pod tym względem większą wartość od źródła żydowskiego. Bowiem nie leżało bynajmniej w interesie kapłanów egipskich przekonywać Greków czy Rzymian, że Mojżesz był Egipcjaninem, zaś miłość własna Żydów nakazywała im przedstawić twórcę ich narodu za człowieka tej samej co i oni krwi. Opowieść biblijna przyznaje zresztą, że Mojżesz wychowany był w Egipcie i wysłany przez rząd swój w charakterze kierownika (dozorcy) żydów do Gossen. To właśnie jest faktem doniosłym, zasadniczym, ustalającym tajemną łączność pomiędzy religią mojżeszową a wtajemniczeniem egipskim. Klemens z Aleksandrii przypuszczał, że Mojżesz był głęboko wtajemniczony w naukę egipską, Istotnie dzieło twórcy Izraela byłoby niezrozumiałym, gdyby nie fakt ten.

[57]) Exodus, III, I.

[58]) Później (Liczby III, 1.) po wyjściu z Egiptu, Aaron i Maria, brat i siostra Mojżesza, zarzucą mu, że poślubił Etiopkę. Zatem, ojciec Sefory (żony Mojżesza) Jetro, należał do tej rasy.

[59]) Współcześni nam podróżnicy stwierdzali, że fakirzy hinduscy każą się zagrzebywać po wprowadzeniu ich uprzednim w sen letargiczny i oznaczają ścisłą datę dnia, w którym mają ich odkopać. Jeden z nich, po trzytygodniowym zagrzebaniu, znaleziony był żywym, zdrowym i nietkniętym.

[60]) Siedem cór Jetry, o których mówi Biblia (Exodus, II, 16-20) ma widocznie znaczenie symboliczne, jak cała ta opowieść, która doszła do nas w formie legendarnej i zupełnie spopularyzowanej.

Mocno jest nieprawdopodobnym, aby kapłan wielkiej świątyni kazał córkom swoim paść stada i aby miał czynić pasterza z kapłana egipskiego. Siedem cór Jetry symbolizuje siedem cnót, które zdobyć muisał wtajemniczony, aby otworzyć studnię prawdy. Studnia ta nazwana jest w historii o Hagar i Izmaelu „studnią Żyjącego który mnie widzi".

[61]) Septuaginta — Biblia Aleksandryjska.

[62]) Fabre d'Olivet: „Złote myśli Pytagorasa".

[63]) Prawdziwym odtwórcą kosmogonii Mojżesza jest człowiek genialny, obecnie niemal zapomniany, któremu Francja odda sprawiedliwość w dniu, kiedy nauka ezoteryczna, która jest całkowitą nauką religii, oparta zostanie na podstawach niezłomnych. — Fabre'a d'Olivet nie mogli zrozumieć współcześni mu, ponieważ wyprzedzał on o wiek cały swoją epokę. Wszechogarniający umysł jego posiadał w jednakowym stopniu trzy władze, których połączenie stwarza umysłowości wyższe: intuicję, analizę i syntezę. Urodzony w Ganges (Hérault) w 1767 r., poświęcił się badaniu tajemniczych doktryn Wschodu, zdobywszy uprzednio głęboką znajomość wschodnich filozofii, nauk i literatur.

Court de Gébelin pierwszy swoim dziełem „Monde primitif" (świat pierwotny) otworzył mu oczy na znaczenie symboliczne mytów starożytnych oraz na święty język świątyń. Celem wtajemniczenia się w doktryny Wschodu nauczył się języka chińskiego, sanskrytu, arabskiego i hebrajskiego. W r. 1815 ogłosił najwybitniejsze dzieło swoje: „La langue hébraique restituée" (Język hebrajski odtwo-

rzony). Dzieło to zawiera: 1° Rozprawę wstępną o powstaniu mowy; 2° gramatykę hejbrajską opartą na nowych podstawach; 3° źródłosłowy hebrajskie rozważane ze stanowiska etymologii; 4° rozprawę wstępną; 5° francuski i angielski przekład dziesięciu pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, zawierających kosmogonię Mojżesza. Do przekładu tego dodany jest niezmiernie ciekawy komentarz. Na tym miejscu streścić mogę jedynie podstawy i istotę tej księgi objawionej. Przejęta jest ona najgłębszym duchem ezoteryzmu i opracowana według najściślejszych metod naukowych. Metoda, którą posługuje się Fabre d'Olivet, aby wniknąć w ukryte znaczenie hebrajskiego tekstu Księgi Rodzaju, oparta jest na zestawieniu i porównaniu języka hebrajskiego z arabskim, syryjskim, aramejskim i chaldejskim ze stanowiska pierwotnych i ogólnych źródłosłowów, których daje on zdumiewający słownik poparty przykładami wziętymi ze wszystkich języków. Słownik ten służyć może za klucz do zrozumienia nazw świętych u wszystkich narodów. Dzieło Fabre'a d'Olivet daje, ze wszystkich ksiąg ezoterycznych, dotyczących starego Testamentu, klucze najpewniejsze. Daje ono nadto nadzwyczaj jasny wykład historii Biblii wraz z wyjaśnieniem przyczyn, dla których ukryte jej znaczenie zatraciło się i pozostaje dotychczas zupełnie zapoznawanym przez naukę i teologie oficjalne.

Niech mi wolno będzie powiedzieć na tym miejscu kilka słów o innym jeszcze dziele nowszym, z tamtego wysnutym, które poza osobistą swoją wartością, ma nadto zasługę zwrócenia uwagi niezależnych badaczy na pierwszego w tym kierunku twórcę. Książką tą jest: *La mission des Juifs* (Posłannictwo Żydów) Saint-Yves d'Alveydre 1884 — Calmann Lévy (Saint-Yves zawdzięcza filozoficzne wtajemniczenie swoje dziełom Fabre'a d'Olivet. Jego pojmowanie Księgi Rodzaju jest zasadniczo zgodne z linią, po której idzie autor *Odtworzonego języka hebrajskiego*, jego metafizyka jest metafizyką *Złotych myśli Pytagorasa*, jego filozofia historii oraz ujęcie ogólne jego dzieła zapożyczone są z *Historii filozoficznej rodzaju ludzkiego*. Wziąwszy za założenie te idee podstawowe, dodawszy do nich własne materiały i odrobiwszy je wedle własnych pojęć, dał on dzieło niezmiernie bogate, niejedno-

lite co do wartości, o budowie złożonej. Cel jego jest podwójny: Dowieść, że nauka i religia Mojżesza były nieuniknionym wynikiem prądów religijnych, które poprzedziły je w Azji i w Egipcie, co już udowodnił w genialnych dziełach swoich Fabre d'Olivet, a także dowieść, że potrójna nieograniczona władza: ekonomiczna, sądowa i religijna czy naukowa, szła po wsze czasy równolegle z doktryną wtajemniczonych, stanowiąc podstawową część religii dawnego poprzedzającego Grecję, cyklu. Taką jest myśl przewodnia Saint-Yves'a myśl głęboka i zasługująca na najwyższą uwagę. Nazywa on ją: synarchią, czyli rządzeniem podług zasad: w synarchii tej znajduje on podstawowe prawo społeczne, jedyne zbawienie na przyszłość. Nie tutaj miejsce na badanie, w jakim stopniu dowiódł autor tezy swojej historycznie. Saint-Yves nie lubi podawać źródeł, ogranicza się często do gołosłownego twierdzenia i nie cofa się nawet przed stawianiem ryzykownych hipotez, o ile popierają one z góry powziętą myśl jego. Mimo to jednak książka jego, dzieło niezmiernie podniosłe, zdradzające wielką wiedzę ezoteryczną, obfituje w ustępy tchnące wysokim polotem, rzucające wspaniałe obrazy, rozwijające myśli nowe i głębokie. Nie zgadzam się z nim pod wieloma względami, zwłaszcza co do poglądu na osobę Mojżesza, któremu nadał on zdaniem moim rozmiary zbyt olbrzymie i legendarne. Uznaję wszakże wysoką wartość niezwykłej tej książki, której wiele zawdzięczam. Niezależnie od krytycznego poglądu na dzieło Saint-Yves'a, przyznać mu należy zasługę wielką: życia poświeconego wyłącznie danej idei Patrz książki jego: Mission des Souverains (Posłannictwo władców) i la France vraie (Prawdziwa Francja), w której oddaje on sprawiedliwość, nieco spóźnioną i bezwiednie może, duchowemu przewodnikowi swojemu, Fabre'owi d'Olivet.

65) Natura naturans Spinozy.

66) Natura naturata tegoż.

67) Fabre d'Olivet wyjaśnia imię IEWE w sposób następujący: „Imię to stanowi przede wszystkim wskazującą oznakę życia podwójną i tworzącą pierwiastek zasadniczo żywotny E. E. Pierwiastek ten nie jest nigdy używany jako imię, jest on jedynym, który ma ten przywilej. Jest on już z założenia swego nie tylko słowem, ale jedynym słowem, którego

pochodnymi są wszystkie inne — istota istniejąca. Tutaj jak widzimy i jak starałem się wyjaśnić w mojej gramatyce, znak zrozumiały Wau stoi w pośrodku pierwiastka życia. Mojżesz, używając specjalnie słowa tego, aby utworzyć z niego imię własne Istoty istot, dodaje do niego znak objawienia wewnętrznego i Wieczności I i otrzymuje JEWE, w którym określenie: istniejący umieszczone jest między przeszłością bez początku i przyszłością bez kresu. Cudowne imię to oznacza zatem ściśle: Istota, która jest, która była i która będzie.

68) Aelohim — jest liczbą mnogą od Aelo, imienia nadawanego przez Hebrajczyków i Chaldejczyków istocie najwyższej i pochodzącego od pierwiastka AEL, co obrazuje wzniosłość, siłę i władzę rozlewną i oznacza w pojęciu powszechnym — Bóg — Hod, to znaczy On jest w jęz. hebrajskim, chaldejskim, syryjskim, etiopskim, arabskim jednym z świętych imion bóstwa. — Fabre d'Olivet „La langue hébraïque restituée".

69) „Ruah Aelohim — tchnienie Boga wskazuje w przenośni ruch rozlewania się, rozszerzania. W znaczeniu hieroglificznym jest to siła przeciwstawna ciemnościom. O ile wyraz ciemność cechuje siłę zwierającą, o tyle wyraz ruah będzie cechował siłę rozwierającą. W jednym i w drugim powtarza się wiekuisty układ dwu sił przeciwstawnych, które mędrcy i uczeni wszystkich epok, od Parmenidesa i Pytagorasa do Kartezjusza i Newtona, widzieli w przyrodzie i określali różnymi nazwami". — Fabre d'Olivet „Langue hébraïque".

70) Oddech — Aelohim — Światło. Trzy te nazwy są streszczeniem hieroglificznym drugiego i trzeciego wersetu Księgi Rodzaju. Tekst hebrajski 3-go wersetu tak się przedstawia. Wa — iaomer Aelohim iehi — aur, wa iehi aur. Przekład dosłowny, podług Fabre'a d'Olivet będzie brzmiał jak następuje: „I on, rzekł On Istota istot: będzie uczyniona światłość; I była uczyniona światłość". Wyraz rua, oznaczający tchnienie, znajduje się w drugim wersecie. Zwrócić należy uwagę, że wyraz aur, oznaczający światło, jest wyrazem rua, czytanym w odwrotnym porządku. Tchnienie boże, zwierające się w sobie — wdech — stwarza światłość duchową.

[71]) Genesis II. 23. A i s z a, Dusza, zlana tutaj z kobietą, jest małżonką A i s z ' y, Intelektu zlanego z mężczyzną. Wzięta ona jest z niego, stanowi nierozłączną jego połowę, jego wolę — Ten sam stosunek zachodzi pomiędzy Dionizosem i Perseforą w Misteriach orfickich.

[72]) W samarytańskim wykładzie Biblii do imienia Adama dodane jest określenie p o w s z e c h n y, n i e s k o ń c z o n y. Mowa tu jest zatem o rodzaju ludzkim, o panowaniu człowieka we wszystkich światach.

[73]) E x o d u s XVIII, 13-24. Doniosłość ustępu tego, ze stanowiska społecznego ustroju ludu izraelskiego, słusznie podkreślił Saint-Yves w pięknej książce swojej: „L a m i s s i o n d e s J u i f s".

[74]) W starożytności słowa, pisane na kamieniu, uchodziły za szczególnie święte. Hierofanta Eleuzyjski odczytywał wtajemniczonym z tych tablic kamiennych rzeczy, o których przysięgli nie mówić nikomu i które nie były wypisane w żadnym innym miejscu.

[75]) Dwukrotnie odparty został w tych samych warunkach atak na świątynię Delfijską. W r. 480 przed Chr. zaatakowały ją armie Xerxesa, lecz cofnęły się przerażone burzą, której towarzyszyło buchanie płomieni z ziemi oraz spadanie wielkich brył skalnych (Herodot). W r. 279 przed Chr. zaatakowana została świątynia ponownie najściem Galów i Kimrysów. Nieliczna garstka Foceańczyków broniła miasta. Barbarzyńcy natarli, ale w chwili kiedy wtargnąć mieli do świątyni, rozszalała burza i Foceańczycy pokonali Gallów (Patrz piękną opowieść o H i s t o r i i G a l l ó w Am. Thierry, ks. II).

[76]) Alfred de Vigny:

„O, Seigneur, j'ai vécu puissant et solitaire,
Laissez moi m'endormir du sommeil de la terre".

